



CHRONOLITY

CHRONOLITY

Tytuł oryginału *The Chronoliths*

Część pierwsza

NADEJŚCIE CHRONOLITÓW

Miałem być świadkiem końca wieku, mojego i świata, na zaproszenie Hitcha Paleya, który pchał swój zdezelowany motocykl po ubitym piasku plaży za pawilonem Haat Thai Dance. Lecz nie winię go za to. Nic nie zdarza się przypadkiem. Teraz to wiem.

Zbliżał się z uśmiechem, a u Hitcha to prawie zawsze zły znak. Miał na sobie mundur Amerykanina w Tajlandii z tamtego ostatniego dobrego lata: wojskowe szorty i sandały jak święty Jan Chrzciciel, zbyt dużą koszulkę khaki, a na głowie elastyczną opaskę w kwiaty. Był wielki - były marine, który naturalizował się - z brodą i potężniejącym brzuchem. Pomimo tego ubrania wyglądał zadziwiająco i, co gorsza, złowrogo.

Brałem za pewnik, że Hitch spędził noc w namiocie socjalnym, zajadając ciasteczka przyprawione haszyszem, które dostał od funkcjonariusza niemieckiego korpusu dyplomatycznego, i tymi samymi karmił ją, aż w kulminacyjnym punkcie wyszła z nim, aby podziwiać księżyc odbijający się w falach. O tej porze powinien wciąż spać i nie być taki radosny. Ja też powinienem spać.

Po kilku godzinach spędzonych przy ognisku poszedłem do domu, do Janice, ale nie spaliśmy. Kaitlin zeszła, skarżąc się na przeziębienie, i Janice spędziła wieczór na pocieszaniu naszej córki oraz zwalczaniu plagi karaluchów wielkości kciuka, które skolonizowały ciepłe i tłuste przestrzenie kuchenki gazowej. Zważywszy na to, gorącą noc i już istniejące między nami napięcie, kłótnia przed świtem była nie do uniknięcia.

Zatem ani ja, ani Hitch nie byliśmy świeży i chyba nawet jasno nie myśleliśmy, chociaż poranne słońce łagodną perswazją wydobywało ze mnie fałszywą trzeźwość, przekonanie, że świat tak jasno oświetlony musi być także bezpieczny i trwały. Słońce kładło blask na ciężkie wody zatoki, odnajdywało łodzie rybackie niczym punkciki na radarze, obiecywało kolejne bezchmurne popołudnie. Plaża była szeroka i płaska jak autostrada, droga ku jakiemuś bezimiennemu i doskonałemu celowi.

- Ten dźwięk wczoraj w nocy - powiedział Hitch, jak zwykle zaczynając rozmowę bez jakiegokolwiek wstępu, jakbyśmy rozstali się ledwie na chwilę — jak odrzutowiec marynarki, słyszałeś go?

Słyszałem. Usłyszałem to około czwartej nad ranem, wkrótce po tym, jak Janice poczłapała do łóżka. Kaitlin w końcu zasnęła, a ja siedziałem sam przy kuchennym stole przykrytym powypalaną ceratą, z kubkiem kwaśnej kawy. Radio, ściszone do przyzwoitego szmeru, było nastawione na amerykańską stację jazzową.

Na jakieś trzydzieści sekund sygnał osłabł i zrobił się dziwny. Rozległ się trzask pioruna i jego echo się przeciągnęło („odrzutowiec marynarki” według Hitcha), a chwilę potem zaskakująco chłodny powiew zatrzęsł doniczkami bugenwilli Janice na parapecie. Rolety w oknach uniosły się i opadły w delikatnym salucie. Drzwi do sypialni Kaitlin otworzyły się same, a ona odwróciła się w plecionym łóżeczku i powiedziała coś niezadowolona przez sen, ale nie obudziła się.

Chyba to nie odrzutowiec marynarki - to mógł być letni grom, nowo narodzona albo starzejąca się burza mamrocząca

do siebie nad Zatoką Bengalską. Nic nadzwyczajnego o tej porze roku.

- Grupa zaopatrzeniowców wstąpiła rano do Duca i wykupiła cały nasz łód - powiedział Hitch. - Kierowali się do dachy jakiegoś bogacza. Mówili, że przy drodze na górę coś się dzieje, jakieś fajerwerki czy artyleria. Rozwalili kępę drzew. Chcesz zobaczyć, Scotty?

- Tak samo jedno, jak i drugie - odparłem.
- Co?
- To znaczy, że tak.

Była to decyzja, która nieodwracalnie zmieniła moje życie, ale taką miałem zachciankę. Winię za to Franka Edwardsa. Frank Edwards to radiowiec z Pittsburgha z poprzedniego stulecia, który skompilował tom wiedzy o najprawdziwszych cudach (*Dziwniejsze od nauki*, 1959), opisujący takie niezniszczalne opowieści ludowe, jak zagadka Kaspára Hausera albo ta o „statku kosmicznym”, który eksplodował nad Tunguską na Syberii w 1910. Książka ta i jej dalsze części stanowiły ważną część naszego dobytku, kiedy jeszcze byłem na tyle naiwny, aby brać takie sprawy poważnie. Ojciec podarował mi *Dziwniejsze od nauki* w podniszczonym wydaniu wycofanym z biblioteki, a ja skończyłem ją - mając lat dziesięć - w trzech nocnych sesjach. Przypuszczam, że ojciec uważał to za swego rodzaju materiał stymulujący chłopięcą wyobraźnię. Jeśli to prawda, to się nie mylił. Tunguska to świat daleki od osiedla za zamkniętą bramą w Baltimore, gdzie Charles Carter Warden osiadł z żoną i jedynym dzieckiem.

Wyrosłem z nawyku wierzenia w takie rzeczy, ale słowo „dziwny” stało się osobistym talizmanem. Dziwny był kształt mojego życia. Dziwna była decyzja pozostania w Tajlandii po

wygaśnięciu kontraktu. Dziwne były te długie dni i zaćpane noce na plażach Chumphon, Ko Samui, Phuket; dziwne jak spiralna geometria starożytnych świątyń.

Może Hitch miał rację. Może w okolicy stał się jakiś posępny cud. Bardziej prawdopodobne, że doszło do pożaru lasu albo strzelaniny o narkotyki, ale Hitch mówił, że według zaopatrzonych, było to „coś z kosmosu”... więc z kim miałem się kłócić? Byłem niespokojny, mając w perspektywie wysłuchiwanie skarg Janice, co mi się wcale nie uśmiechało. Wskoczyłem zatem na tylne siodełko daimlera, pieprzyć konsekwencje, i pojechaliśmy w głąb lądu w chmurce niebieskich spalin. Nie zatrzymałem się, aby powiedzieć Janice, dokąd jadę. Wątpiłem, by ją to zainteresowało, zresztą wrócę przed zmierzchem.

W tych czasach wielu Amerykanów zniknęło w Chumphon i Satun. Porywano ich dla okupu, mordowano dla drobnych lub werbowano do przemytu heroiny. Byłem na tyle młody, że nic mnie to nie obchodziło.

Minęliśmy Phat Duc, barak, w którym Hitch teoretycznie sprzedawał sprzęt rybacki, ale w rzeczywistości z powodzeniem zaopatrywał bywalców w miejscową marihuanę, i skręciliśmy na nową drogę wzdłuż brzegu. Ruch nie był duży, najwyżej parę osiemnastokółówek z rybnych gospodarstw c-pro, busów i *songthaewów*, udekorowanych niczym karnawałowe wozy autokarów turystycznych. Hitch prowadził z werwą i odwagą tubylca, co zamieniało podróż w ćwiczenie kontrolowania pęcherza. Jednak pęd wilgotnego powietrza niósł ochłodę, szczególnie gdy skręciliśmy w boczną drogę w głąb lądu, a dzień był młody i nabrzmiewał cudami.

Im dalej od wybrzeża, tym bardziej Chumphon staje się górzyste. Kiedy skręciliśmy w głąb lądu, mieliśmy drogę prawie wyłącznie dla siebie, aż falanga służby granicznej wyprzedziła nas z rykiem, wzbijając grad żuźlu. Na pewno więc coś się działo. Zatrzymaliśmy się na stacji benzynowej *hawng nam*, aby Hitch mógł sobie ulżyć, a ja włączyłem moje przenośne radio na anglojęzyczną stację nadającą z Bangkoku. Sporo brytyjskiego i amerykańskiego *top forty*, ani słowa o Marsjanach. Ale gdy Hitch wracał, kulejąc, minął nas z rykiem oddział tajskiej królewskiej armii, trzy transportery piechoty i parę rozsypanych się wozów bojowych, kierując się w tę samą stronę co miejscowa policja. Hitch spojrzał na mnie, ja na niego.

- Wyciągnij aparat z torby - polecił, tym razem bez uśmiechu. Wydarł dłoń w szorty.

Przed nami, powyżej, spośród rumowiska wzgórz, wznosiła się jasna kolumna dymu lub mgły.

Nie wiedziałem, że moja pięcioletnia córka Kaitlin przebudziła się z porannej drzemki z rosnącą gorączką i że Janice zmarnowała dobre dwadzieścia minut, próbując mnie zlokalizować, nim poddała się i zabrała Kaitlin do kliniki charytatywnej. Lekarz był Kanadyjczykiem i pracował w Chumphon od 2002. Dzięki funduszom подарowanym przez jakiś oddział Światowej Organizacji Zdrowia założył całkiem nowoczesny gabinet. Doktor Dexter, tak go nazywali ludzie z plaży. Człowiek, do którego chodzi się z syfilisem albo z pasożytami jelit. Zanim zbadał Kaitlin, miała blisko czterdzieści stopni i tylko momentami była przytomna.

Janice oczywiście szalała. Musiała obawiać się najgorszego: japońskiego zapalenia mózgu, o którym wszyscy czytaliśmy w tym roku w gazetach, albo dengi, która zabiła tylu ludzi

w Myanmar. Doktor Dexter zdiagnozował zwykłą grypę (krążyła wśród ludności Phuket i Ko Samui od marca) i naszprycował małą środkami antywirusowymi.

Janice siedziała w poczekalni, regularnie próbując dozwonić się do mnie, ale zostawiłem telefon w plecaku na półce w domku kempingowym. Może zadzwoniłaby do Hitcha, ale on nie ufał niekodowanej komunikacji. Nosił lokalizator GPS i kompas, wierząc, że prawdziwemu twardzielowi to w zupełności wystarczy.

Kiedy po raz pierwszy zobaczyłem słup przez zasłonę lasu, uznałem, że to chedi odległego wату, jednej z buddyjskich świątyń porzrzucanych po całej południowo--wschodniej Azji. W dowolnej encyklopedii można na przykład znaleźć zdjęcie Angkor Wat. Każdy by ją rozpoznał, gdyby zobaczył w naturze: kamienne wieże relikwiarzowe, które wyglądają dziwnie organicznie, jakby jakiś olbrzymi troll zostawił swoje kości, by użyźniły dżunglę.

Jednak to chedi - a widziałem go coraz więcej, kiedy jechaliśmy serpentyną po długim grzbiecie wzgórza - miało nieprawidłowy kształt, nieprawidłowy kolor.

Wspięliśmy się na szczyt wprost na blokadę Królewskiej Tajskiej Policji, wozów patrolowych straży granicznej i uzbrojonych po zęby ludzi w poznaczonych cętkami rdzy samochodach terenowych. Zawracali wszystkie pojazdy. Czterech żołnierzy skierowało broń na starego hyundaia *songthaew* pełne go rozgdakanych kur. Straż graniczna wyglądała bardzo młodo i bardzo groźnie. Ubrani w khaki i lotnicze okulary, trzymali karabiny pod nerwowym kątem. Nie chciałem im się sprzeciwić i powiedziałem o tym Hitchowi. Nie wiem, czy mnie

usłyszał. Skupiał uwagę na monumencie — tymczasem będę używał tego słowa - w oddali.

Teraz widzieliśmy go wyraźniej. Siedział okrakiem na wyższym tarasie wzgórza, częściowo zasłonięty pierścieniem mgiełki. Bez konkretnego odniesienia trudno było ocenić jego wielkość, ale domyślałem się, że musi mieć przynajmniej sto metrów.

W swej niewiedzy mogliśmy wziąć go za statek kosmiczny albo broń, ale prawda jest taka, że uznałem, iż to monument, gdy tylko zobaczyłem go wyraźniej. Wyobraźcie sobie ścięty pomnik Waszyngtona wykonany z błękitnego szkła i delikatnie zaokrąglony na wszystkich rogach. Nie miałem pojęcia, kto go zrobił ani jak się tu znalazł -najwyraźniej w ciągu jednej nocy - ale pomijając całą jego obcość, wyglądał na dzieło człowieka, a ludzie robią takie rzeczy tylko w jednym celu: aby obwieścić przybycie, zadeklarować swoją obecność i pokazać swą siłę. Zaskakujące, że zrobili to akurat tutaj, ale nie sposób było przeoczyć jego solidności... waga, rozmiar, powalająca niedorzeczność.

Wtedy podniosła się mgła i zasłoniła nam widok. Podeszło do nas dwóch mundurowych, wyluzowanych i pewnych siebie.

- Wygląda na to - powiedział Hitch, a jego południowozachodni akcent był, zważywszy na sytuację, nazbyt leniwy - że niedługo zjawi się tu cała banda dupków ze Stanów i z ONZ-etu, a na dodatek jeszcze więcej tych pierdzielonych BPP-owców.

Nie oznakowany, ale niewątpliwie wojskowy helikopter już kręcił się nad szczytem, wzbijając mgłę.

- To wracamy - powiedziałem.

Hitch pstryknął zdjęcie i schował aparat.

- Nie musimy. Za wzgórzem jest szlak przemytników. Po jakimś kilometrze schodzi z drogi. Niewielu o nim wie. - Znowu skrzywił się w uśmiechu.

Ja chyba też się uśmiechnąłem. W myślach szybko i wyraźnie pojawiały się ostrzeżenia, ale znałem Hitcha i wiedziałem, że nie da się od tego odciągnąć. Wiedziałem także, że nie chcę zostać na tym punkcie kontrolnym bez pojazdu. Hitch zatoczył koło i opuściliśmy tajskich gliniarzy, gapiących się na naszą rurę wydechową.

Była druga, może trzecia po południu, pora, kiedy z lewego ucha Kaitlin zaczęła wypływać krwista ropa.

Wjechaliśmy szlakiem przemytników tak daleko, jak tylko mógł nas dowieźć daimler, po czym ukryliśmy motor w gąszczu i powędrowaliśmy pieszo jeszcze jakieś pół kilometra. Szlak był trudny, wytyczony dla maksymalnej skrytości, ale nie maksymalnej wygody. Stroma nieruchomość, jak nazywał to Hitch. W jukach daimlera woził buty do wędrowni, ja jednak musiałem obejść się moimi trampkami, więc bałem się węży i owadów.

Gdybyśmy poszli tym szlakiem odpowiednio daleko, niewątpliwie trafilibyśmy na jakąś kryjówkę szmuglerów, fabryczkę narkotyków, a może nawet birmańską granicę, ale po dwudziestu minutach zbliżyliśmy się do monumentu na tyle, na ile chcieliśmy... tak blisko, jak mogliśmy podejść. Dzieliło nas od niego tysiąc metrów.

Nie byliśmy pierwszymi ludźmi, którzy zobaczyli go z tej odległości. Blokował w końcu drogę i stał tam przynajmniej dwanaście godzin, zakładając, że odgłos „odrzutowca mary-

narki” z poprzedniej nocy oznaczał pojawienie się tego dzieła. Ale byliśmy jednymi z pierwszych.

Hitch zatrzymał się przy zwalonych drzewach. Las dookoła - głównie sosny i trochę dzikich bambusów - runął, kładąc się odśrodkowo wokół podstawy monumentu, a ścieżka zniknęła pod usypiskiem. Sosny najwyraźniej przewróciły się za sprawą jakiejś fali uderzeniowej, ale nie spłonęły. Wręcz przeciwnie. Liście wyrwanego z korzeniami bambusa były nadal zielone, zaczynały dopiero więdnąć w popołudniowym żarze. Wszystko wokół - drzewa, szlak, sama ziemia - było chłodne i kruche. W zasadzie zimne, gdyby wsadzić rękę w usypisko. Zauważył to Hitch. Ja nie mogłem odwrócić wzroku od monumentu.

Gdybym wiedział, co miało się stać, mój podziw zostałby utemperowany. To - w świetle wszystkiego, co nastąpiło potem - było stanowczo pomniejszonym cudem. Lecz na razie wiedziałem jedynie, że natknąłem się na wydarzenie niewyobrażalnie dziwniejsze od wszystkiego, co odkrył Frank Edwards w starych numerach „Pittsburgh Press”, i czułem po części strach, a po części niemądre uniesienie.

Monument. Przede wszystkim nie był to pomnik. To znaczy, nie przedstawiał postaci ludzkiej czy zwierzęcej. Był to słup o czterech ścianach, wygładzony w stożek. Materiał, z którego go wykonano, wyglądał na szkło, ale jakieś dziwnie odmienne. Był niebieski - głęboki, zagadkowy błękit górskiego jeziora, jednocześnie spokojny i złowieszczy. Nie był przezroczysty, ale miał w sobie coś, co sugerowało przenikliwość. Z tej strony - od północy - pokrywały go plamy bieli. To lód, zrozumiałem zaskoczony, sublimował z wolna w wilgotnym świetle. Zniszczony las u podstawy był wilgotny od mgły, a miejsce, w

którym monument stykał się z ziemią, zniknęło pod zwałami topniejącego śniegu.

To za sprawą lodu i fal nienaturalnie chłodnego powietrza płynących od zniszczonego lasu miejsce było niesamowite. Wyobraziłem sobie, że obelisk wyrasta niczym olbrzymi turmalin z jakiegoś podziemnego lodowca... ale takie rzeczy działy się tylko w snach. Powiedziałem to Hitchowi.

- No to jesteśmy w krainie snów, Scotty. A może w krainie Oz.

Zza wzgórza wyleciał następny helikopter, zbyt nisko, aby było bezpiecznie. Uklękliśmy pośród zwałonych sosen, gdzie chłodne powietrze przesączone było ich żywiczną wonią. Kiedy śmigłowiec uniósł się i zniknął za stokiem, Hitch dotknął mojego ramienia.

- Dosyć się napatrzyłeś?

Skinałem głową. To oczywiste, że nie byłoby mądrze zostawać tu dłużej, chociaż uparciuch we mnie chciał zostać, aż monument nabierze sensu, aż w błękitnych, lodowatych głębiach odnajdzie się coś choćby odrobinę normalnego.

- Hitch - odezwałem się.

- Co?

- Tam na dole... nie wygląda ci to na jakieś pismo?

Raz jeszcze przyjrzał się uważnie obeliskowi. Strzelił ostatnie zdjęcie.

- Litery, może. Nie po angielsku. Za daleko, żeby coś zobaczyć, a my wcale się tam nie wybieramy.

I tak byliśmy tam za długo.

Oto, czego dowiedziałem się od Janice później... dużo później.

Już o trzeciej po południu media w Bangkoku otrzymały od amerykańskiego turysty film wideo z monumentem. O czwartej połowa ludności prowincji Chumphon wyruszyła zobaczyć to cudo na własne oczy, ale wszystkich zawrócono przy blokadach na drogach. Powiadomiono ambasady, prasa międzynarodowa zaczęła się tym interesować.

Janice została z Kaitlin w klinice. O tej porze Kaitlin krzyczała już z bólu mimo środków przeciwbólowych i antywirusowych podawanych przez doktora Dextera. Zbadał ją po raz drugi i powiedział Janice, że nasza córka nabawiła się galopującej martwiczej infekcji ucha, prawdopodobnie na skutek pływania w morzu. Prawie od miesiąca informował o podniesionym poziomie *E. coli* i tuzina innych mikrobów, ale służba zdrowia nie podejmowała działań, pewnie dlatego, że gospodarstwa rybne c-pro bały się o licencję eksportową i prowadziły z władzami wojnę nerwów.

Zaaplikował potężną dawkę fluorochinoliny i zadzwonił do ambasady w Bangkoku. Ambasada wysłała helikopter ratowniczy i przygotowała dla Kaitlin miejsce w amerykańskim szpitalu. Janice nie chciała lecieć beze mnie. Dzwoniła nieustannie do domku, a kiedy to zawiodło, zostawiła wiadomość u właściciela i kilku naszych przyjaciół, którzy wyrażali współczucie, ale ostatnio mnie nie widzieli.

Doktor Dexter podał Kaitlin środek nasenny, a Janice pośpieszyła do domu spakować kilka rzeczy. Kiedy wróciła do kliniki, helikopter już czekał. Powiedziała lekarzowi, że przed nocą na pewno będę osiągalny, prawdopodobnie w namiocie socjalnym. Gdybym się skontaktował, miał dać mi numer do szpitala, abym mógł załatwić wszystko i przyjechać.

Potem śmigłowiec wystartował. Janice sama wzięła coś na uspokojenie, podczas gdy trójka sanitariuszy pompowała do krwi Kaitlin więcej antybiotyków o szerokim spektrum działania. Nad zatoką helikopter musiał osiągnąć znaczną wysokość i z góry Janice na pewno ujrzała przyczynę tego wszystkiego - kryształowy słup wznoszący się ponad soczystą zielenią wzgórz.

Zboczywszy ze szlaku przemytników, wpadliśmy prosto na gniazdo tajskiej żandarmerii wojskowej. Hitch śmiało próbował zawrócić daimlera i wyciągnąć tyłek z kłopotów, ale nie było dokąd jechać, jedynie z powrotem, kończącym się ślepo szlakiem. Gdy kula wzbiła piach obok przedniego koła, zahamował i wyłączył silnik.

Żołnierze kazali nam klęknąć i założyć ręce na kark. Jeden z nich zbliżył się i przyłożył lufę pistoletu do skroni Hitchowi, potem zaś mi. Powiedział coś, czego nie potrafiłem przetłumaczyć, a jego towarzysze zaśmiali się. Kilka minut później znaleźliśmy się w wojskowym wozie pod strażą czterech uzbrojonych ludzi, którzy nie mówili po angielsku albo udawali, że nie mówią. Zastanawiałem się, ile kontrabandy przewozi Hitch i czy uznają mnie za współwinnego przestępstwa karanego śmiercią. Nikt jednak nie mówił nic o narkotykach. W ogóle nikt nic nie mówił, nawet kiedy ciężarówka ruszyła z szarpnięciem.

Zapytałem uprzejmie, dokąd jedziemy. Siedzący najbliżej żołnierz - gruby, szczerbaty młodzieniec - wzruszył ramionami i z niemrawą groźbą zamierzył się na mnie kolbą. Zabrali Hitchowi aparat. Nigdy go już nie odzyskał. Podobnie zresztą jak motocykla, jeśli o to chodzi. Armia była pod tym względem zaradna.

Jechaliśmy tą ciężarówką prawie osiemnaście godzin i następną noc spędziliśmy w więzieniu w Bangkoku, w osobnych celach i bez prawa komunikowania się. Dowiedziałem się później, że amerykański zespół do spraw oceny zagrożenia chciał nam „zadać pytania” (tzn. przesłuchać), zanim będziemy rozmawiać z prasą, więc siedzieliśmy w izolatkach z wiadrami zamiast toalet, podczas gdy na całym świecie najrozmaitsi dobrze ubrani faceci rezerwowali loty do Don Muang. Na takie sprawy trzeba czasu. Moja żona i córka znajdowały się niecałe siedem kilometrów ode mnie, w szpitalu ambasady, ale nie wiedziałem o tym. Janice też nie.

Kaitlin krwawiła z ucha do rana. Druga diagnoza doktora Dextera była prawidłowa. Kaitlin zaraziła się wyjątkowo złośliwą, oporną na wszelkie leki bakterią, która rozpuściła błonę bębenkową tak sprawnie - powiedział mi jeden z lekarzy - jakby ktoś wlał małej do ucha fiolkę kwasu. Okoliczne chrząstki i tkanki nerwowe także ucierpiały, zanim fluorochinolina zwalczyła infekcję. Przed zapadnięciem zmroku jasne były dwie sprawy. Po pierwsze, że życie Kaitlin nie jest już w niebezpieczeństwie. Po drugie, że nigdy już nie będzie słyszeć na to ucho. W pewnym stopniu zachowa słuch w prawym, ale będzie on upośledzony.

A może powinienem powiedzieć, że jasne stały się trzy sprawy. O tej porze bowiem było już dla Janice oczywiste, że moja nieobecność i pomyłka w ocenie sytuacji, jako osoby dorosłej, są niewybaczalne. Nie tym razem... przynajmniej dopóki moje ciało nie zostanie wyrzucone na brzeg, a może nawet i wtedy nie.

Przesłuchanie przebiegło następująco.

Trzech grzecznych panów przybyło do więzienia i szczerze przeprosiło za warunki, w jakich byliśmy przetrzymywani. Pozostawali w kontakcie z tajskim rządem w naszej sprawie, „nawet gdy teraz mówimy”, a tymczasem, czy moglibyśmy odpowiedzieć na kilka pytań? Na przykład, jak się nazywamy, gdzie mieszkamy, jakie mamy związki ze Stanami, jak długo przebywamy w Tajlandii i co tu robimy?

(Dla Hitcha musiała to być uciecha. Ja zwyczajnie powiedziałem prawdę: że pracowałem w Bangkoku nad oprogramowaniem komputerowym dla sieci hoteli amerykańskich i po wygaśnięciu kontraktu pozostałem na dodatkowe osiem miesięcy. Nie wspomniałem słowem o tym, że zamierzałem napisać książkę o wzlotach i upadkach ekspatrianckiej kultury plażowej w tym, co tajskie przewodniki z radością nazywają Ziemią Uśmiechów - która to książka zmieniała się z literatury faktu w powieść, zanim umarła przy porodzie - ani że wyczerpałem prywatne oszczędności sześć tygodni temu. Powiedziałem im o Janice, ale celowo pominąłem fakt, że bez pieniędzy, które pożyczyła od swojej rodziny, cierpielibyśmy biedę. Opowiedziałem także o Kaitlin, ale nie wiedziałem, że moja córka o mało co umarła zaledwie czterdzieści osiem godzin wcześniej... a jeśli te urzędasy wiedziały, to nie podzieliły się tą informacją.)

Reszta pytań dotyczyła obiektu w Chumphon. Skąd się o nim dowiedzieliśmy, kiedy pierwszy raz go zobaczyliśmy, jak blisko podeszliśmy, jakie mamy „wrażenia”. Tajski strażnik patrzył beznamietnie, kiedy amerykański lekarz pobierał od nas próbki krwi i moczu. Potem tajniacy podziękowali nam i obiecali jak najszybciej wy dostać z niewoli. Nazajutrz trzech

innych grzecznych dżentelmenów z nowymi listami polecającymi zadawało te same pytania i składało te same obietnice.

W końcu nas zwolniono. Część zawartości naszych portfeli wróciła do nas i wyszliśmy na żar i smród Bangkoku gdzieś po niewłaściwej stronie Chao Phrya. Porzuceni i bez grosza, poszliśmy do ambasady, gdzie wytargowałem od urzędnika zaliczkę na bilet autobusowy do Chumphon i kilka darmowych telefonów.

Próbowałem skontaktować się z Janice w naszym domku kempingowym. Nikt nie odbierał. Jednak była akurat pora obiadu, więc pomyślałem, że poszły z Kaitlin coś zjeść. Spróbowałem dodzwonić się do właściciela (siwiejącego Anglika o nazwisku Bedford), ale zamiast z nim, porozmawiałem z jego automatyczną sekretarką. W tym momencie miły pracownik ambasady przypomniał nam z naciskiem, że musimy zdążyć na autobus.

Do domku trafiłem długo po zapadnięciu ciemności, nadal święcie przekonany, że w środku zastanę Janice i Kaitlin; że Janice będzie zła, aż usłyszy, co się stało, że nastąpi pojednanie pełne łez, a w ślad za nim może nieco namiętności.

Janice, spiesząc się do szpitala, zostawiła uchylone drzwi. Zabrała walizkę dla siebie i Kaitlin, a miejscowi złodzieje zabrali resztę - jedzenie z lodówki, mój telefon i laptop.

Pobiegłem obudzić właściciela, który przyznał, że widział „kiedyś”, jak Janice ciągnie walizkę pod jego oknem, i że Kaitlin była chora, ale w całym tym zamieszaniu z monumentem zapomniał szczegółów. Pozwolił mi skorzystać z telefonu (stałem się telefonicznym żebrakiem) i dotarłem do doktora Dextera, który opowiedział mi wszystko o infekcji i wyjeździe do Bangkoku.

Bangkok. Nie mogłem zadzwonić do Bangkoku z telefonu Colina. To międzymiastowa, podkreślił, a ja i tak spóźniałem się z opłaceniem czynszu.

Poszedłem do Phat Duc, szemranego sklepu Hitcha z przynętą i sprzętem wędkarskim. Hitch miał własne problemy - nadal żywił nadzieję na odnalezienie utraconego daimlera - ale powiedział, że mogę spać na zapleczu (na balu wilgotnej sinsemilli, zdaje się) i korzystać z telefonu, ile tylko chcę; policzymy się później.

Dopiero o świcie ustaliłem, że Janice i Kaitlin wyjechały z kraju.

Nie winię jej. Nie twierdzę, że nie byłem zły. Byłem, przez następne pół roku. Ale kiedy próbowałem usprawiedliwić przed sobą złość, moje wymówki zdawały się nijakie i nieadekwatne.

W końcu to ja sprowadziłem ją do Tajlandii, kiedy zdecydowanie wolała pozostać w Stanach i skończyć habilitację. Zatrzymałem ją tutaj, kiedy moje kontrakty powygaszały, i zmusiłem do egzystencji na poziomie biedy (w każdym razie tak uznaliby Amerykanie w tamtych latach), podczas gdy sam odgrywałem scenariusz rebelii i ucieczki, które bardziej wynikały z nie rozwiązanego młodzieńczego buntu niż z czegokolwiek konkretnego. Naraziłem Kaitlin na niebezpieczeństwa ekspatriacji (co wolałem nazywać „poszerzaniem horyzontów”) i - w końcu - byłem nieobecny i niedostępny, kiedy życie mojej córki było zagrożone.

Nie miałem wątpliwości, że Janice wini mnie za częściową głuchotę Kaitlin. Moją jedyną nadzieją było to, że sama Kait nie będzie mnie winić. Przynajmniej nie na stałe. Nie na zawsze.

Tymczasem chciałem jedynie wrócić do domu. Janice przeprowadziła się do swoich rodziców w Minneapolis i zdecydowanie nie odpowiadała na moje telefony. Dano mi do zrozumienia, że sprawa rozwodowa jest w toku. A wszystko to oddalone o piętnaście tysięcy kilometrów od Tajlandii.

Pod koniec frustrującego miesiąca powiedziałem Hitchowi, że muszę wracać do Stanów, ale wyczerpałem fundusze. Usiedliśmy nad zatoką na kłodzie wyrzuconej przez fale. Windsurferzy stali na błękitnie morza, nie przejmując się bakteriami. To zabawne, jak bardzo kusi ocean, nawet gdy jest skażony.

Plaża była zatłoczona. Chumphon stało się mekką fotoreporterów i gapiów. W ciągu dnia współzawodniczyli o zdjęcia przez teleobiektyw tak zwanego Obiektu z Chumphon, w nocy podbijali ceny alkoholu i kwater. Wszyscy mieli przy sobie więcej pieniędzy, niż ja widziałem w ciągu roku.

Dziennikarze specjalnie mnie nie obchodzili, a monument już zacząłem nienawidzić. Nie winiłem Janice za to, co się stało, i, co oczywiste, nie chciałem wziąć winy na siebie, ale bez wahania obwinałem ten tajemniczy obiekt, który zafascynował większość świata. Ironia polega na tym, że znienawidziłem monument, zanim znienawidzili go inni. Na długo przed tym, jak sylwetka tego chłodnego, błękitnego kamienia stała się symbolem rozpoznawanym i nienawidzonym (lub, co perwersyjne, kochanym) przez większość rasy ludzkiej. Tymczasem jednak miałem na to wyłączność. Morał, zdaje się, polega na tym, że historia nie zawsze wybiera fajnych facetów. I, oczywiście, nie ma czegoś takiego jak zbieg okoliczności.

- Obu nam potrzebna jest przysługa - rzekł Hitch, uśmiechając się niebezpiecznie, po swojemu. - Może-

my sobie nawzajem pomóc. Mógłbym załatwić ci powrót do domu, Scotty, gdybyś zrobił coś dla mnie.

- Taka propozycja mnie martwi - odparłem.
- To zdrowo trochę się pomartwić.

Tego popołudnia anglojęzyczne gazety opublikowały tekst, który odkryto u podstawy monumentu - jawną tajemnicę tutaj, w Chumphon. Sentencja, wyryta na trzy centymetry w materiale słupa i napisana w swoistej mieszance mandaryńskiego i prostego angielskiego, składała hołd pewnej bitwie. Innymi słowy, słup to pomnik zwycięstwa. Upamiętniał podanie się południowej Tajlandii i Malezji zmasowanym siłom kogoś (lub czegoś) o nazwie „Kuin”, a pod tekstem widniała data tej historycznej bitwy. 21 XII 2041. Dwadzieścia lat w przyszłości.

Poleciałem do Stanów nowo otwartą linią transportową z legalnymi międzylądowaniami w Pekinie, Dusseldorfie, Gander i Bostonie — wokół planety, z przyprawiającymi o odrętwienie przerwami - i wylądowałem na lotnisku im. Logana, z bagażem stanowiącym podróbkę znanych firm w najlepszej dalekowschodniej tradycji, pięcioma tysiącami dolarów zaliczki oraz niechętnie przyjętym zobowiązaniem, a wszystko to dzięki Hitchowi Paleyowi. Byłem w domu, na dobre czy na złe.

To zadziwiające, jak dostatnio, bez żadnego wysiłku, wyglądał Boston po sezonie, który spędziłem na plaży, przynajmniej zanim jeszcze opuściłem dworzec lotniczy - jakby te wszystkie błyszczące kawiarnie i kioski wyrosły niczym grzyby po ulewnym deszczu u Disneya. Wszystko miało tu najwyżej pięć lat, i skrzydło terminalu, i usypały w Atlantyku pas ziemi, na którym wybudowano lotni-

ska, miejsce młodsze od większości jego użytkowników. Poddałem się nieinwazyjnemu skanowaniu przez celników i przemierzyłem przepastną halę przylotów ku postojowi taksówek.

Tajemnica chronolitu z Chumphon - taką nazwę nadali mu dziennikarze popularnonaukowi zaledwie miesiąc temu - przestała już interesować opinię publiczną. Nadal stanowił on temat wiadomości, ale głównie w gazetkach supermarketów (totem szatana albo atut rozkoszy) i w niezliczonych konspiracyjnych kronikach internetowych. Chociaż może się to wydać niepojęte współczesnemu czytelnikowi, świat przeszedł do kolejnych spraw - Brazaville 3, małżeństwa Windsorów, próby zamachu na diwę Lux Ebone na festiwalu w Rzymie w zeszły weekend. Było zupełnie tak, jakbyśmy czekali na wydarzenie definiujące nowy wiek, na rzecz, osobę lub abstrakcyjny czynnik, kto ry będzie niepodważalnie nowy, rzecz na miarę dwudziestego pierwszego stulecia. I oczywiście nie rozpoznaliśmy go, gdy po raz pierwszy wepchnęło się na pierwsze strony gazet. Chronolit był pojedynczym wydarzeniem, intrygującym, ale całkowicie zadziwiającym, i dlatego absolu nie nudnym. Odłożyliśmy je, nie dokończone, jak krzyżówkę z „New York Timesa”.

W rzeczywistości sporo się działo w sprawie wydarzenia w Tajlandii, ale było to ograniczone do określonych kręgów wywiadu i służb bezpieczeństwa, zarówno krajowych, jak i międzynarodowych. Chronolit był ostatecznie jawną i wrogą wojskową interwencją na dużą skalę, przeprowadzoną w sposób wysoce skryty, nawet jeżeli jedynymi ofiarami stało się kilka tysięcy poskręcanych górskich sosen. Prowincja Chumphon była nieustannie bacznie obserwowana. Jednak to nie

był mój interes i myślałem, że mogę się z tego wyplątać, prze-
latując kilka tysięcy kilometrów na zachód. Wtedy tak rozu-
mowaliśmy.

Niezwykle zimna była ta jesień. Niebo zasnuwały kłębia-
ste chmury, ostry wiatr torturował niedobitki floty rybackiej.
Przed ulicznym atrium dworca AmMag trzepotał rząd flag.

Zapłaciłem taksówkarzowi, przeszedłem hol i kupiłem bi-
let na Northern Tier Express: trasa Detroit, Chicago i przez
prerie do Seattle, chociaż jechałem tylko do Minneapolis. Od-
jazd o dziewiętnastej, poinformował mnie automat biletowy.
Kupiłem gazetę i czytałem ją na monitorze na monety, aż ze-
gar na ścianie dworca pokazał czwartą trzydzieści. Wtedy
wstałem, ogarnąłem wzrokiem hol, szukając podejrzanych za-
chowań (brak), i wyszedłem na Washington Street.

Pięć przecznic na południe od stacji kolei magnetycznej
znajdował się mały, stary urząd pocztowy pod nazwą „Paczki i
Przesyłki Easy’ego”. Biuro, niezbyt dobrze prosperujące, mie-
ściło się od frontu, obsrany przez muchy plastikowy daszek
chronił okno. Kredy się temu przyglądałem, frontowymi
drzwiami wchodził powoli mężczyzna, wspierając się na sta-
lowym balkoniku. Po dziesięciu minutach wyszedł, niosąc brą-
zową, papierową kopertę. Pomyślałem, że to typowy klient
przedsiębiorstwa takiego jak to, emeryt perwersyjnie lojalny
wobec tego, co zostało po amerykańskiej poczcie.

Chyba że ten dzentelmen był przestępcą w lateksowej
masce. Albo policjantem.

Czy miałem wątpliwości, co robię? Wiele... a przynajmniej
zastanawiałem się. Hitch sfinansował mój lot do domu, a przy-
sługa, o jaką w zamian poprosił, wydawała się dostatecznie
prosta, kiedy bez grosza przy duszy leżeliśmy sobie na plaży.

CHRONOLITY

Przed pojawieniem się chronolitu z Chumphon znałem Hitcha prawie rok. Był jednym z nielicznych stałych bywalców Haat Thai, z którym rozmowy wybiegały poza podboje seksualne i markowe dragi. Był mistrzem lewych interesów i dochodu na czarno, ale w głębi duszy uczciwy i (jak często powtarzałem Janice) „nie był zły”. Cokolwiek to znaczyło. Ufałem mu, przynajmniej w granicach jego natury. Jednak kiedy tak stałem, przyglądając się Paczkom i Przesyłkom Easy’ego w poszukiwaniu śladów nadzoru policyjnego - w pełni świadomy, że nie rozpoznałbym go, chyba że Departament Skarbu wynająłby billboard dla zaafiszowania swej obecności - wszystkie te sądy wydawały mi się płytkie i naiwne. Hitch poprosił, abym pokazał się u Easy’ego, podał jego nazwisko i odebrał „paczkę”, którą bez żadnych pytań miałem przechować, aż on się ze mną skontaktuje.

W końcu Hitch handlował narkotykami, chociaż jego interes na plaży ograniczał się do konopi, egzotycznych grzybków i łagodniejszych fenyloetyloamin. A Tajlandia była wytwórcą i przecierała komercyjne szlaki handlu narkotykami od czasów Marca Polo.

Nie byłem wstrzemięźliwy w używaniu środków wyskokowych, a próbowałem niejednego. W zasadzie każda substancja wpływająca na psychikę była legalna gdzieś na świecie i niemal wszystkie zostały wykreślone z kodeksu karnego przez liberalne narody Zachodu, ale Stany Zjednoczone ogólnie, a Massachusetts w szczególności, nadal stosowały surowe kary za przemyt twardych narkotyków. Jeżeli Hitch zaaranżował to tak, aby przesłać sobie kilogram czarnej heroiny — i jeżeli miał tak wielkie poczucie humoru, aby wsadzić mnie do aresztu — mogłem zapłacić za bilet do domu pozbawieniem

wolności. Mogłem nie zobaczyć Kaitlin bez rozdzielającego nas zbrojonego szkła przynajmniej do jej trzydziestych urodzin.

Nagle lunął deszcz, zacinająca ulewa. Przebiegłem ulicę, wciągnąłem głęboko wilgotne powietrze i wszedłem do środka. Sam Easy, lub ktoś podobny do niego – wysoki, pomarszczony, muskularny Murzyn, który mógł mieć równie dobrze sześćdziesiąt, jak i osiemdziesiąt lat — stał za drewnianą ladą, strzegąc rzędu zmatowiałych aluminiowych skrzynek pocztowych. Rzucił mi spojrzenie.

- Słucham?
- Mam odebrać tutaj paczkę.
- Pan i wszyscy inni. Numer skrzynki?

Hitch nie podał mi numeru.

- Hitch Paley powiedział, że będzie tu na mnie czekać paczka.

Murzyn zmrużył oczy i najwyraźniej uniósł głowę o centymetr w nagłej pogardzie.

- Hitch Paley?

Po jego tonie poznałem, że już jest źle, ale skinąłem głową.

- Hitch kurwa Paley! - Wyrznął pięścią w blat. - Nie wiem, kto ty, kurwa, jesteś, ale jeśli będziesz przypadkiem gadał z Hitchem Paleyem, powiedz temu dupkowi, że nie jesteśmy kwita! Sam sobie może trzymać swoje pierdolone paczki!

- Masz pan coś dla mnie?
- Czyja mam coś dla ciebie? Ja dla ciebie? Kopa z buta, to, kurwa mam!

Udałomi się znaleźć drzwi.

W ten sposób nieudany dziennikarz, nieudany mąż i nieudany ojciec stał się nieudanym przestępcą. Jechałem koleją

AmMag z Massachusetts, z miejskiego korytarza w ponurą wieś pełną baraków i próbowałem wyrzucić z głowy te wszystkie tajemnice.

Między Hitchem Paleyem a Paczkami Easy'ego mogło zdarzyć się wszystko, ale powtarzałem sobie, że to nie ma znaczenia. Zrobiłem to, o co prosił mnie Hitch, i byłem naprawdę zadowolony, że nie muszę nieść obciążającego zawiniątka w papierze pakowym od rzeźnika. Jedyny potencjalny problem w tym, że Hitch może (i to w niedalekiej przyszłości) zażądać zwrotu pieniędzy.

Północ wlekła się w deszczowych ciemnościach. Opuściłem oparcie fotela i kontemplowałem przyszłość. Na zachód od Missisipi gospodarka kwitła. Nowe kowalencyjne płyty główne stwarzały nieskończone możliwości dla złożonego oprogramowania i byłem przekonany, że mogę znaleźć choćby jakąś podrzędną pracę u jednego z kandydatów do NASDAQ. Wykorzystam dyplom, zanim straci ważność. Z czasem będę mógł spłacić Hitcha i anulować dług. W ten sposób na zbrodni rodzi się cnota. Kiedyś, wyobrażałem sobie, stanę się szacownym obywatelem; udowodnię Janice swoją wartość i zostanie mi wybaczone, a Kait podrepcze prosto w me ramiona.

Jednak nie mogłem przestać myśleć o ojcu... widząc go we własnym odbiciu w poznaczonym kroplami deszczu oknie. Niepowodzenie to entropia, zdawało się obwieszczać widmo, a entropia to prawo natury. Miłość staje się bólem. Ostatecznie uczysz się go ignorować. Osiągasz nirwanę obojętności. To niełatwe, ale nic, co warte zrobienia, nie jest łatwe.

Hitch i ja byliśmy jednymi z pierwszych, którzy na własne oczy zobaczyli chronolit z Chumphon, i w tym wielkim pojednaniu czasu i umysłu, które potem nastąpiło... hm, tak, zaczą-

łem się zastanawiać, ile własnego pesymizmu (albo pesymizmu mojego ojca) wprowadziłem do tej pętli. Nie wspominając o odrobinie szaleństwa ze strony matki. Zimne powietrze wlewało się do zaciemnionego wagonu i przypomniałem sobie, jak zapalczywie matka nie cierpiała zimna. Brała to do siebie, szczególnie w ostatnich latach. Osobisty afront. Była wrogiem lodu, zaszczuta przez śnieg. Powiedziała mi raz, że śnieg to odchody aniołów. Nie śmierdział, bo miał anielskie pochodzenie, ale mimo to była to zniewaga, tak czysta, że płonęła niczym ogień na skórze śmiertelnika.

Wpychając bilet do kieszeni marynarki, zauważyłem, że numer wydrukowany pod logo AmMag to 2041... taki sam, jak data wyryta na kamieniu Kuin.

Na stacji Minneapolis i St. Paul kupiłem miejscową gazetę i magazyn popularnonaukowy z artykułem o chronolicie. Magazyn zamieścił kilka zdjęć miejsca lądowania w Tajlandii, bardzo zmienionego od dnia, kiedy byliśmy tam z Hitchem. Buldożery zrównały obszerny teren wokół słupa, wżerając się w brązową ziemię, a całe pole upstrzone było namiotami, szopami na narzędzia, polowymi laboratoriami i przenośnymi wygodkami w kolorze ochry. NATO przysłało międzynarodowy zespół naukowców, przeważnie specjalistów od nauk technicznych, którzy w tym momencie byli wyraźnie skołowani. Chronolit stał cudownie nieporuszony. Zdawał się zupełnie nie reagować na otoczenie, nie dawał się stopić kwasom ani naciąć laserem; głębokie nawierty nie dotarły jeszcze do jego podstawy. Temperatura, przynajmniej od piorunująco zimnego przybycia, nie różniła się od temperatury otoczenia nawet o ułamek stopnia. Był czymś spektakularnie obojętnym.

Analiza widmowa okazała się szczególnie daremna. Chronolit przepuszczał i rozszczepiał światło w niebiesko--zielonym fragmencie widocznego spektrum i, co niewyjaśnione, w kilku harmonicznym długościach fal zarówno podczerwień, jak i ultrafiolet. Przy innych częstotliwościach całkowicie je odbijał - niemożliwie wręcz - lub całkowicie absorbował. Ostateczny bilans zerował się, ale nikt nie był tego pewien i nawet ta rzekoma symetria opierała się prostemu wyjaśnieniu. W dalszej części artykułu spekulował o całkowicie nowym stanie materii, co było mniej wyjaśnieniem, a bardziej wyznaniem niewiedzy ujętym tak, aby nie zakłócać przepływu funduszy na badania.

Spekulacja o legendzie wyrytej na chronolicie była jeszcze bardziej tandetna i jeszcze bardziej przekłamana. Czy „podróż w czasie” jest rzeczywiście możliwa? Większość naukowców nie dopuszczała takiej hipotezy. Napis był zatem formą podstępem, kluczem, który miał zwieść. Nawet nazwa „Kuin” spektakularnie dezinformowała. Jeżeli było to imię własne, to mogłoby być chińskie, ale częściej trafiało się w holenderskim; słowo to pojawiało się także w fińskim i japońskim. Było nawet plemię rdzennych Peruwiańczyków nazywane Huni Kuin, chociaż ich raczej nie można obarczać za to odpowiedzialnością.

Alternatywa - że jakiś azjatycki wojownik zaledwie dwadzieścia lat później stworzył monument dla uczczenia pomniejszego zwycięstwa i przesłał go w niedawną przeszłość - była po prostu zbyt śmieszna, aby mogła być prawdziwa. (Jeżeli teraz wydaje się to krótkowzroczne, należy zważyć na to, że kręgi naukowe zostały już zmuszone do przeknięcia pewnej liczby oczywistych absurdów o kamieniu Kuin

i zdecydowanie odrzucały tak horrendalną niemożliwość. Ludzie znacznie swobodniej używali wtedy słowa „niemożliwe”.)

Taki osiągnięto konsensus, mniej więcej jesienią 2021 roku.

Gazetę kupiłem z bardziej praktycznych względów. Przeszukałem ogłoszenia o wynajmie lokali w pobliżu pierścienia podmiejskich konsorcjów projektujących oprogramowanie. W rezultacie otrzymałem listę i do środy za pomocą łapówki zdobyłem kawalerkę na piętrze na zachód od Agrokulturalnej Enklawy St. Paul i Minneapolis. Pokój był nie umeblowany. Kupiłem krzesło, stół i łóżko. Wszystko inne byłoby wyznaniem stałości. Zdecydowałem, że jestem „w drodze”. Potem poszukałem pracy. Nie zadzwoniłem do Janice, przynajmniej nie od razu, ponieważ najpierw chciałem jej coś pokazać, jakiś dowód mojej wiarygodności: dochód, na przykład. Jeżeli istnieje odznaka Wzorowego Obywatela, po nią też wystartuję.

Oczywiście nic to nie pomogło. Nie ma powrotu do przeszłości; fakt ten czytelnik z pewnością zrozumie. Młodsze pokolenie zna te sprawy lepiej od moich rówieśników. Tę wiedzę na nich wymuszono.

W lutym 2022 roku Janice i Kaitlin przeniosły się do miłego mieszkania spółdzielczego na przedmieściu, daleko od pracy Janice, ale blisko dobrych szkół. Kontrakt rozwodowy, który sfinalizowaliśmy w grudniu, gwarantował mi prawo do opieki nad dzieckiem średnio przez tydzień w miesiącu. Janice była rozsądna, wyrażając zgodę na wspólną opiekę nad Kaitlin, i od jesieni całkiem często widywałem córkę. Zgodnie z planem w tę sobotę miałem się zająć Kait, ale wspólny dzień nakazany przez sąd rodzinny wcale nie jest dniem spędzonym wspólnie. To coś innego. Jest dziwny, niezdarny i niewygodny.

Zjawiłem się na miejscu o ósmej czterdzieści pięć, w słoneczny, ale zawistnie zimny poranek. Janice zaprosiła mnie do środka i powiedziała, że Kait jest u koleżanki i będzie oglądać kreskówki aż do wyznaczonej godziny.

Mieszkanie pachniało nowym dywanem i niedawnym posiłkiem. Janice, w weekendowej bluzce i dżinsach, naleła mi kawy. Wydawało mi się, że zdołaliśmy odnowić nasze relacje... że moglibyśmy nawet czerpać radość ze spotkań, gdyby nie bagaż bólu i oskarżeń, który każde z nas wyciągało w obecności drugiego. Nie wspominając o zranionych uczuciach, daremnych nadziejach i tłumionym żalu.

Janice usiadła po przeciwnej stronie ławy. Zostawiła na stoliku, niby zupełnie przypadkowo, kilka swoich antyków. Zbierała drukowane czasopisma z zeszłego stulecia-„Life”, „Time” i tym podobne. Leżały w sztywnych plastikowych okładkach niczym reklamy utraconego wieku, zużyte bilety na *Titanica*.

- Jesteś jeszcze w Champion-Miller? - zapytała.
- Mam kontrakt na kolejne pół roku.

I trzy tysiące premii za powtórne zatrudnienie. W tym tempie mój dochód netto może kiedyś wzrosnąć z poziomu wstępnego do poziomu młodszego pracownika. Większość premii wydałem na szerokoekranowy panel rozrywkowy, byśmy mogli z Kait oglądać razem filmy. Przed Bożym Narodzeniem polegałem jedynie na moim przenośnym terminalu, zarówno w pracy, jak i w czasie wolnym.

- Więc wygląda to na stałą pracę.
- Tak sprawy się mają. - Popiłem kawy, którą mnie poczęstowała. - Tak na marginesie, kawa jest wstrętna.
- Och?

- Zawsze robiłaś kiepską kawę.

Janice się uśmiechnęła.

- I teraz zmusiłeś się, żeby mi o tym powiedzieć?

- Uhm.

- Przez te wszystkie lata nienawidziłeś mojej kawy?

- Nie powiedziałem, że jej nienawidzę. Powiedziałem, że jest kiepska.

- Nigdy nie odmawiałeś.

- Nie. Nie odmawiałem.

Kaitlin wróciła od sąsiadów — wpadła przez drzwi w ociekających plastikowych butach i zimowej kurtce z zakładkami. Okulary natychmiast jej zaparowały. Okulary to nowy dodatek. Kaitlin miała tylko nieznaczną krótkowzroczność, ale na tak małych dzieciach nie przeprowadza się operacji korekcyjnej. Przetarła szkła palcami i wbiła we mnie wzrok jak sowa. Zawsze się uśmiechała, kiedy tylko widziała, że idę. Nadal się do mnie uśmiechała. Ale nie automatycznie.

- Obejrzałaś kreskówki, kochanie? - zapytała Janice.

- Nie. - Kait nie spuszczała ze mnie oczu. - Pan Levy chciał oglądać wiadomości.

Nie przyszło mi do głowy zapytać, dlaczego sąsiad Janice upierał się przy oglądaniu wiadomości. Ale gdybym zapytał, mógłbym stracić popołudnie z Kait.

- Baw się dobrze z tatą - dodała Janice. - Chcesz iść do łazienki, zanim wyjdiesz?

- Nie! - Kaitlin była oburzona taką niedelikatnością.

- W takim razie dobrze. - Janice wyprostowała się i spojrzała na mnie. - O ósmej, Scott?

- O ósmej - obiecałem.

Jechaliśmy moim używanym samochodem przy wtórce mrużącego silnika, zgodnie z regułami zachowania odległości zgrabnie wplótłszy się w duży sobotni ruch. Obiecałem Kaitlin wycieczkę do wesołego miasteczka, a ona już wspinała się na fale radości i wyczerpania, nie zamykając buzi przez znaczną część drogi, a potem opadając na siedzenie z żalną miną w rodzaju „Jeszcze tam nie jesteśmy?”

Kiedy milczała, zgłębiałem własne sumienie... ostrożnie, tak jak bierze się do ręki uśpionego, ale jadowitego węża. Spojrzałem na siebie oczyma Janice i zobaczyłem (po raz kolejny) człowieka, który zabrał ją i jej córkę do kraju Trzeciego Świata, który nieomal je tam porzucił i który skazał je na wpływ ekspatrianckiej kultury plażowej - choć niewątpliwie kolorowej i interesującej - to jednak także przesiąkniętej narkotykami, niebezpiecznej i beznadziejnie nieproduktywnej. Łagodne określenie takiego zachowania to „bezmyślne”. Synonimy - „samolubne” i „niedbałe”.

Czy się zmieniłem? Cóż, może, ale nadal byłem winien Hitchowi Paleyowi kilka tysięcy dolarów (choć nie miałem od niego wiadomości od pół roku i zaczynałem żywić nadzieję, że nie będę miał nigdy), a życie zawierające takie dodatki jak Hitch Paley z definicji nie jest stabilne.

Jednak była jeszcze Kaitlin, cała i zdrowa, odbijająca się czasami od siedzenia jak kapucynka w szorkach i na smyczy. Nauczyłem ją zawiązywać sznurowadła. Pokazałem jej Krzyż Południa pewnej bezchmurnej nocy w Chumphon. Byłem jej ojcem, a ona z zadowoleniem znosiła moją obecność.

W wesołym miasteczku spędziliśmy trzy godziny, dosyć, aby ją zmęczyć. Kait była zafascynowana, choć może trochę przestraszona kłownami w ich charakterystycznych strojach i

makijażu. Ładowała w siebie zaskakującą ilość łakoci, wytrzymała dwie półgodzinne przejażdżki po całym terenie i zasnęła na siedząco w drodze do mojego mieszkania.

W domu zapaliłem światło, odcinając się od zimowego zmierzchu na prerii. Na obiad podgrzałem mrożonego kurczaka z fasolką szparagową - proletariackie jedzenie, ale dobrze pachniało w wąskiej kuchni. Kaitlin nie mówiła dużo, lecz atmosfera była miła.

Kiedy spojrzała w prawo, zobaczyłem jej ucho otoczone gniazdkiem złotych włosów. Nie było mocno zdeformowane, jedynie trochę pomarszczone tam, gdzie bakterie wyjadły ciało, i pokryte różowymi szramami. W drugim miała aparat słuchowy podobny do małej, wypolerowanej muszelki.

Po obiedzie umyłem naczynia, odciągnąłem Kaitlin od kreskówek i przełączyłem na wiadomości. Serwis z Bangkoku.

- To właśnie - powiedziała kwaśno Kaitlin, kiedy wyszła z łazienki - chciał zobaczyć pan Levy.

Był to, jak się domyślacie, pierwszy przypadek zjawienia się chronolitu w mieście - w efekcie pierwszy znak, że w Azji Południowo-Wschodniej dzieje się coś ciekawszego niż w *Dziwniejszym od nauki*. Usiadłem obok Kaitlin i pozwoliłem jej się przytulić, kiedy śledziłem wiadomości. Kait natychmiast się znudziła. Dzieci w jej wieku nie wyczuwają kontekstu; jeden obraz telewizyjny niczym nie różni się od drugiego. I są bezwzględne, jeżeli chodzi o uwagę. Na Kaitlin wywarły wrażenie zdjęcia z helikoptera. Zmieszał ją widok nadrzecznych dzielnic zniszczonych i pokrytych lodem, parujących na słońcu. Jednak było tylko kilka takich ujęć i agencje informacyjne powtarzały je wielokrotnie w atmosferze niejasnych ocen liczby ofiar i pozbawionych sensu „interpretacji”. Namacalne

poczucie zdumienia, strachu i niedowierzania narzucane przez komentatorów jeszcze przez kilka minut kazało jej marszczyć brwi, ale już wkrótce zamknęła oczy i oddech przeszedł w płytkie, flegmatyczne chrapnięcia.

Byliśmy tam, Kait, ty i ja, pomyślałem.

Zrujnowany Bangkok z lotu ptaka wyglądał jak źle wydrukowana mapa samochodowa. Rozpoznałem Chao Phraya wijącą się przez miasto i zdewastowaną dzielnicę Rattanakosin, stare Miasto Królewskie, gdzie Khlong Lawd uchodziła do większej rzeki. Zielona plamka mogła być Lumpini Park. Ale pajęczyna dróg została zredukowana do niepojętego rumowiska cegieł, prętów zbrojeniowych, blachy, tektury i napęczniałego od mrozu asfaltu. Wszystko pokrywał połyskujący lód i spowijała mgła. Lód nie zapobiegł awariom sieci gazowej i w kilku miejscach wybuchły pożary - wyspy płomieni na lodowcowym gruzowisku. Zginęło tu mnóstwo ludzi, nie omieszkali nadmienić komentatorzy. Workowate twory zaśmiecające ulice to prawie na pewno ludzkie ciała.

Jedyną nietkniętą budowlą, w samym centrum katastrofy, był... chronolit. Nie był kopia chronolitu z Chumphon - wyższy, potężniejszy i staranniej wyrzeźbiony. Jednak ja natychmiast rozpoznałem przezroczystą, niebieską powierzchnię widoczną tam, gdzie płaty lodu odprysły z tej obcej, obojętnej skóry.

Monument „przybył” z hukiem po zmierzchu, według czasu Bangkoku. Te zdjęcia były zupełnie świeże, kilka z chaotycznej nocy, najnowsze z dzisiejszego ranka. Wraz z upływem czasu agencje informacyjne przekazywały coraz więcej materiałów satelitarnych. Można było zobaczyć w formie montażu, jak nowy chronolit zrzuca skorupę skondensowanej i zamrożonej wilgoci, zmieniając się z tego, na co wygląda - monstru-

alnie wielki, dziwnie nabrzmiąły biały słup - w to, czym jest - stylizowaną ludzką postać.

Bardziej niż cokolwiek innego przypominał pomniki stalinowskiej Rosji... Uskrzydłone Zwycięstwo w Leningradzie, powiedzmy. A może Kolosa Rodyjskiego stojącego w rozkroku na portowych falochronach. Takie budowle onieśmielają nie tylko dlatego, że są olbrzymie, ale i dlatego, że są z takim chłodem stylizowane. Nie był to obraz, ale zarys ludzkiej istoty, nawet twarz przedstawiała pewien typowy, euroazjatycki ideał nieosiągalny w rzeczywistym świecie. Lodowe strupy przywierały do łuków brwiowych, do nozdrzy. Poza oczywistą męskością, figura mogła przedstawiać kogokolwiek. W każdym razie kogoś, w kim nieograniczona pewność siebie łączyła się z absolutną władzą. To chyba Kuin. Taki, jakim chciał, abyśmy go widzieli.

Jego tors przechodził w kolumnową strukturę chronolitu. Podstawa monumentu, o średnicy może pięciuset metrów, obejmowała oba brzegi Chao Phraya, a tam, gdzie stykała się z wodą, powstawały kożuchy lodu. Te pękały w słońcu i spływały z prądem - kry lodowe w tropikach - odbijając się od kadłubów barek turystycznych.

Janice zadzwoniła o dziesiątej, chcąc wiedzieć, co zrobiłem z Kait. Spojrzałem na zegarek, zazgrzytałem zębami i przeprosiłem. Wyjaśniłem Janice, jak spędziliśmy dzień i jak wstrząsnął mną chronolit z Bangkoku.

- Ach, to - powiedziała, jakby były to już stare wiadomości.

Może dla Janice były. Zdążyła już zaszufładować chronolity jako uogólnione symboliczne zagrożenie, przerażające, ale odległe. Najwyraźniej była niezadowolona, że o tym mówię.

- Mogę odwieźć Kaitlin dzisiaj - powiedziałem - albo zatrzymać ją do rana, jeżeli tak będzie wygodniej. Śpi teraz na sofie.

- Daj jej poduszkę i koc - poleciła Janice, jakbym sam nie mógł na to wpaść. — Chyba równie dobrze może się przespać u ciebie.

Sprawiłem się jeszcze lepiej: zaniósłem Kaitlin do łóżka, a sam zająłem sofę. Przesiedziałem nieomal do rana, oglądając telewizję ze ściszonej dźwiękiem. Komentarz był niesłyszalny i chyba dobrze się stało. Pozostały tylko obrazy. Były coraz bardziej szczegółowe, w miarę jak ekipy telewizyjne docierały coraz głębiej w zgliszcza. Do rana wielką głowę Kuina niczym wieniec spowijała mgła i deszcz zaczął siąpić na płonące miasto.

Latem tego roku (kiedy to Kaitlin nauczyła się jeździć rowerem, który kupiłem jej na urodziny) trzeci chronolit wbił się w tętniące serce Phenianu i na poważnie zaczął się kryzys azjatycki.

Czas mijał. Czy powinienem przeproszać za te skoki... roku, rok tam? W końcu historia nie jest linearna. Biegnie płyciznami i przesmykami, starorzeczami i zatokami. (Prądami podwodnymi i ukrytymi wirami). I nawet pamiętnik jest swego rodzaju historią. Jednak przypuszczam, że zależy to od czytelników, dla których piszę, a to jeszcze nie jest jasne w mojej głowie. Do kogo się zwracam? Do mego pokolenia, z którego tak wielu już umarło albo właśnie umiera? Do potomnych, którzy mogli nie doświadczyć tych wydarzeń, ale którzy przynajmniej mogą je zacytować z podręczników szkolnych? Lub do jakiegoś odległego pokolenia, któremu było wolno, z łaską bożą, chociaż niemożliwe się to wydaje, zapomnieć choć tro-

chę z tego, co się wydarzyło w tym wieku? Innymi słowy, ile mam wyjaśniać i jak dokładnie?

Ale to pytanie pozostaje bez odpowiedzi. W gruncie rzeczy, jest nas tu tylko dwoje. Ja i ty. Kimkolwiek jesteś.

Między wizytą z Kaitlin w wesołym miasteczku a dniem, kiedy Arnie Kunderson odwołał mnie od kontrolowania partii towaru do swojego biura, minęło prawie pięć lat. Ta rozmowa była być może następnym znaczącym punktem w moim życiu, jeśli wierzysz w linearny związek przyczynowo-skutkowy i cywilizowany szacunek przyszłości dla przeszłości. Najpierw jednak posmakuj tamtych lat, wyobraź je sobie, jeśli ich nie pamiętasz.

Pięć pór letnich... ciepłych pór, kiedy to wiadomości (między pojawieniami się Kuina) zdominowane były przez ciągłe zmniejszanie się warstwy wodonośnej Oglalla. Nowy Meksyk i Teksas praktycznie straciły możliwość nawadniania swych suchych ziem. Oglalla, podziemny zbiornik słodkiej wody wielkości jeziora Huron i relikwiat ostatniego zlodowacenia, był niezbędny dla rolnictwa Nebraski, części Wyoming, Kolorado, Kansas i Oklahomy... i nadal się zmniejszał, wysysany z coraz większych głębin przez bezwzględnie wydajne pompy odśrodkowe. Serwisy telewizyjne pokazywały exodus z gospodarstw rolnych w powtarzających się, okrutnych obrazach: rodziny w zdezelowanych ciężarówkach rozkraczonych na autostradach międzystanowych, posępne dzieci z dzierganymi na szydełku zabawkami, szarpiące je za uszy i zakrywające sobie nimi oczy. Mężczyźni i kobiety w kolejce po pracę w Los Angeles albo Detroit, ciemna strona naszej kwitnącej gospodarki. Ponieważ większość z nas miała pracę, pozwalaliśmy sobie na luksus współczucia.

Pięć zim. W tych latach były suche i zimne. Zamożni po raz pierwszy włożyli termicznie dostosowujące się ubrania, przez co bardziej stylowe dzienne handlowe wyglądały jak po inwazji kosmitów w poliestrowych dresach i maskach tlenowych, podczas gdy cała reszta czmychała ulicami w napęczniałych kurtkach z kapturem albo trzymała się jak najbliższej łączników między budynkami. Domowe roboty (samosterujące odkurzacze, kosiarki bystre na tyle, żeby nie przerabiać dzieci) stały się powszechne. Wyprowadzacz psa marki Sony został wycofany z rynku po głośnym wypadku związanym ze źle funkcjonującymi światłami i parą shi tsu. W tych latach nawet starsi przestali nazywać swoje panele rozrywkowe telewizorami. Lux Ebone dwukrotnie ogłaszała swoje odejście. Cletus Kling pokonał rządzącą Marylin Leahy, oddając Biały Dom Partii Federalnej, chociaż Demokraci nadal kontrolowali Kongres.

Slogany dnia, teraz całkowicie zapomniane: „Oddaj mi sie”, „Brutal, ale miły!”, „Jak wół do karety”. Nazwiska i miejsca, które według nas były ważne: Doktor Dan Mniejszy, Sąd w Wheeling, Beckett i Goldstein, Kwame Finto. Wydarzenia: druga fala lądowań na Księżycu, pandemia w Zairze, kryzys europejskiej waluty, szturm na Hagę. I oczywiście Kuin, niczym narastający rytm werbla.

Phenian, potem Hoszimin ostatecznie Makau, Sapporo, równina Kanto, Iczang...

I cała wczesna kuinmania oraz zafascynowanie, dziesięć tysięcy stron internetowych z dość szczegółowymi i sprzecznymi teoriami, nie kończące się wrzenie fanatycznej prasy, sympozja i raporty komitetów, analizy rynku, dochodzenia Kongresu. Młody człowiek z Los Angeles, który oficjalnie zmienił sobie nazwisko na Kuin, wszyscy jego następcy.

CHRONOLITY

Kuin, kimkolwiek lub czymkolwiek był, spowodował już śmierć setek tysięcy ludzi, może więcej. Z tego powodu jego imię traktowano z powagą w szacownych kręgach. Z tego samego powodu stało się popularne wśród komików i projektantów T-shirtów. „Kuinizyczna” symbolika została zakazana w niektórych szkołach, aż interweniował ACLU. Ponieważ Kuin nie reprezentował niczego poza zniszczeniem i podbojem, stał się jedynie kamieniem, na którym niezadowoleni bazgrali swoje manifesty. Nic z tego wszystkiego nie było traktowane poważnie w Ameryce Północnej. Gdzie indziej wstrząsy sejsmiczne były bardziej złowrogie. Wszystko to uważnie śledziłem.

Przez dwa lata pracowałem w ośrodku badawczym Campion-Miller pod St. Paul, wpisując informacje do samorozwijającego się kodu komercyjnego interfejsu. Potem przeniesiono mnie do biur w centrum, gdzie dołączyłem do zespołu wykonującego w zasadzie tę samą pracę na znacznie bezpieczniejszym materiale, mocno strzeżonym kodzie źródłowym Campion-Miller, pulsującym sercu naszych głównych produktów. Przeważnie dojeżdżałem samochodem z mojego jednopokojowego mieszkania, ale w najgorsze zimowe dni jeździłem kolejką nadziemną, aluminiową kabiną, w której zbyt wielu podróżnych pozbywało się własnego ciepła i wilgoci, gdzie mieszały się zapachy ciał i płynów po goleniu, a miasto malowało się blade w zaparowanych na biało oknach.

(W trakcie jednej z tych podróży zobaczyłem młodą kobietę siedzącą w połowie wagonu, w kapeluszu z wydrukowanym napisem DWADZIEŚCIA I TRZY - dwadzieścia lat i trzy miesiące, nominalny odstęp między pojawieniem się chronolitu a przewidywanym podbojem. Czytała pognieciony egzem-

plarz *Dziwniejszego od nauki*, którego nie drukowano przynajmniej przez ostatnie sześćdziesiąt lat. Chciałem podejść do niej i zapytać, w jakich okolicznościach wyposażyła się w te symbole, owe echa mojej przeszłości, ale byłem zbyt nieśmiały, a poza tym jak mogłem sformułować takie pytanie? Nigdy już jej nie zobaczyłem.)

Kilka razy umawiałem się na randki. Niemal rok chodziłem z kobietą z działu kontroli jakości w Champion-Miller, Annali Kincaid, która uwielbiała turkus i nowy dramat, a także żywo interesowała się bieżącymi wiadomościami. Ciągała mnie na wykłady i odczyty, które sam bym zignorował. Ostatecznie rozstaliśmy się, ponieważ ona miała głębokie i złożone przekonania, a ja nie. Byłem kuinologiem, w odniesieniu do wszystkiego innego zaś politycznym agnostykiem.

Jednak choć raz udało mi się zrobić na niej wrażenie. Wykorzystała znajomości kogoś z Champion-Miller, aby załatwić nam wstęp na naukową konferencję na uniwersytecie: *Chronolity - aspekty naukowe i kulturowe*. (Wówczas był to pomysł w równym stopniu jej, jak i mój. Hm, głównie mój. Annali wyraziła już swoje wątpliwości co do satelitarnych i lotniczych zdjęć chronolitów, którymi ozdobiłem mój pokój, kuinistycznego shareware'u, który zaśmiecał mieszkanie.) Przesiedzieliśmy prezentacje trzech artykułów i większość przyjemnego, sobotniego popołudnia i w tym momencie Annali zdecydowała, że dyskusja jest nieco zbyt abstrakcyjna jak na jej gust. Jednak gdy szliśmy przez hol, przywołała mnie starsza kobieta w luźnych džinsach i za dużym, zielonym swetrze. Uśmiechała się do mnie radośnie zza monsturalnych okularów. Była to Sulamith Chopra. Znałem ją z Cornell. Jej karier-

ra potoczyła się daleko w fizyczny zaulek badań nad chronolitymi. Przedstawiłem ją Annali. Dziewczynę zamurowało.

- Pani Chopra, słyszałam o pani. To znaczy, zawsze cytują panią w wiadomościach.

- Cóż, trochę pracowałam.

- Cieszę się, że panią spotkałam.

- Ja też. - Ale Sue nie spuszczała ze mnie wzroku. To dziwne, że wpadłam tutaj na ciebie, Scotty.

- Tak?

- To niespodziewane. Może nawet znaczące. Choć może nie. Kiedyś musimy dogonić własne życie.

To mi schlebiało. Bardzo chciałem z nią porozmawiać. Patetycznie podałem jej wizytówkę.

- Nie trzeba - odpowiedziała. - Znajdę cię, jak będę cię potrzebować, Scotty. Nie bój się.

- Znajdziesz?

Ale zginęła w tłumie.

- Masz dobre znajomości - powiedziała Annali w drodze do domu.

Jednak to nie była prawda. (Sue nie zadzwoniła - nie w tym roku - a moje próby dotarcia do niej nie powiodły się.) Miałem znajomości, niezbyt dobre, ale też nie przypadkowe. Spotkanie z Sue Choprą to znak, tak jak tamta kobieta w wagonie, ale jego znaczenie było nie do odczytania - proroctwo w zakodowanym języku, sygnał ukryty w szumie.

Wezwanie do biura Arniego Kundersona nigdy nie było dobrym znakiem. Był moim przełożonym, odkąd podjąłem pracę w Champion-Miller, i wiedziałem o nim jedno: kiedy wiadomość jest dobra, sam ją przynosi. Jeżeli wzywa cię do biura, przygotuj się na najgorsze.

Widziałem ostatnio Arniego, jak był zły, kiedy mój zespół nie dopilnował protokołu zamówienie-sortowanie-wysyłka, co niemal przypłaciliśmy kontraktem z krajowym detalistą. Jednak gdy wszedłem do jego biura, wiedziałem, że to coś poważniejszego. Kiedy Arnie był zły, był niezwykle ożywiony, kwieście wręcz zdenerwowany. Dzisiaj, gorzej, siedział za biurkiem ze wściekłym spojrzeniem człowieka, któremu zlecono obrzydliwe, ale konieczne zadanie... powiedzmy przedsiębiorca pogrzebowy. Nie chciał spojrzeć mi w oczy.

Przyciągnąłem sobie krzesło i czekałem. Nie byliśmy na stopie formalnej. Bywaliśmy u siebie na grillu. Arnie założył ręce na piersi i odezwał się:

- Tego się nigdy łatwo nie robi. Scott, muszę ci powiedzieć, że Champion-Miller nie przedłuży z tobą kontraktu. Unieważniamy go. To oficjalne powiadomienie. Wiem, że nie otrzymałeś żadnego ostrzeżenia, Chryste, strasznie mi przykro, że muszę ci to powiedzieć. Otrzymasz pełną odprawę i szczerą rekompensatę za pół roku, jakie zostało do końca.

Nie byłem tak zaskoczony, jak się Arnie spodziewał. Ekonomiczny krach w Azji uderzył mocno w zagraniczne rynki Champion-Miller. Zaledwie w ubiegłym roku firmę przejęła międzynarodowa korporacja, której kierownictwo zwolniło jedną czwartą pracowników i spieniężyło zależne holdingi C-M za cenę samych nieruchomości. Czułem się jednak, jakby atak przyszedł nie z tej strony, z której się spodziewałem.

W tym roku bezrobocie rosło. Kryzys Oglalla i upadek gospodarek azjatyckich rzuciły wielu ludzi na rynek pracy. Zaledwie pięć przecznic stąd było miasteczko namiotów nad rzeką. Wyobraziłem sobie siebie tam.

CHRONOLITY

- Powiesz o tym zespołowi czy chcesz, żebym ja powiedział? - spytałem.

Zespół, którym kierowałem, pracował nad programami przewidującymi zachowania rynku, jedną z najbardziej lukratywnych działek C-M. W szczególności zajmowaliśmy się wyrażaniem prawdziwej kontra postrzeganej przypadkowości w takich aplikacjach jak trendy konsumenckie i rywalizacja cenowa.

Każ komputerowi wybrać dwie przypadkowe cyfry z przedziału od jednego do dziesięciu, a maszyna podaje w całkowicie przypadkowej sekwencji - może 2 i 3, może 1 i 9 i tak dalej. Zapytaj kilka osób, spisz ich odpowiedzi, a otrzymasz krzywą mocno obsadzoną przy trójce i siódemce. Kiedy ludzie myślą „przypadkowy”, wyobrażają sobie cyfry, które można nazwać „nie narzucającymi się” — niezbyt blisko końca, nie za dokładnie w środku, nie w jakimś oczywistym ciągu (2,4,6), itd.

Innymi słowy, jest coś, co można by nazwać intuicyjną przypadkowością, która zasadniczo różni się od tego, co prawdziwie przypadkowe. Czy można wykorzystać tę różnicę, z korzyścią dla nas, w handlowych działaniach na dużą skalę, takich jak marketing, budowanie portfeli papierów wartościowych lub ustalanie cen towarów? Tak myśleliśmy. Zrobiliśmy mały krok naprzód. Praca szła wystarczająco dobrze, by wydawało się, że wiadomość Arniego przyszła (mówiąc ogólnie) w dziwnym momencie.

Odchrząknął.

- Źle mnie zrozumiałeś. Zespół nie odchodzi.
- Słucham?
- To nie moja decyzja, Scott.

CHRONOLITY

- Ty to powiedziałaś. Dobra, to nie twoja wina. Ale skoro projekt jest kontynuowany...

- Nie prosz, żebym to usprawiedliwiał. Szczerze, nie mogę.

- Zaczekał, aż te słowa dotrą do mnie.

- Pięć lat - powiedziałem. - Kurwa, Arnie. Pięć lat!

- Niczego nie gwarantujemy. Już nie. Wiesz o tym równie dobrze jak ja.

- Może by mi pomogło, gdybym zrozumiał, dlaczego tak się stało.

Poruszył się w fotelu.

- Nie wolno mi o tym mówić. Twoja praca była znakomita i mogę dać ci to na piśmie, jeśli chcesz.

- Mówisz mi, że narobiłem sobie wrogów w zarządzie?

Nieomal skinął głową.

- Nasza praca jest dość tajna. Ludzie się denerwują. Nie wiem, czy narobiłeś sobie wrogów. Może masz niewłaściwych przyjaciół.

Jednak to było mało prawdopodobne. Przyjaciół nie miałem zbyt wielu. Kogoś, z kim mogłem się umówić na lunch, po-flirtować, to się rozumie. Jakimś sposobem, za sprawą jakiegoś procesu powolnego emocjonalnego wyczerpania, stałem się facetem, który pracuje ciężko, uśmiecha się przyjaźnie i wraca do domu, gdzie spędza wieczór przed panelem wideo wraz z paroma piwami. To właśnie zrobiłem w dniu, kiedy Arnie Kunderson wyrzucił mnie z pracy.

Mieszkanie nie zmieniło się specjalnie, odkąd się tu wprowadziłem. (Poza jedną ścianą w sypialni, którą wykorzystywałem jako gazetkę ścienną. Wydruki wiadomości, zdjęcia chronolitów i moje liczne notatki na ten temat.) W pewnym sensie zmiany w mieszkaniu były dziełem Kaitlin. Kait, teraz

dziesięciolatka, chętnie krytykowała mój gust. Prawdopodobnie czuła się wtedy dorosła. Zmieniłem sofę, ponieważ zmęczyło mnie słuchanie, jak bardzo jest „nienowoczesna” - ulubione słowo Kait na wyrażenie drwiny. W każdym razie stara kanapa zniknęła, a na jej miejscu pojawiła się surowa niebieska ławka, która wyglądała świetnie, dopóki się na niej nie usiadło.

Chciałem zadzwonić do Janice, ale rozmyśliłem się. Janice nie lubiła spontanicznych telefonów. Wolała otrzymywać wiadomości ode mnie według regularnego i przewidywalnego grafiku. A jeżeli chodzi o Kaitlin... jej też lepiej nie przeszkadzać. Gdybym do niej zadzwonił, mogłaby przejść do wykładu o tym, co robiła dzisiaj z Whitem, gdyż zachęcano ją, by tak właśnie zwracała się do swojego ojczyma. Whit był w porządku, w opinii Kait. Rozśmieszał ją. Może powinienem porozmawiać z Whitem. Może rozśmieszyłby mnie.

Zatem tego wieczoru nie zrobiłem nic poza wypiciem kilku piw i surfowaniem po satelitach. Nawet tanie serwery ustępowały po kilka programów przyrodniczo-naukowych. Jeden z nich prezentował nowy film z Tajlandii o prawdziwie niebezpiecznej wyprawie w górę Chao Phraya do ruin Bangkoku, sponsorowanej przez National Geographic i kilka korporacji, których logo były eksponowane w podziękowaniach poprzedzających film. Wyłączyłem dźwięk, niech obrazy mówią same za siebie.

Niewiele z centrum Bangkoku odbudowano od roku 2021. Nikt nie chciał mieszkać ani pracować zbyt blisko chronolitu — plotki o „chorobie bliskościowej” przerażały ludność, chociaż w profesjonalnej literaturze medycznej takiej diagnozy nie stawiano. Bandydzi i rewolucyjne milicje

były jednak całkiem rzeczywiste i wszędobylskie. Mimo to na Chao Phraya kwitł handel rzeczny, i to nawet w cieniu Kuina.

Program zaczynał się od panoramy miasta z lotu ptaka. Krzywe, surowe nabrzeża dawały dostęp do prymitywnych magazynów, targu, zapasów świeżych owoców i warzyw; porządek wyłaniający się z chaosu, ulice odzyskiwane z gruzowisk i otwierające się na handel. Z odpowiednio dużej wysokości wyglądało to jak historia ludzkiego uporu w obliczu katastrofy. Widok z ziemi był mniej zachęcający.

Kiedy ekspedycja zbliżyła się do centrum miasta, chronolit było widać na każdym ujęciu... z daleka, górujący nad brązową rzeką, lub z bliska, pnący się ku tropikalnemu księżycowi.

Monument był podejrzanie czysty. Unikały go nawet ptaki i owady. Pył wzbity w powietrze osiadał w kilku niedostępnych zagłębieniach wyrzeźbionej twarzy, co nieznacznie łagodziło zamyślane spojrzenie Kuina. Jednak w tych wypełnionych ziemią zakamarkach nic nie rośło. Sterylność posągu była absolutna. Tam, gdzie podstawa monumentu stykała się z gruntem na jednym z brzegów, kilka lian próbowało wspiąć się na olbrzymi graniastosłup, ale nie potrafiły się wczepić w powierzchnię gładką jak lustro, niechętną wszystkiemu.

Ekspedycja zakotwiczyła pośrodku rzeki i zeszła na brzeg po więcej materiału. Na jednym z ujęć nad starożytnym miastem przechodziła burza. Deszcz spływał z chronolitu miniaturowymi kaskadami, małymi wodospadami, burząc osady na dnie rzeki. Sprzedawcy u nabrzeży zakrywali stragany brezentem oraz foliami i chowali się pod nimi.

Przebitka z dziką małą na przewróconym billboardzie Exxon, szczekającą na niebo. Chmury rozstępujące się wokół

wielkiej głowy Kuina. Słońce wyłaniające się zza zielonego horyzontu, chronolit zacieńający miasto niczym gnomon wielkiego zegara słonecznego. Było jeszcze więcej obrazów, ale nic rewelacyjnego. Wyłączyłem monitor i poszedłem spać.

My - świat anglojęzyczny - zdążyliśmy już ustalić pewną terminologię opisującą chronolity. Chronolit, na przykład, „pojawiał się” lub „przybywał”... chociaż niektórzy preferowali „spadł”, jakby to było jakieś powstrzymane tornado.

Najnowszy chronolit pojawił się (przybył, spadł) ponad półtora roku temu, równając z ziemią nabrzeże w Makau. Zaledwie pół roku wcześniej podobny monument zniszczył Tajpej. Oba kamienie, jak zwykle, upamiętniały militarne zwycięstwa mniej więcej dwadzieścia lat w przyszłości. Dwadzieścia i trzy: nawet nie całe życie, lecz niewątpliwie wystarczająco długo, by Kuin (jeżeli istniał, jeżeli był czymś więcej niż wymyślonym symbolem lub abstrakcją) zebrał siły do rzekomego podboju Azji. Wystarczająco długo, by młodzieniec stał się dojrzałym mężczyzną. Wystarczająco długo, by młoda dziewczyna stała się młodą kobietą.

Jednak od ponad roku nigdzie na świecie nie pojawił się żaden chronolit i niektórzy zaczęli wierzyć, że kryzys ów, jeśli się nie skończył, to przynajmniej ograniczał się do Azji... wydzielonej geograficznie i ograniczonej oceanami.

Publicznej dyskusji brakowało wsparcia, pozostawała ogólnikowa. Większa część południowych Chin tkwiła w politycznym i militarnym chaosie, była ziemią niczyją, na której Kuin zbierał już załazek swych zwolenników. Ale we wstępiaku wczorajszej gazety redakcja zastanawiała się, czy Kuin przypadkiem na dłuższą metę nie okaże się siłą pozytywną: kuinistyczne imperium raczej nie miało być dobroduszną dyk-

taturą, ale mogło przywrócić równowagę w niebezpiecznie niepewnym regionie. Pozostałości rozbitej pekińskiej biurokracji już zdetonowały taktyczny pocisk jądrowy, bez powodzenia próbując zniszczyć ubiegłorocznego, tak zwanego Kuina z Iczang. Doprowadziło to do przzerwania tamy i powodzi, która zaniósła radioaktywne błoto aż do Morza Wschodniochińskiego. Skoro upośledzony Pekin był do tego zdolny, czyż reżim Kuina mógł być gorszy?

Nie miałem własnego zdania. W tamtych czasach wszyscy - nawet ci z nas, którzy się interesowali - nadrabialiśmy miną, analizując chronolity (według dat, czasu, rozmiaru, podawanego podboju itd.), żebyśmy mogli udawać, że je rozumiemy. Ja jednak wolałem nie uczestniczyć w tej grze. Chronolity rzuciły cień na moje życie, odkąd źle się zaczęło dziać między mną a Janice. Stanowiły symbol wszelkiej złośliwej i nieprzewidywalnej siły na świecie. Były momenty, kiedy bałem się ich nie na żarty, i to tak często, że w ogóle nie przyznawałem się do tego przed sobą. Czy to obsesja? Tak uważała Annali.

Próbowałem zasnąć. Snem, który splata nitki rękawa i tak dalej. Snem, który zabija martwy czas między północą a świtem. Lecz nawet to nie było mi dane. Godzinę przed wschodem słońca zadzwonił telefon. Powinienem pozwolić, by odebrał go serwer, ale odnalazłem po omacku słuchawkę i otworzyłem ją, bojąc się - jak zawsze, kiedy telefon dzwonił w nocy - że coś się stało Kait.

- Halo?

- Scott - odezwał się chropawy męski głos. - Scotty.

Przez jeden, pełen paniki moment myślałem o Hitchu

Paley. Hitchu, z którym nie rozmawiałem od 2021. Hitchu, który zjawia się z przeszłości jak pijany duch. Ale to nie

był Hitch, tylko inny duch. Wsłuchiwałem się w rzęzący oddech, wtlączenie i wydalanie nocnego powietrza w zniszczonych miechach.

- Tata?

- Scotty... - powtórzył, jakby nie mógł wyjść poza moje imię.

- Tato, piłeś? - Byłem na tyle grzeczny, że powstrzymałem się przed dodaniem „znowu”.

- Nie - rzucił ze złością. - Nie, chciałem... no, ach, do kurwy z tym. To rodzaj... rodzaj terapii... no, wiesz, kurwa.

I rozłączył się. Wygramoliłem się z łóżka. Patrzyłem, jak słońce wschodzi nad spółdzielnią rolniczą na wschodzie, wielkim, kolektywnym gospodarstwem, naszym zabezpieczeniem przed głodem. Pola pokryła warstewka śniegu, jaśniał migotliwie między pustymi warkoczami bruzd.

Później pojechałem do mieszkania Annali, zastukałem. Nie spotykaliśmy się od ponad roku, ale nadal byliśmy przyjaciółmi, gdy widywaliśmy się na kawie w stołówce czy w barze. Obecnie wykazywała raczej matczyne zainteresowanie moją osobą - pytała o zdrowie, jakby spodziewała się, że prędej czy później stanie się coś strasznego. (Może nadszedł już ten dzień, chociaż byłem ciągle zdrowy jak koń.) Kiedy jednak otworzyła drzwi i zobaczyła mnie, była zaskoczona. Zaskoczona i najwyraźniej zakłopotana. Wiedziała, że zostałem zwolniony. Może wiedziała coś więcej. I dlatego właśnie przyjechałem do niej - liczyłem, że mogłaby pomóc mi zrozumieć, co się stało.

- Scotty - odezwała się - powinieneś wpierw zadzwonić.

CHRONOLITY

- Jesteś zajęta? - Nie wyglądała na zajętą. Miała na sobie luźne rybaczkę i wyblakłą żółtą bluzkę. Może sprzątała w kuchni.

- Wychodzę za parę minut. Zaprosiłabym cię, ale muszę się ubrać i przygotować. Co cię sprowadza?

Zrozumiałem, że boi się mnie... albo tego, że ktoś zobaczy ją ze mną.

- Scott? - Rozejrzała się po korytarzu. - Masz kłopoty?

- Dlaczego miałbym mieć kłopoty, Annali?

- Hmm... słyszałam, że cię zwolnili.

- Od kiedy?

- Co masz na myśli?

- Od kiedy wiedziałaś, że chcą mnie zwolnić?

- Chcesz powiedzieć, że wszyscy o tym wiedzieli?

Nie, Scott. Boże, to byłoby poniżające. Nie. Oczywiście, słyszy się plotki...

- Jakie plotki?

Zmarszczyła brwi i zagryzła wargę. To nowy nawyk.

- Przy pracy, jaką wykonuje się w Champion-Miller, lepiej unikać kłopotów z rządem.

- Kurwa, jaki to ma związek ze mną?!

- Wiesz, nie musisz krzyczeć.

- Annali... kłopoty z rządem?

- Słyszałam, że jacyś ludzie pytali o ciebie. Chyba ludzie z rządu.

- Policja?

- Nie... masz kłopoty z policją? Nie, po prostu faceci w garniturach. Może policja podatkowa, nie wiem.

- To nie ma sensu.

- Tak mówią ludzie, Scott. To wszystko mogą być bzdury. Naprawdę nie wiem, dlaczego cię zwolnili. To przez ten wspólny rynek, są zależni od utrzymania wszystkich zezwoleń. Cały techniczny personel wysyłają za ocean. Jeżeli ktoś przychodzi i pyta o ciebie, może to zagrażać wszystkim.

- Annali, ja nie stanowią zagrożenia.

- Wiem, Scott. - Nic nie wiedziała. Nie chciała spojrzeć mi w oczy. - Szczerze, jestem pewna, że to wszystko bzdury, ale teraz naprawdę muszę się ubrać. - Zaczęła zamykać drzwi. — Następnym razem zadzwoń, na miłość boską!

Mieszkała na pierwszym piętrze małej, dwupiętrowej kamienicy z cegły w starej dzielnicy Ediny. Mieszkanie 203. Wpatrywałem się przez moment w numer na drzwiach. Dwadzieścia i trzy. Nigdy więcej nie widziałem Annali Kincaid. Czasami zastanawiam się, jakie życie prowadziła, jak jej się wiodło przez te długie, ciężkie lata.

Nie powiedziałem Janice, że straciłem pracę. Nie dlatego, żebym coś jeszcze próbował Janice udowodnić. Może sobie. A z pewnością Kaitlin. Nie żeby Kait obchodziło, z czego żyję. Dla dziesięcioletniej Kait sprawy dorosłych nadal były niejasne i nieciekawe. Wiedziała tylko, że „chodzę do pracy” i że zarabiam dosyć, aby być szanowanym, jeżeli nie zamożnym członkiem świata dorosłych. I dobrze. Podobało mi się to moje odbicie w oczach Kait: stabilny, przewidywalny, nawet nudny. Ale nie rozczarowujący.

Z pewnością nie niebezpieczny.

Nie chciałem, aby Kait (Janice lub nawet Whit) dowiedziała się, że zostałem zwolniony... przynajmniej nie natychmiast, zanim będę mógł dodać coś do tej historii. Jeżeli nie szczęśliwe zakończenie, to przynajmniej drugi rozdział, ciąg dalszy...

Pojawiło się to w postaci kolejnego niespodziewanego telefonu. Niejako szczęśliwe zakończenie, nie. To zupełnie nie był koniec. Zdecydowanie nie był też szczęśliwy.

Janice i Whit zaprosili mnie na obiad. Robili to zasadniczo co kwartał, tak jak się łoży na fundusz emerytalny albo na sensowne cele charytatywne. Janice nie była już samotną matką z czynszowej kamienicy pozostającej pod zarządem miasta. Zrzuciła ten stygmat, kiedy wyszła za swojego przełożonego z laboratorium biochemicznego, w którym pracowała, Whitmana Delahunta. Whit był ambitnym facetem o poważnym talencie kierowniczym. Clarion Pharmaceuticals prosperowało mimo kryzysu azjatyckiego, zaopatrując rynki zachodnie nagle pozbawione tanich biochemicznych produktów z Tajwanu i Chin. (Whit czasami mówił o chronolitach „boski podatek”, a wtedy Janice uśmiechała się niepewnie.) Nie sądzę, aby Whit specjalnie mnie lubił, ale akceptował mnie niczym jakiegoś kuzyna ze wsi, powiązanego z Kaitlin niemiłą i skrywaną wpadką ojcostwa.

Jeśli mam być szczery, chciał, żebym się dobrze czuł, przynajmniej tego wieczoru. Otworzył drzwi swojego piętrowego domu i stanął spowity ciepłym, żółtym światłem. Uśmiechał się. Whit należał do tych wielkich, łagodnych, misiowatych mężczyzn, zresztą równie obficie jak misie owłosionych. Nie przystojnych, ale takich, o których kobiety mówią „słodki”. Był dziesięć lat starszy od Janice. Łysiejący, ale było mu z tym do twarzy. Uśmiechał się szeroko, choć może nieszczerze, a zęby miał olśniewająco białe. Whit zdecydowanie miał najlepszą opiekę dentystyczną, najlepszą promieniową kariotomię i najlepszy samochód w okolicy. Zastanawiałem się, czy ciężko było Janice i Kaitlin być najlepszymi żoną i córką.

- Wejdz, Scott! - wykrzyknął. - Zdejmij te botki i ogrzej się przy ogniu.

Jedliśmy w przestronnej jadalni, której wytworne okna, oprawiane w ołów, podzwaniały w ramach. Kait opowiadała trochę o szkole. (W tym okresie miała kłopoty, szczególnie z matematyką.) Whit opowiadał ze znacznie większym entuzjazmem o swojej pracy. Janice nadal prze prowadziła rutynowe syntezы białka w Clarion i zupełnie o tym nie mówiła. Była zadowolona, że to Whit zajął się przechwalaniem.

Kait przeprosiła i popędziła do sąsiedniego pokoju, gdzie telewizor mamrotał w kontrapunkcie do zawodzenia wiatru. Whit przyniósł karafkę brandy. Drinki serwował niezdarnie, jak człowiek Zachodu próbujący naśladować japońską ceremonię parzenia herbaty. Nie za bardzo umiał pić.

- Zdaje się, że to ja cały czas mówiłem - powiedział. -Co u ciebie, Scott? Jak ci się żyje?

- Los rozdaje nam dary, nie zważając na księgę.

- Scotty znowu cytuje poezję - wyjaśniła Janice.

- Miałem na myśli, że zaproponowano mi pracę.

- Myślisz o odejściu z Campion-Miller?

- Rozstałem się z nimi jakieś dwa tygodnie temu.

- Och! Śmiała decyzja, Scott.

- Dziękuję, Whit, ale wtedy taka się nie wydawała.

- Dla kogo więc teraz pracujesz? - zapytała Janice, najwyraźniej z głębokim zrozumieniem.

- Hmm, to jeszcze nie jest pewne, ale... pamiętasz Sue Choprę?

Zmarszczyła brwi. Po chwili szeroko otworzyła oczy.

- Tak! Cornell, mam rację? Docent, która wykładała ten dziwny przedmiot na pierwszym roku?

Janice i ja poznaliśmy się na studiach. Pierwszy raz zobaczyłem ją, kiedy szła przez laboratorium chemiczne z butelką wodorotlenku litowego glinu w ręce. Gdyby ją upuściła, mogłaby zabić nas oboje. Pierwsza zasada stabilnego związku: Kurwa, nie upuść tej butelki.

To Janice przedstawiła mnie Sulamith Choprze, kiedy ta była jeszcze śmiesznie wysoką i przy kości panią doktor, pracującą nad swoją reputacją na wydziale fizyki. Zlecono jej (prawdopodobnie jako karę za akademicką niedyskrecję) interdyscyplinarny kurs na drugim roku, oferowany studentom angielskiego jako zaliczenie z przedmiotu ścisłego, a studentom nauk ścisłych jako zaliczenie z angielskiego. Sue wzięła się do tego i ułożyła program tak przerażający, że uciekli wszyscy, z wyjątkiem kilku naiwnych artystów i skołowanych maniaków komputerowych. No i mnie. Miłą niespodzianką było to, że Sue nie chciała nikogo oblewać. Ułożyła taki program, aby przestraszyć parweniuszy. Z pozostałymi chciała jedynie ciekawie rozmawiać.

Zatem *Metafora i modelowanie rzeczywistości w literaturze i naukach fizycznych* stała się rodzajem cotygodniowego salonu, a zaliczenie uzależnione było tylko od lektury programu i interesujących dyskusji. Aby łatwo dostać podpis, trzeba było jedynie zapytać Sue o jej ulubione przedmioty badawcze (o geometrię Calabi-Yau, powiedzmy, lub o różnicę między siłami uprzednimi a kontekstualnymi); mówiła wtedy dwadzieścia minut i oceniała cię za wiarygodność i okazywane zaangażowanie.

Jednak można było sobie z nią pogadać, więc większość zajęć wypełniały sesje pierdoł. A pod koniec semestru przestałem traktować ją jak wyłupiastooką i źle ubra-

ną dziwaczkę o wzroście metr dziewięćdziesiąt, zacząłem natomiast dostrzegać w niej zabawną i wściekle inteligentną kobietę, jaką rzeczywiście była.

- Sue Chopra zaproponowała mi pracę - wypaliłem.

- To jedna z profesorów w Cornell - wyjaśniła Janice Whitowi. - Czy ostatnio nie widziałam jej nazwiska w gazecie?

Prawdopodobnie tak, ale to było niewygodne terytorium.

- Należy do grupy badawczej finansowanej z funduszy federalnych. Ma spore wpływy, więc może zatrudniać pomoc.

- I skontaktowała się z tobą?

- To nie było szczególnie uprzejme - wtrącił Whit.

- Wszystko w porządku, Whit. Janice chce wiedzieć, na co takiemu wpływowemu naukowcowi jak Sue Chopra taki wklepywacz komputerowy jak ja. To pytanie jest fair.

- A odpowiedź brzmi...? - pytała Janice.

- Chyba potrzebowali jeszcze jednego komputerowca.

- Powiedziałeś jej, że szukasz pracy?

- Hm, no wiesz. Pozostajemy w kontakcie.

„Znajdę cię, jak będę cię potrzebować, Scotty. Nie bój się”.

- Ehm. - W ten sposób Janice informowała mnie, iż wie, że kłamię, ale nie naciskała.

- No, to wspaniale, Scott — powiedział Whit. - To trudne czasy, kiedy się jest bez pracy. Zatem wspaniale.

Nie rozmawialiśmy o tym więcej aż do końca obiadu, kiedy to Whit nas przeprosił. Janice poczekała, aż odszedł na tyle, by nie mógł nas słyszeć.

- O czymś nie powiedziałaś?

O kilku sprawach. Podałem jej jeden szczegół.

CHRONOLITY

- Praca jest w Baltimore.
- Baltimore?
- Baltimore w Marylandzie.
- Chcesz powiedzieć, że przenosisz się na drugi koniec kraju?

- Jeżeli dostanę tę pracę. To jeszcze nie jest pewne.

- Ale nie powiedziałaś Kaitlin.

- Nie. Nic jej nie mówiłem. Wpierw chciałem porozmawiać z tobą.

- Ehm. Cóż, nie wiem, co powiedzieć. To takie nagłe. Chodzi o to, jak bardzo Kaitlin się zmartwi. Ale tego nie mogę przewidzieć. Bez obrazy, ale ona już nie mówi o tobie tyle co kiedyś.

- To nie tak, jakbym miał zniknąć z jej życia. Będziemy się odwiedzać.

- Odwiedzać to nie to samo co być ojcem, Scott. Odwiedzanie to tak... jakbyś był wujkiem. Ale nie wiem. Może tak będzie najlepiej. Ona i Whit rozumieją się.

- Nawet kiedy stąd wyjadę, nadal będę jej ojcem.

- W takim stopniu, jak zawsze byłeś, to prawda.

- Jesteś zła.

- Nie jestem. Zastanawiam się tylko, czy powinnam być.

Whit zszedł z góry i jeszcze trochę porozmawialiśmy, ale wiatr przybierał na sile, gęsty śnieg walił w okna, a Janice martwiła się głośno stanem ulic. Pożegnałem się więc z Whitem i z nią, a potem zczekałem przy drzwiach na Kait, aby jak zwykle uściskała mnie na pożegnanie.

Podeszła, lecz zatrzymała się metr czy dwa ode mnie. Wzrok miała chmurny, a jej dolna warga drżała.

- Kaity, robaczku? - zagadnąłem.

- Proszę, nie nazywaj mnie tak. Nie jestem dzieckiem.

Wtedy zrozumiałem.

- Podśłuchiwałaś.

Wada słuchu nie uniemożliwiała jej podsłuchiwania. Jeśli już, to Kait stała się bardziej przebiegła i ciekawska.

- Hej - powiedziała - to nie ma znaczenia. Wyprowadzasz się. W porządku.

- Nie powinnaś podsłuchiwać, gdy inni rozmawiają, Kaitlin. - Z wszystkiego, co mogłem powiedzieć, wybrałem właśnie to.

- Nie mów mi, co mam robić - odparła, odwróciła się i pobięła do swojego pokoju.

Janice zadzwoniła do mnie w przededniu mojego wyjazdu do Baltimore i rozmowy z Sue Choprą. Byłem zaskoczony, kiedy usłyszałem jej głos w słuchawce - rzadko telefonowała poza wyznaczonymi porami.

- Nic się nie stało - powiedziała natychmiast. - Chciałam tylko, żebyś wiedział, że życzę ci powodzenia.

Powodzenia, abym trzymał się z dala od miasta? Ale to był drobiazg.

- Dziękuję - powiedziałem.

- Mówię to szczerze. I chciałam, żebyś o tym wiedział... tak, Kaitlin ciężko to przyjęła. Ale przejdzie jej. Gdyby nie zależało jej na tobie, tak bardzo by się nie martwiła.

- Hm... dziękuję, że to mówisz.

- To nie wszystko. - Zawahała się. - Ach, Scott, paskudnie spieprzyliśmy sprawę, co? Wtedy w Tajlandii. To było zbyt szalone. Zbyt dziwne.

- Przeprosiłem za to.

CHRONOLITY

- Nie dzwonię po przeprosiny. Słyszysz, co mówię? Może to częściowo była moja wina.

- Nie bawmy się w licytowanie win, Janice. Ale doceniam to, co mówisz.

W czasie rozmowy nie mogłem się powstrzymać przed oglądaniem mieszkania. Wydawało się puste. Pod zapleśniałymi roletami okna były białe od lodu.

- Chcę ci powiedzieć, że wiem, jak bardzo chciałeś to naprawić. Nie ze względu na mnie. Ja jestem stracona, prawda? Ale ze względu na Kaitlin.

Nie odpowiedziałem.

- Przez cały ten czas, gdy pracowałeś w Champion-Miller... Wiesz, martwiłam się, kiedy wróciłeś z Tajlandii, tak

dawno temu. Nie wiedziałam, czy nie będziesz siedział mi na progu i osaczał mnie, czy Kaitlin w ogóle powinna cię zobaczyć. Ale muszę przyznać, że cokolwiek znaczy być rozwiedzionym ojcem, ty spisałeś się świetnie. Przeprowadziłeś Kaitlin przez ten ból, jakbyś szedł z nią przez pole minowe, samemu ryzykując.

Takiej intymnej rozmowy nie prowadziliśmy od lat i nie wiedziałem, jak zareagować.

- Wyglądało to tak, jakbyś próbował coś sobie udowodnić - mówiła dalej. - Udowodnić, że potrafisz zachowywać się przyzwoicie, brać odpowiedzialność.

- Nie udowadniałem - wtrąciłem. - Zachowywałem się tak.

- Zachowywałeś, ale jednocześnie karałeś się. Obwiniałeś. A to także branie odpowiedzialności. Ale po przekroczeniu pewnego punktu, Scott, to staje się problemem samo w sobie. Tylko mnisi muszą się umartwiać cały czas.

CHRONOLITY

- Nie jestem mnichem, Janice.

- Więc nie zachowuj się, jakbyś nim był. Jeżeli ta praca to dobry wybór, bierz ją. Bierz, Scott. Kait nie przestanie cię kochać tylko dlatego, że nie możesz spotykać się z nią co tydzień. Teraz jest smutna, ale zrozumie to.

To była długa przemowa i jednocześnie największy dotychczas wysiłek ze strony Janice, aby udzielić mi absencji, dać mi najwyższą notę za to, że przyznałem, iż z mojej winy nasze życie stało się katastrofą. I było to dobre. To było szczodre. Zarazem jednak słychać w tym było zamykające się drzwi. Pozwalała, bym szukał lepszego życia, ponieważ jakiegokolwiek tłące się wciąż podejrzenie, że możemy odtworzyć to, co kiedyś było między nami, okazało się wysoce chybione. Cóż, oboje o tym wiedzieliśmy, ale na to, o czym myśli głowa, nie zawsze godzi się serce.

- Muszę się pożegnać, Scotty. - Jej głos jakby się załamał, nieomal jakby miała czkawkę.

- Dobrze, Janice. Pozdrów Whita.

- Zadzwoń, jak znajdziesz pracę.

- Jasne.

- Kait nadal chce się z tobą kontaktować, cokolwiek sobie myśli. W tych czasach, wiesz, kiedy świat jest taki właśnie...

- Rozumiem.

- I uważaj w drodze na lotnisko. Drogi są śliskie po ostatnich opadach śniegu.

Wylądowałem w Baltimore, spodziewając się wynajętego kierowcy z kartką z moim nazwiskiem, ale na spotkanie wyszła mi sama Sulamith Chopra. Nawet po tylu latach nie sposób było jej z kimkolwiek pomylić. Górowała nad tłumem. Nawet głowę miała wysoką, niezgrabny brązowy orzeszek

zwieńczony czarnym strzępkim. Miała na sobie baloniaste spodnie oraz bluzkę, która kiedyś mogła być biała, gdyby najwyraźniej nie prano jej wielokrotnie razem z farbującą odzieżą. Tak bardzo kojarzyła się ze sklepem Armii Zbawienia, że aż zastanawiałem się, czy naprawdę może komuś zaoferować pracę... ale wtedy pomyślałem: akademia, nauki ścisłe.

Uśmiechnęła się. Też się uśmiechnąłem, tyle że mniej energicznie. Wyciągnąłem rękę, ale Sue zignorowała ją. Chwyciła mnie w ramiona i uściskała, puszczając, zanim uścisk stał się bolesny.

- Ten sam poczciwy Scotty - powiedziała.
- Ta sama poczciwa Sue - zdołałem odpowiedzieć.
- Mam tu samochód. Jadłeś lunch?
- Nie jadłem nawet śniadania.
- To ja stawiam.

Zadzwoiła do mnie dwa tygodnie wcześniej, budząc z popołudniowej drzemki pozbawionej marzeń. Jej pierwsze słowa brzmiały: „Cześć, Scotty. Słyszałam, że straciłeś pracę”. Zauważcie, to kobieta, z którą nie rozmawiałem od naszego przypadkowego spotkania w Minneapolis. Kobieta, która od tamtej pory nie odpowiedziała na żaden z moich telefonów. Minęło kilka nieprzytomnych sekund, zanim skojarzyłem głos.

- Przepraszam, że do tej pory nie odzywałam się do ciebie - mówiła dalej. - Były po temu powody, ale miałam cię na oku.

- Miałaś mnie na oku?
- To długa historia.

Czekałem, aż ją opowie, ale zamiast tego zaczęła wspominać Cornell i pokrótce opisała swoją karierę zawodową od tamtych czasów - pracę naukową nad chronolitami, co ogrom-

nie mnie zainteresowało. I zaniepokoiło. A że tak będzie, Sue wiedziała. Mówiła o fizyce z takimi szczegółami, że z trudem za nią podążałem: przestrzenie Calabi-Yau, coś, co nazywała „turbulencją tau”. W końcu udało mi się ją zapytać.

- Tak, straciłem pracę... skąd o tym wiesz?

- Cóż, po części dlatego dzwonię. W pewnym stopniu jestem za to odpowiedzialna.

Przypomniałem sobie, co Arnie Kunderson powiedział o „wrogach w zarządzie”. Co Annali powiedziała o „facetach w garniturach”.

- Cokolwiek chcesz mi powiedzieć, powiedz to - poprosiłem.

- Dobrze, ale musisz być cierpliwy. Zakładam, że nie musisz teraz gdzieś iść. Koniecznie do łazienki, na przykład.

- Poinformuję cię.

- Dobrze. Cóż, od czego zacząć? Zauważyłeś kiedykolwiek, Scotty, jak trudno jest oddzielić przyczynę od skutku? Sprawy się plączą.

Sue opublikowała serię artykułów na temat egzotycznych form materii i transformacji C-Y („niebarionowa materia i jak łączyć węzły w strunach”), zanim pojawił się chronolit z Chumphon. Wiele z tych prac dotyczyło problemów czasowej niezmienniczości - koncepcji, którą z determinacją chciała mi wyjaśnić, ale jej przerwałem. Po Chumphon, kiedy Kongres zaczął poważnie brać potencjalne zagrożenie ze strony chronolitów, zaproszono ją do współpracy nad programem sponsorowanym przez kilka agencji bezpieczeństwa przy nieustającej aprobacie władz federalnych. Praca, jak jej powiedziano,

CHRONOLITY

to badania podstawowe na pół etatu, to współpraca z personelem Cornell i innymi starszymi kolegami, to imponujący zapis w jej CV.

- To jak Los Alamos, rozumiesz, ale bardziej na luzie - oświadczyła.

- Na luzie?

- Przynajmniej z początku, więc przyjąłem ją. To w tych pierwszych kilku miesiącach natknęłam się na twoje nazwisko. Wtedy było to dość jawne. Widziałam różne gówniane zabezpieczenia. Istniała główna lista naocznych świadków, ludzi, których przesłuchali w Tajlandii...

- Aha.

- I oczywiście było na niej twoje nazwisko. Myśleliśmy o sprowadzeniu tych wszystkich ludzi, wszystkich, których znajdziemy, na badania krwi i tym podobne, ale nie zdecydowaliśmy się na to... zbyt dużo pracy, zbyt inwazyjne i prawdopodobnie nie dałoby konkretnych wyników. Do tego były problemy ze swobodami obywatelskimi. Ale przypomniałam sobie, że figurujesz na liście. Wiedziałam, że to ty, bo mieli tam praktycznie całą twoją historię, w tym Comell i zamiar na mnie.

I znowu pomyślałem o Hitchu Paleyu. Jego nazwisko też powinno być na tej liście. Może od tej pory bliżej przyjrzą się jego interesom. Może Hitch był w więzieniu. Może dlatego nie było wtedy nic do odebrania w Paczkach Easy'ego i żadnej informacji od Hitcha do dzisiaj. Ale oczywiście nic o tym Sue nie powiedziałam.

- Zapamiętałam to - mówiła dalej - ale to było wszystko, przynajmniej do niedawna. Musisz zrozumieć, Scotty, że rozwój tego kryzysu doprowadził wszystkich do praw- dziwej pa-

CHRONOLITY

ranoi. Może usprawiedliwionej paranoi. Szczególnie od czasu Iczang. Po Iczang wszyscy porządnie ocipieli. Wiesz, ilu ludzi zabiła sama powódź? Nie wspominając o tym, że w tej niby-wojnie zdetonowano pierwszą bombę atomową przed końcem wieku.

Nie musiała mi tego mówić. Zwracałem na to uwagę. Nic a nic nie dziwiło mnie, że NSA, CIA czy FBI mocno interesują się badaniami Sue. Chronolity rzeczywiście stały się kwestią obronności. Każdemu po głowie chodził –c chociaż nikt o tym nie mówił, a rzadko sugerował - chronolit na amerykańskiej ziemi: Kuin wznoszący się ponad Houston, Nowym Jorkiem czy Waszyngtonem.

- Więc kiedy znowu zobaczyłam twoje nazwisko... hm, to było na innej liście. FBI znowu zajęło się świadkami. To znaczy, mieli na ciebie oko, odkąd wieść się rozeszła. W zasadzie nie śledzili cię, ale gdybyś przeniósł się do innego stanu, zostałyby to odnotowane, trafiło do twoich akt...

- Chryste, Sue!

- Ale to wszystko była papierkowa robota bez znaczenia. Aż do niedawna. Trafili na twoją pracę w Champion--Miller.

- Piszę oprogramowanie biznesowe. Nie rozumiem...

- Jesteś zbyt skromny, Scotty. Wykonałeś bardzo delikatną robotę z zakresu heurystyki rynku i zbiorowych oczekiwań. Zajrzałam do twojego kodu...

- Widziałaś kod źródłowy Champion-Miller?

- Champion-Miller zdecydował, że udostępnią go władzom.

Zacząłem składać wszystko w jedną całość. Wywiadowcza wizyta FBI w Champion-Miller z łatwością mogła zaniepokoić kierownictwo, zwłaszcza że to centralny kod podlegał ba-

daniu. Wyjaśniałoby to dziwną nieugiętość Arniego Kunder-sona, atmosferę „o nic nie pytaj, nic nie mów” otaczającą moje zwolnienie.

- Mówisz, że to ty doprowadziłaś do mojego zwolnienia?
- Nikt nie chciał, żebyś stracił pracę. Jak się okazało, było

to jednak przydatne.

„Przydatne” to akurat ostatnie słowo, jakiego bym użył.

- Widzisz, Scotty, jak to wszystko się zazębia? Jesteś na miejscu, kiedy pojawia się chronolit z Chumphon, co odciska się na całym twoim życiu, czy tego chcesz czy nie. Teraz, pięć lat później, okazuje się, że opracowujesz algorytmy, które są bardzo związane z naszymi badaniami.

- Naprawdę?

- Zaufaj mi. To zmarnowało ci życie. Opowiedziałam się za tobą i na trochę spuścili cię z oka, ale muszę być z tobą szczerą: pewni bardzo wpływowi ludzie robią się zbyt nerwowi. To nie tylko Iczang, to ekonomia, zamieszki, kłopoty podczas ostatnich wyborów... poziom nerwowości jest nie do opisania. Więc kiedy usłyszałam, że cię wyrzucili, przyszedł mi do głowy wspaniały pomysł, żeby umieścić cię tutaj.

- Jako kogo, więźnia?

- Raczej nie. Twoją pracę, Scotty, traktuję poważnie. W zakresie zarządzania kodami jest absolutnie doskonała. I bardzo, bardzo istotna. Może tak się nie wydaje, ale sporo rzeczy, które ostatnio przeglądałam, dotyczy modelowania efektu przewidywania zachowań mas. Zastosowania teorii sprzężenia zwrotnego i powtarzalności zarówno do zjawisk fizycznych, jak i ludzkiego zachowania.

- Sue, jestem tylko komputerowcem. Opracowuję jedynie algorytmy. Nie udaję, że to rozumiem.

CHRONOLITY

- Jesteś zbyt skromny. To kluczowa praca. I byłoby znacznie milej, szczerze, gdybyś robił to dla nas.

- Nie rozumiem. Interesuje cię moja praca czy to, że byłem w Chumphon?

- Jedno i drugie. Podejrzewam, że nie jest to zbieg okoliczności.

- Ależ jest.

- Tak, w konwencjonalnym rozumieniu, ale... och, Scotty, to zbyt duży temat na telefon. Musisz przyjechać do mnie.

- Sue...

- Chcesz mi powiedzieć, że czujesz się, jakbym wsadziła ci głowę do sokowirówki. Chcesz powiedzieć, że nie możesz podjąć takiej decyzji, stojąc w piżamie, pijąc piwo z butelki i użalając się nad sobą.

Miałem na sobie dzinsy i bluzę. Co do reszty, miała rację.

- Więc nie podejmuj - powiedziała. - Ale przyjedź do mnie. Przyjedź do Baltimore. Na mój koszt. Wtedy o tym porozmawiamy. Wszystko przygotuję.

Jeden z niezaprzeczalnych faktów dotyczących Sue Chopry był taki, że jeśli mówiła, że chce coś zrobić, robiła to.

Recesja uderzyła w Baltimore silniej niż w zespół Minneapolis i St. Paul. Miastu szło dobrze na początku wieku, ale śródmieście straciło blask zamożności, zszarzało do pustych wystaw sklepowych, popękanych ekranów plazmowych i niesmacznych billboardów, wyblakłych od słońca i deszczu.

Sue zaparkowała na tyłach małej meksykańskiej restauracji i odeskortowała mnie do środka. Personel rozpoznał ją i przywitał po nazwisku. Nasza kelnerka była ubrana, jakby wyszła z siedemnastowiecznej misji, ale recytowała specjały dnia z wyraźnym akcentem z Nowej Anglii. Uśmiechnęła się do Sue

tak, jak dzierżawca mógłby się uśmiechać do dobrotliwej dziedziczki - domyśliłem się, że Sue daje szczodre napiwki.

Rozmawialiśmy chwilę niezobowiązująco - o bieżących wydarzeniach, kryzysie Oglalla, procesie Pembertona. W ten sposób Sue próbowała odbudować atmosferę przyjaźni między nami, familijną zażyłość, jaką tworzyła z wszystkimi studentami w Cornell. Nigdy nie lubiła, kiedy traktowano ją jak autorytet. Nikomu nie ulegała i nienawidziła, kiedy jej ulegano. Była na tyle staromodna, by wyobrazać sobie innych naukowców jako równorzędnych oskarżycieli przed absolutną prawdą.

Od okresu w Cornell, opowiadała, projekt dotyczący chronolitów zabierał jej coraz więcej czasu i w efekcie zdominował jej karierę. W tym czasie opublikowała ważne prace teoretyczne, potem zbadane przez narodowe służby bezpieczeństwa.

- A nasza najważniejsza praca w ogóle nie może być opublikowana z obawy, że sprezentujemy Kuinowi broń.

- Zatem wiesz więcej, niż możesz powiedzieć.

- Tak, dużo więcej... ale nie dosyć. - Kelnerka przyniosła ryż i fasolę. Sue zabrała się do jedzenia, marszcząc brwi. - O tobie też dużo wiem, Scotty. Rozwiodłeś się z Janice, a raczej odwrotnie. Twoja córka mieszka teraz z mamą. Janice ponownie wyszła za mąż. W Champion-Miller przez pięć lat wykonywałaś dobrą, ale strasznie ograniczoną pracę, a to wstyd, ponieważ należysz do najbystrzejszych osób, jakie znam. Nie sprytnych, jak geniusz na wózku inwalidzkim, ale bystrych. Stać cię na więcej.

- Tak zawsze pisali na świadectwach: „Stać cię na więcej”.

- Otrząsnąłeś się po rozstaniu z Janice?

Sue zadawała intymne pytania z szorstkością cenzora. Chyba nawet nie przyszło jej do głowy, że może kogoś obrażać.

Jak dotąd, nie obraziłem się.

- Mniej więcej - odparłem.

- A dziecko? Kaitlin, prawda? Boże, pamiętam, jak Janice była w ciąży. Ten jej wielki brzuch. Jakby chciała wynieść z salonu volkswagena.

- Między Kait a mną układa się dobrze.

- Nadal kochasz córkę?

- Tak, Sue, nadal Kocham córkę.

- Oczywiście, że kochasz. To takie typowe dla ciebie. - Była najwyraźniej szczerze zadowolona.

- A ty? Masz kogoś?

- Hmm - odparła. - Mieszkam sama. Jest ktoś, z kim widuję się od czasu do czasu, ale nie jest to związek. - Spuściła oczy i dodała: - Ona jest poetką. Taką, która za dnia pracuje w detalu. Nie potrafię się zmusić, by powiedzieć jej, że FBI zajęło się jej otoczeniem. Wściekłyby się. W każdym razie, z innymi też się widuję. Jesteśmy niemonogamiczne. Poliamoroso. W zasadzie rzadko jesteśmy razem.

Uniosłem szklankę.

- Dziwne czasy.

- Dziwne. *Skol*. A propos, słyszałam, że nie rozmawiasz z ojcem.

Nieomal się Zakrztusiłem.

- Widziałam zapisy twoich rozmów - wyjaśniła. - On dzwoni, ale nie trwa to dłużej niż trzydzieści sekund.

- To taki wyścig - odparłem. - Żeby zobaczyć, kto pierwszy odłoży słuchawkę. Cholera, Sue, to są prywatne rozmowy.

CHRONOLITY

- On jest chory, Scotty.
- Opowiedz mi o tym.
- Nie, naprawdę. Wiesz chyba o rozedmie. Ale ostatnio chodził do onkologa. Rak wątroby, nie reaguje na leczenie, przerzuty.

Odłożyłem widelec.

- Och, Scotty, przepraszam.
- Rozumiesz, nie znam cię.
- Oczywiście, że mnie znasz.
- Znałem cię dawno temu. Nie była to zażyłość. Znałem nauczycielkę akademicką, a nie kobietę, która postarała się, żeby wyrzucili mnie z pracy... i, kurwa, podsłuchuje mój telefon.

- Dzisiaj nie ma już prywatności, zupełnie.
- On... co... umiera?
- Prawdopodobnie. - Spoważniała, gdy zrozumiała, co powiedziała. - O Boże... wybacz, Scott. Mówię, zanim pomyślę. To chyba dlatego, że jestem przypadkiem z pogranicza autyzmu czy coś takiego.

Tego przynajmniej o niej nie wiedziałem. Jestem pewien, że defekt Sue nazwano i określono odpowiedzialny za to gen - jakaś lekka niezdolność do odczytywania albo przewidywania uczuć innych. I kochała mówić... przynajmniej wtedy.

- To nie mój interes - dodała. - Masz rację.
- Nie potrzebuję zastępczego rodzica. Nie wiem nawet, czy chcę tej pracy.

- Scotty, to nie ja zaczęłam spisywać twoje rozmowy. Możesz wziąć tę pracę albo nie, ale jeśli odejdziesz, nie będzie to oznaczać normalnego życia. Zrezygnowałeś z niego w Chumphon, czy byłeś tego świadom czy nie.

Mój ojciec umiera, pomyślałem. Zastanawiałem się, czy mnie to obchodzi.

W samochodzie Sue ciągle jeszcze przepraszała.

- Czy zrobię źle, jeśli powiem, że oboje utknęliśmy w ślepych zaułku? Że twoje i moje życie ukształtowały chronolity i że nie możemy go już kontrolować? Ale ja staram się zrobić to, co najlepsze, Scotty. Potrzebny mi jesteś tutaj i sądzę, że praca będzie bardziej satysfakcjonująca od tej w Campion-Miller. - Przejechała na żółtym świetle, lekceważąc reprimendę, która błysnęła w tył wozu. - Może się mylę, myśląc, że chcesz się zaangażować w naszą pracę?

Nie, ale nie dałem jej satysfakcji, przyznając się do tego.

- Poza tym... - Czyżby się zarumieniła? - Mówiąc szczerze, cieszyłabym się z twojego towarzystwa.

- Musisz mieć sporo towarzystwa.

- Mam współpracowników, nie towarzystwo. Nikogo prawdziwego. Poza tym wiesz przecież, że to nie jest zła oferta. Nie w tym świecie, w którym żyjemy - dodała nieomal kokieteryjnie. - Na dodatek będziesz podróżował. Zwiedzisz obce kraje. Ujrzysz cuda.

Dziwniejsze od nauki.

Zgodnie ze wspaniałą tradycją zatrudniania w sektorze federalnym czekałem trzy tygodnie, podczas których nic się nie działo. Pracodawcy Sulamith Chopry ulokowali mnie w motelu i zostawili. Do Sue dzwoniłem poprzez funkcjonariusza o nazwisku Morris Torrance, który doradzał mi cierpliwość. Jedzenie przynoszone do pokoju przez obsługę było darmowe, ale przecież nie tylko tym człowiek żyje. Nie chciałem rezygnować z mieszkania w Minneapolis, dopóki nie podpiszę tutaj

czegoś na stałe, a każdy dzień w Marylandzie oznaczał utratę dochodów netto po opodatkowaniu.

Terminal w motelu prawie na pewno był na podsłuchu i domyślałem się, że FBI znalazło sposób, aby przejmować sygnał z mojego przenośnego terminalu, zanim jeszcze dotrze do satelity. Pomimo tego robiłem to, czego najprawdopodobniej spodziewali się po mnie: kontynuowałem zbieranie danych o Kuinie i trochę bliżej przyjrzałem się niektórym publikacjom Sue.

Opublikowała dwa ważne artykuły w linku „Naturę” i jeden na stronie „Science”. Wszystkie trzy dotyczyły spraw, których nie byłem kompetentny osądzać i które wydawały się dość słabo powiązane z chronolitami: *Hipotetyczna taunowa unifikacja energii*, *Niehadronowa budowa materiałów* oraz *Gravitacja i tymczasowe siły wiązania*. Z tekstu mogłem wyczytać jedynie, że Sue tworzyła ciekawe rozwiązania fundamentalnych problemów fizycznych. Artykuły były do rzeczy, ale dla mnie niezrozumiałe, całkiem jak sama Sue.

Część tego czas spędziłem na rozmyślaniu o Sue. Dla tych, którzy ją poznali, była oczywiście kimś więcej niż nauczycielem. Jednak nigdy nie opowiadała szczególnie

chętnie o swoim życiu. Urodziła się w Madrasie, skąd w wieku trzech lat wyemigrowała z rodzicami. Dzieciństwo miała hermetyczne, dzieliła czas między szkołę i rosnące zainteresowania intelektualne. Oczywiście była lesbijką, ale rzadko mówiła o swoich partnerkach, które nigdy nie zostawały przy niej długo, i nie rozważała, co jej przyznanie się mogłoby oznaczać dla rodziców, których opisywała jako „dość konserwatywnych, trochę religijnych”. Sprawiała wrażenie, że są to

kwestie banalne, niewarte uwagi. Jeżeli nosiła w sobie jakiś stary ból, to dobrze go skrywała.

W jej życiu była radość, ale wyrażała ją przez pracę - pracowała z entuzjazmem, który bez wątpienia był autentyczny. Jej praca lub zdolność do wykonywania pracy to dar od życia, i przyjmowała go jako odpowiednią rekompensatę za wszystko, czego jej brakowało. Jej przyjemności były głębokie, ale mnisze. Z pewnością to nie wszystko o Sue, ale tylko tym chciała się dzielić.

- Hipotetyczna taunowa unifikacja energii. Co to znaczy?

To znaczy, że uważnie przyjrzała się mechanizmowi wszechświata. To znaczy, że bardzo dobrze czuła się pośród fundamentalnych kwestii.

Byłem samotny, ale zbyt niezdecydowany, aby coś z tym zrobić, i wystarczająco znudzony, więc zacząłem lustrować wzrokiem samochody ma parkingu przed motelem i szukać w nich agentów FBI, gdyby taki pojazd się znalazł.

Jednak kiedy ostatecznie wszedłem w kontakt z FBI, w spotkaniu tym nie było nic subtelnego. Zadzwoił do mnie Morris Torrance i powiedział, że jestem umówiony w budynku federalnym w centrum i że powinienem się przygotować na pobranie próbki krwi oraz badanie wykrywaczem kłamstw. To, że trzeba było pokonać wszystkie te przeszkody, aby otrzymać lukratywną posadę zarządzającego kodami u Sue Chopry, wskazywało, jak poważnie rząd traktuje jej badania, lub przynajmniej rolę Kongresu w tym.

A jednak Morris niedostatecznie oszacował to, czego wymagano ode mnie w budynku federalnym. Poddałem się nie tylko pobraniu krwi, ale też prześwietleniu klatki piersiowej i tomografii mózgu. Pozbawiono mnie moczu, stolca i kilku wło-

sów. Zdjęto odciski palców, podpisałem zgodę na wykonanie mapy chromosomów, po czym odeskortowano mnie do pokoju z wykrywaczem kłamstw.

Od chwili, kiedy Morris Torrance wymienił przez telefon nazwę „wykrywacz kłamstw”, koncentrowałem się na jednej myśli: Hitch Paley. Problem polegał na tym, że o Hitchu wiedziałem rzeczy, przez które mógł trafić do więzienia, jeżeli już tam nie tkwił. Hitch nigdy nie był moim najbliższym przyjacielem i nie byłem pewien, na ile lojalny powinienem być, zwłaszcza po tylu latach. Jednak w ciągu bezsennej nocy zdecydowałem, że raczej odrzucę ofertę Sue, niż zagrozę jego wolności. Tak, Hitch był przestępcą i umieszczenia go w więzieniu mogła się domagać litera prawa, aleja nie widziałem sprawiedliwości w puszgowaniu człowieka za sprzedaż marihuany zamożnym dyletantom, którzy w innym wypadku za inwestowałiby gotówkę w drinki, kokę albo metaamfetaminę. Nie żeby Hitch miał szczególne skrupuły, co sprzedaje. Aleja miałem skrupuły, kogo sprzedaję.

Obsługujący wykrywacz kłamstw pomimo białego fartucha wyglądał bardziej na bramkarza niż doktora, a nieunikniony Morris Torrance dołączył do nas w nagim, szpitalnym pomieszczeniu, by doglądać testu. Morris najwyraźniej był pracownikiem federalnym, może piętnaście kilo ponad idealną wagę i dziesięć lat po kwiecie wieku. Wyłysiał w sposób, który sprawia, że niekiedy mężczyźni w średnim wieku wyglądają, jakby wygolili sobie tonsurę, ale uścisk dłoni miał twardy, sposób bycia swobodny i nie żywił otwartej wrogości.

Pozwoliłem założyć sobie elektrody i bez zająknięcia odpowiedziałem na standardowe pytania. Wtedy Morris przejął rozmowę i zaczął przeprowadzać mnie, szczegół po szczególe,

CHRONOLITY

przez moje pierwsze spotkanie z chronolitem w Chumphon, przerywając czasami, kiedy guru wykrywacza notował coś na zwoju wydruku. (Maszyna wyglądała na przestarzałą i taka była, zaprojektowana zgodnie z wymogami dwudziestowiecznego prawa.) Opowiedziałem historię zgodnie z prawdą i nie zaważałem się wspomnieć Hitcha Paleya, a nawet jego zajęcia, dodając pikantny drobiazg o sklepie z przynętą, który w końcu był legalnym interesem, przynajmniej w pewnych godzinach.

Kiedy dotarłem do części o więzieniu w Bangkoku, Morris zapytał:

- Szukano u ciebie narkotyków?
- Zostałem zrewidowany, kilka razy. Może szukali narkotyków, nie wiem.
- Czy znaleziono przy tobie jakieś narkotyki lub zakazane substancje?
- Nie.
- Przewoziłeś zakazane substancje przez granicę państwa lub stanu?
- Nie.
- Ostrzeżono cię o pojawieniu się chronolitu, zanim przybył? Wiedziałaś o tym wcześniej?
- Nie.
- Czy był dla ciebie zaskoczeniem?
- Tak.
- Znane jest ci imię Kuin?
- Tylko z wiadomości.
- Widziałeś ten obraz wyrzeźbiony na współczesnych pomnikach?
- Tak.
- Czy twarz jest znajoma? Rozpoznajesz ją?

CHRONOLITY

- Nie.

Morris skinął głową, a potem na osobności konferował z operatorem wykrywacza kłamstw. Po kilku minutach odłączyło mnie od maszyny. Morris wyprowadził mnie z budynku.

- Zdałem? - zadałem pytanie.

Tylko się uśmiechnął.

- To nie mój wydział. Ale na twoim miejscu nie martwiłbym się.

Sue zadzwoniła rano i kazała mi się zgłosić do pracy. Rząd federalny, z przyczyn prawdopodobnie najlepiej znanych starszemu senatorowi z Marylandu, nadzorował ten fragment śledztwa dotyczącego chronolitów z nijakiego budynku w przemysłowej części przedmieść Baltimore. Były to rozciągnięty rząd biur i prowizoryczna biblioteka, nic więcej. Trudną część badań wykonywały uniwersytety i federalne laboratoria, wyjaśniła Sue. Prowadziła coś na kształt komórki analitycznej, zbierającej wyniki, pełniącej zadania konsultanckie i dzielącej granty Kongresu. Zasadniczo praca Sue polegała na ocenianiu obecnego stanu wiedzy i rozpoznawaniu nowych, obiecujących kierunków badań. Jej bezpośrednimi przełożonymi byli ludzie z agencji i asystenci kongresmanów. Stanowiła najwyższy autorytet w badaniach nad chronolitami, które zdecydowanie można już nazwać nauką.

Zastanawiałem się, jak ktoś tak oddany badaniom naukowym jak Sue Chopra mógł skończyć na zaszczytnym stanowisku kierowniczym. Przestałem się zastanawiać, kiedy otworzyła drzwi swojego biura i przywołała mnie. Obszerny pokój mieścił używane, lakierowane biurko i nie dające się zliczyć regały. Przestrzeń dookoła jej terminalu komputerowego peł-

na była wycinków, dzienników, wydrukowanych e-maili, a ściany pooblepiane były fotografiami.

- Witaj w *sanctum sanctorum* - powitała mnie radośnie Sue.

Fotografie chronolitów. Były tutaj wszystkie - wyraźne, profesjonalne portrety obok turystycznych fotek i zaszyfrowanych zdjęć satelitarnych o fałszywych barwach. Oto Chumphon, znacznie wyraźniejszy, niż go kiedykolwiek widziałem, litery napisu wydobywało jaskrawe światło. Tutaj Bangkok i pierwsza wyrzeźbiona podobizna samego Kuina. (Prawdopodobnie niezbyt wierna, zdaniem większości ekspertów. Rysy były zbyt typowe, zupełnie jakby poproszono procesor graficzny, aby naszkicował twarz „światowego przywódcy”.)

Były też Phenian i Hoszimin. Tajpej i Makau, Sapporo. Tu chronolit z równiny Kanto; wznosił się nad parą zrujnowanych spichrzy. Tutaj Iczang, przed i po daremnym ataku atomowym - monument dumnie pozostał bez szwanku, ale Jangcy zamieniła się w rwącą arterię tam, gdzie wybuch uszkodził tamę. Tutaj, w ujęciu z satelity, brązowy wypływ sączył się do Morza Wschodniochińskiego.

Wszędzie zaś nieskalanie spokojna twarz Kuina, który obserwował to wszystko jakby z tronu w chmurach.

- To prawie całkowite odwrócenie idei pomnika, kiedy się człowiek nad tym zastanowi - powiedziała Sue, obserwując, jak się przyglądam. - Pomniki mają przekazywać w przyszłość jakąś ideę... martwi mówią do swych potomków.

- „Spójrzcie, o potężni, na me dzieło i rozpaczajcie”.

- Właśnie. Ale w przypadku chronolitów jest dokładnie odwrotnie. Nie: „Tutaj byłem”. Raczej: „Nadchodzę. Ja to przyszłość, czy wam się podoba czy nie”.

CHRONOLITY

- „Spójrzcie na me dzieło i bójcie się”.
- Trzeba podziwiać czystą perwersję tego.
- A ty podziwiasz?
- Muszę ci powiedzieć, Scotty, że czasami aż tracę oddech.
- Ja też. - Nie wspominając mojej żony i córki. Je też straciłem.

Zaniepokoił mnie widok mojej obsesji, odtworzonej na ścianie w biurze Sue Chopry. To tak, jakbym odkrył, że mamy wspólne płuco. Jednak to właśnie skłoniło ją do podjęcia pracy, którą tu wykonywała: ta praca dawała jej szansę poznania dosłownie wszystkiego na temat chronolitów. Osobiste zaangażowanie w badania zawęziłoby jej perspektywę do liczenia pierścieni refrakcji albo polowania na umykające bozony. A tak nadal mogła zajmować się najpoważniejszą matematyką... teraz jeszcze lepiej, gdyż dosłownie każdy papierek supertajnych badań przechodził codziennie przez jej biurko.

- To jest to, Scotty - powiedziała.
- Pokaż mi, gdzie mam pracować - poprosiłem.

Zaprowadziła mnie do pokoju wyposażonego w biurko i terminal komputerowy podłączony do ciągu stacji roboczych Quantum Organics - tak potężnych i szybkich, że w Champion-Miller mogli sobie o nich jedynie pomarzyć.

W jednym z kątów, na drewnianym krześle opartym o ścianę, siedział Morris Torrance i czytał drukowane wydanie „Golfa”.

- On należy do dobrobytu inwentarza? - zapytałem.
- Przez pewien czas możesz dzielić z nim biuro. Morris musi być blisko mnie... fizycznie.
- Morris to dobry przyjaciel?

- Morris to mój ochroniarz, poza innymi zadaniami.

Torrance uśmiechnął się i odłożył czasopismo. Podrapał się po głowie niezdarnym gestem, który prawdopodobnie miał ukazać pistolet noszony pod marynarką.

- Zasadniczo jestem nieszkodliwy.

Znowu podaliśmy sobie dłonie - tym razem bardziej wy-lewnie, gdyż nie nakłaniał mnie do oddania próbki moczu.

- Teraz - odezwała się Sue - zaznajom się tylko z moją pracą. Nie jestem zarządcą kodów twojej klasy, więc rób no-tatki. Pod koniec tygodnia omówimy sposób pracy.

Spędziłem na tym dzień. Przyglądałem się nie materiałom czy wynikom Sue, ale warstwom proceduralnym, protokołom, za pomocą których problemy były przekładane na język ograniczonych systemów, i rozwiązaniom, które miały się reprodukować i umrzeć. Sue zainstalowała najlepsze na rynku genetyczne urządzenia peryferyjne, ale szczerze mówiąc, były nieodpowiednie (lub przynajmniej absurdalnie niezdarne) do niektórych zadań, jakie próbowała wykonać - „suwaki logarytmiczne”, jak je nazywaliśmy, dobre przy pierwszym przybliżeniu, ale prymitywne.

Morris skończył przeglądać „Golfa” i przyniósł lunch z delikatesów przy tej samej ulicy, a wraz z nim numer „Fly Fisherman”, aby jakoś przetrwać pierwszą część popołudnia. Od czasu do czasu pojawiała się Sue i patrzyła na nas radośnie. Byliśmy jej strefą buforową, warstwą izolacyjną między światem a tajemnicami Kuina.

Jadąc do domu, kolejnego niemal pustego mieszkania, po pierwszym tygodniu pracy nad projektem, pojawiłem, jak nagle i nieodwracalnie zmieniło się moje życie. Może było to zmęczenie jazdą, może widok kolonii namiotów na poboczu i porzu-

conych, przerdzewiałych wraków samochodów, a może tylko perspektywa samotnego weekendu „Odrzucenie” ma złą reputację, ale stoicyzm to rzekomo cnota, a szczytowym aktem stoicyzmu jest właśnie odrzucenie, zdecydowana odmowa kapitulacji przed okropną prawdą. Ostatnio rzeczywiście byłem uosobieniem stoicyzmu. Jednak zmieniłem pas ruchu, aby wyprzedzić cysternę, a wtedy żółta śmieciarka nacisnęła mnie od tyłu, natomiast cysterna zaczęła zjeżdżać ze swojego pasa na mój. Kierowca musiał mieć wymontowaną automatyczną ocenę bliskości, postępek wysoce nielegalny, ale dość powszechny wśród tych bez licencji. Ja zaś znalazłem się w jego martwym punkcie, a żółta leica najwyraźniej nie zamierzała hamować, więc przez dobre kilka sekund miałem przed oczyma złowieszczy widok siebie zmiążdżonego na placek na kolumnie kierownicy. Wtedy kierowca ciężarówki zauważył mnie w bocznym lusterku, odbił w prawo i pozwolił przejechać. Leica przemknęła obok, jakby nic się nie stało.

Pozostałem za kierownicą zlany zimnym potem - jakby w próżni, całkowicie zagubiony, pędziłem szarą drogą między jednym zapomnieniem a drugim.

W następnym tygodniu otrzymałem dobrą wiadomość. Zadzwoiła Janice, aby powiedzieć, że Kait dostanie nowe ucho.

- Całkowicie odzyska słuch, Scott, a przynajmniej powinno się tak stać, biorąc pod uwagę fakt, że urodziła się z normalnym słuchem i prawdopodobnie zachowały się wszystkie połączenia nerwowe. To się nazywa proteza sutkowo-ślimakowa.

- Mogą to zrobić?

CHRONOLITY

- To całkiem nowa technika, ale wskaźnik powodzenia wynosi prawie sto procent u pacjentów z historią podobną do Kait.

- Czy to niebezpieczne?

- Nieszczerólnie. Ale to poważna operacja. Będzie hospitalizowana przynajmniej tydzień.

- Kiedy?

- Za sześć miesięcy.

- Jak chcesz za to zapłacić?

- Whit ma dobre ubezpieczenie. Jego firma ubezpieczeniowa weźmie na siebie przynajmniej część kosztów. Ja otrzymam pomoc z mojej i Whit gotów jest pokryć resztę z własnej kieszeni. Może to oznaczać drugą hipotekę na dom, ale także normalne dzieciństwo dla Kait.

- Pozwól, że pomogę.

- Wiem, że ostatnio nie jesteś zbyt zamożny, Scott.

- Mam pieniądze w banku.

- Dziękuję za propozycję. Ale... szczerze mówiąc, Whit był by bardziej zadowolony, gdyby sam mógł się tym zająć.

Kait dobrze przystosowała się do życia z wadą słuchu. Jeśli ktoś nie zauważył, jak przekrzywia głowę albo marszczy brwi, gdy cichnie rozmowa, mógł nie wiedzieć, że jest inwalidą. Jednak była skazana na odmienność: musiała siedzieć z przodu klasy, gdzie większość nauczycieli, mówiąc do niej, przesadnie wymawiała samogłoski i zachowywała się, jakby jej upośledzenie dotyczyło intelektu. Nie radziła sobie w grach zespołowych, bo zbyt łatwo zaskakiwano ją od tyłu. Wszystko to, w połączeniu z wrodzoną nieśmiałością, sprawiało, że była skoncentrowana na sobie, zadumana, a czasami złośliwa.

Lecz to miało się zmienić. Najwyraźniej wada zostanie usunięta dzięki postępom inżynierii biomechanicznej. A także dzięki Whitmanowi Delahuntowi. A jeśli jego interwencja nieco raniła moje ego... cóż, pieprzyć ego. Kaitlin znowu będzie cała i zdrowa. Tylko to miało znaczenie.

- Janice, ale ja chcę mieć w tym swój udział. Od dawna jestem to winien Kaitlin.

- Niekoniecznie, Scott. Sprawa z uchem nie stała się z twojej winy.

- Chcę pomóc.

- Hmm... Whit chyba pozwoli ci się dołożyć, skoro należasz.

Nastąpiło dla mnie pięć chudych lat. „Dołożyłem” połowę kosztów operacji.

- No, Scotty, jesteś gotowy do podróży? - zapytała Sue Chopra.

Powiedziałem jej o operacji Kaitlin. Mówiłem, że chcę być z Kait podczas rekonwalescencji... to nie podlegało dyskusji.

- To dopiero za pół roku - odparła Sue. - Nie wyjeżdżamy na tak długo.

Tajemnicza, ale zdawała się gotowa - w końcu - wyjaśnić, do czego zmierza.

Siedzieliśmy w czwórce w przestronnej, ale w zasadzie pustej stołówce. Zajmowaliśmy stolik przy jedynym oknie, które wychodziło na autostradę. Ja, Sue, Morris Torrance i pewien młody mężczyzna nazwiskiem Raymond Mosely.

Ray Mosely był doktorantem fizyki z MIT-u i pracował z Sue nad praktyczną stroną nauki. Miał dwadzieścia pięć lat, brzusek, niechlujną aparycję i humor jak nowo bita dycha. Był także absurdalnie nieśmiały. Unikał mnie tygodniami,

najwyraźniej dlatego, że byłem nieznanym, ale stopniowo zaczął mnie akceptować, kiedy zrozumiał, że nie jestem rywalem w walce o uczucia Sue Chopry.

Sue oczywiście była od niego kilkanaście lat starsza, a jej gust seksualny nie skłaniał się ku jakimkolwiek mężczyznom, co dopiero zaś nieśmiałym młodym fizykiem, którzy uważali dłuższą rozmowę na temat interakcji mionów za zaproszenie do fizycznej zażyłości. Wyjaśniła mu to wszystko zresztą już kilkakrotnie. Ray prawdopodobnie przyjął wyjaśnienie, ale nadal rzucał jej cielece spojrzenia ponad stolikiem i trwał przy jej opinii z lojalnością kochanka.

- To szokujące - zaczęła Sue - jak mało dowiedzieliśmy się o chronolitach od czasów Chumphon. Umiemy je tylko nieco scharakteryzować. Wiemy na przykład, że nie można przewrócić kamienia Kuina, nawet gdy podkopie się fundamenty, ponieważ utrzymuje stałą odległość od ziemskiego środka ciężkości i stałe ustawienie... nawet jeżeli oznacza to unoszenie się w powietrzu. Wiemy, że jest spektakularnie bezwładny, że ma pewien wskaźnik refrakcji, dzięki badaniom wiemy też, że pewne obiekty są raczej odlewane niż rzeźbione, i tak dalej, i tak dalej. Niczego jednak tak naprawdę nie rozumiemy. Postrzegamy chronolity w sposób, w jaki średniowieczny teolog mógłby postrzegać samochód. Jest ciężki, tapicerka nagrzewa się na słońcu, niektóre części są ostre, inne gładkie. Niektóre z tych detali mogą być ważne, większość prawdopodobnie nie, ale nie można ich usystematyzować bez ogólnej teorii. A tej najwyraźniej nam brakuje.

Pokiwaliśmy z namysłem głowami, jak zwykle, kiedy Sue zaczęła omawiać teorię.

CHRONOLITY

- Ale niektóre szczegóły są bardziej interesujące od innych - kontynuowała. - Na przykład. Mamy pewne dowody na to, że na kilka tygodni przed pojawieniem się chronolitu w bezpośrednim otoczeniu następuje stopniowy, skokowy wzrost promieniowania. Nie jest niebezpieczne, ale zdecydowanie daje się zmierzyć. Chińczycy pracowali nad tym, zanim przestali dzielić się z nami wynikami badań. Japończycy też mieli szczęście. Wokół reaktora Sapporo Technics rozstawili siatkę monitorów. Tokio próbowało wykryć źródło tego przypadkowego promieniowania na kilka dni przed pojawieniem się chronolitu. Odczyty osiągnęły maksimum wraz z przybyciem chronolitu, a potem gwałtownie spadły do normalnego poziomu.

- Co znaczy - powiedział Ray Mosely, jakby tłumaczył przygląpom - że chociaż nie możemy powstrzymać chronolitu, to mamy ograniczoną zdolność przewidywania tego zdarzenia.

- I ostrzeżenia ludzi - dodała Sue.

- To obiecujące - powiedziałem. - Jeśli wiesz, gdzie szukać.

- Tak - przyznała Sue. - W tym problem. Jednak sporo miejsc jest monitorowanych pod kątem promieniowania powietrza. A Waszyngton doprowadził do podpisania umowy z wieloma zaprzyjaźnionymi rządami, aby instalować detektory wokół głównych skupisk miejskich. Z punktu widzenia obrony cywilnej oznacza to, że możemy usunąć ludzi z zagrożonych miejsc.

- Natomiast nas interesuje, aby tam być - dodał Ray.

Sue rzuciła mu ostre spojrzenie, jakby skradł jej puentę.

- Trochę to niebezpieczne, co? - zagadnąłem.

CHRONOLITY

- Ale możliwość uwiecznienia zjawiska, przeprowadzenia dokładnych pomiarów eksplozji, ujrzenia samego procesu... to byłoby bezcenne.

- Z daleka - wtrącił Morris Torrance. - Mam nadzieję.

- Możemy zminimalizować wszelkie fizyczne niebezpieczeństwo.

- To ma się wydarzyć wkrótce? - zapytałem.

- Wyjeżdżamy za kilka dni i musimy się spieszyć. Wiem, że mało mamy czasu. Posterunki już wystawiliśmy i są tam nasi specjaliści. Wyniki pokazują, że za mniej więcej piętnaście dni dojdzie do dużej materializacji. Wiadomość o akcji ewakuacyjnej powinna się ukazać dzisiaj wieczorem.

- Więc dokąd jedziemy?

- Do Jerozolimy - odpowiedziała Sue.

Dała mi dzień na spakowanie i uporządkowanie spraw. Zamiast to zrobić, pojechałem na przejażdżkę.

Kiedy miałem dziesięć lat, wróciłem pewnego dnia ze szkoły i zastałem mamę przy szorowaniu kuchni - co wydawało się całkiem normalne, dopóki nie przyjrzałem się jej dłużej. (Nauczyłem się już bacznie ją obserwować.) Moja mama nie była piękną kobietą i chyba o tym wiedziałem, już wtedy, w pewien niesprecyzowany sposób, w jaki dzieci stają się świadome różnych rzeczy. Miała surową, wąską twarz i rzadko się uśmiechała, wskutek czego jej uśmiech stawał się pamiętnym wydarzeniem. Jeśli się śmiała, w nocy, leżąc w łóżku, na nowo przeżywałem ten moment. Wtedy miała zaledwie trzydzieści pięć lat. Nigdy się nie malowała, a czasami nawet nie chciało jej się uczesać. Uchodziło jej to, ponieważ włosy miała ciemne i naturalnie lśniące.

Nienawidziła kupowania ubrań. Każdą rzecz z garderoby nosiła tak długo, aż dosłownie nie dało jej się włożyć. Czasami, kiedy brała mnie na zakupy, wstydziłem się jej niebieskiego swetra z wypaloną papierosem dziurą, przez którą widziałem pasek stanika, albo żółtej bluzki z plamą po wybielaczu jak mapa Kalifornii, biegnącą w dół na prawym ramieniu.

Kiedy mówiłem jej o tym, patrzyła na mnie bez słowa, wracała do domu i przebierała się w coś niewiele bardziej eleganckiego. Nienawidziłem jednak mówić czegokolwiek, ponieważ czułem się jak zniewieściały pedant, jak chłop-taś, dla którego ubranie jest ważne, a przecież zupełnie tak nie było. Nie chciałem tylko, aby ludzie zerkali na nią ukradkiem w alejkach Food Martu.

Miała na sobie niebieskie dżinsy i jedną z za dużych koszul mojego ojca, kiedy tego dnia wróciłem do domu. Żółte, gumowe rękawiczki zakrywały jej ręce aż po łokcie, skrywając, czego nie zauważyłem, sporo głębokich i krwawiących zadrapań. To był jej strój do sprzątania, a sprzątała zawzięcie. Kuchnia cuchnęła lizolem i amoniakiem, i chyba jeszcze kilkoma innymi środkami czyszczącymi i dezynfekującymi, które przechowywała w szafce pod zlewem. Włosy zaczesła do tyłu i przytrzymała czerwoną chustką. Uwagę skupiała całkowicie na kafelkach. Zauważyła mnie dopiero wtedy, gdy położyłem pudełko na drugie śniadanie na kuchenny blat.

- Wyjdź z kuchni - powiedziała beznamiętnym głosem. - To twoja wina.

- Moja wina?

- To twój pies, czyż nie?

Mówiła o Chuffym, naszym Springer spanielu, i zacząłem się bać - nie ze względu na to, co powiedziała, ale ze względu

na to, w jaki sposób to zrobiła. Powiedziała to tak, jak mówiła dobranoc. Co wieczór przychodziła do mojego pokoju, pochylała się nad łóżkiem, poprawiała bawełnianą pościel i kołdrę, całowała koniuszki palców i ocierała je o moje czoło. W dziewięćdziesięciu procentach ten rytuał dawał ukojenie, ale czasami... czasami, kiedy trochę wypita, unosiła się nade mną z intensywnym zapachem potu i alkoholu, bijącym jak żar z rozgrzanego pieca i chociaż powtarzała to samo „Dobranoc, Scotty, śpij dobrze”, brzmiało to bezosobowo, a jej palce były zimne i szorstkie. W te noce naciągałem kołdrę na głowę i liczyłem sekundy (jeden-tysiąc, dwa-tysiące), aż jej kroki ucichły na korytarzu.

Teraz mówiła w taki sam sposób. Oczy miała zbyt okrągłe, a usta zaciśnięte w wąską kreskę. Podejrzewałem, że kiedy się do niej zbliżę, będzie ode mnie tak samo czuć odrażającym, słonym odorem jak plażę przy odpływie.

Nie przerywała sprzątaniam, a ja ostrożnie poszedłem do dużego pokoju i włączyłem telewizor. Gapiłem się na powtórkę serialu *Seinfeld*, aż zacząłem myśleć o tym, co mama powiedziała o Chuffym. Ona nigdy go nie lubiła. Tolerowała go, ale to był pies ojca i mój, nie jej. Gdyby Chuffy nasikał w kuchni, może to wyjaśniałoby jej reakcję? Ale gdzie jest Chuffy? O tej porze przeważnie leżał na kanapie i czekał, żeby drapać go za uszami. Zawołałem go.

- To zwierzę jest obrzydliwie brudne - powiedziała matka z kuchni. - Zostaw to zwierzę.

Znalazłem go na górze, zamkniętego w ubikacji przy sypialni rodziców. Zad i nogi miał zdarte do skóry, prawdopodobnie drucianą myjką, jakiej używaliśmy do zapuszczonych garnków. Tam, gdzie sierść zeszała, skóra krwawiła w kilku

miejscach, a kiedy próbowałem go pocieszyć, zatopił zęby w mojej ręce.

Tamte lata nie sprzyjały przedmieściom w Marylandzie, gdzie mieszkał mój ojciec. Niegdyś półrolnicze tereny stały się gniazdem handlarzy pornografią, lokali ze strip-tizem i bloków dla rodzin robotniczych. Społeczeństwo oddzielone bramami wciąż istniało, ale ich ostoja była zaniedbana, a mury pokryte arabskim graffiti. Dom przy Provender Lane, dom, w którym się wychowałem, był prawie nie do poznania za zwalami śniegu. Obluzowała się jedna z poziomych rynien i okap za nią niebezpiecznie się ugiął. Nie taki dom pamiętałem, ale wydawało się, że właśnie w takim domu zamieszkałby (może powinien zamieszkać) mój ojciec - zaniedbanym, niegościnnym.

Zaparkowałem, wyłączyłem silnik i siedziałem w samochodzie. Oczywiście głupio postąpiłem, przyjeżdżając tu. To był jeden z tych bezmyślnych impulsów, dramat, ale bez treści. Chciałem odszukać ojca, zanim wyjadę z kraju (a dokładniej, zanim on umrze) - ale cóż to dokładnie znaczyło? Co miałem mu powiedzieć, a co on właściwie mógł powiedzieć mnie?

Sięgałem właśnie do stacyjki, kiedy wyszedł na trzeszczący drewniany ganek, aby podnieść wieczorną gazetę. Lampa na ganku, w niebieskim półmroku, nadawała jego skórze barwę żółci. Spojrzał na samochód, pochylił się po gazetę, potem znowu spojrzął. W końcu podszedł do krawężnika w kapciach i białym podkoszulku. Nieprzywykły do wysiłku, dyszał.

Spuściłem szybę.

- Myślałem, że to ty - powiedział.

Jego głos przywołał cały regiment niemiłych wspomnień. Nic nie mówiłem.

- No to wejdz - dodał. - Zimno na dworze.

Zamknąłem samochód i aktywowałem alarm. Kawałek dalej trzech skośnookich młodzieńców o pustych twarzach obserwowało, jak idę do drzwi za moim umierającym ojcem.

Chuffy wylizał się z ran, ale nigdy więcej nie zbliżył się do mojej matki. Za to uraz mamy był stały i nieuleczalny. W trakcie rozwoju jej choroby dowiedziałem się, że cierpi na schizofrenię wieku dorosłego i że to medyczny przypadek, defekt tajemniczych, ale naturalnych procesów mózgu. Nie wierzyłem w to, ponieważ wiedziałem z doświadczenia, że ten problem jest zarówno prostszy, jak i bardziej przerażający: dobra matka i zła matka zaczęły mieszkać w tym samym ciele. A ponieważ kochałem dobrą matkę, mogłem, a nawet musiałem nienawidzić tej złej.

Jednak te złąły się w jedno. Dobra matka mogła pocałować mnie rano na do widzenia, ale kiedy wróciłem ze szkoły (późno i niechętnie), oszalała uzurpatorka już przejęła nad nią kontrolę. Odkąd skończyłem dziesięć lat, nie miałem przyjaciół, bo gdy się ich ma, trzeba ich wpuszczać do domu. A kiedy ostatni raz spróbowałem tego, przyprowadziwszy nieśmiałego, rudego Richarda, z którym zaprzyjaźniłem się na geografii, ona przez dwadzieścia minut wykladała mu niebezpieczeństwa, jakie stanowią ekrany monitorów dla jego przyszłej płodności. Język, jakiego użyła, był znacznie bardziej obrazowy. Nazajutrz Richard był obojętny i nie reagował na mnie, zupełnie jakbym zrobił coś niewypowiedzianego. To nie była moja wina, chciałem mu powiedzieć, ani nawet mojej matki. Byliśmy ofiarami niepokoju.

Ponieważ mama nie wierzyła w swoją chorobę, traktowała to jako moją słabość i nie zliczę już, jak często, kiedy doj-

rzewałem, żądała, bym przestał „tak na nią patrzeć” -to znaczy z oczywistym i paraliżującym przerażeniem. Jednym z ironicznych aspektów schizofrenii paranoidalnej jest to, że spełnia własne, najposępniejsze oczekiwania nieomal z matematyczną dokładnością. Myślała, że konspirujemy, aby doprowadzić ją do szaleństwa.

To w żaden sposób nie zbliżyło mnie i ojca. Wręcz przeciwnie. Opierał się diagnozie nieomal tak zaciekle jak matka, ale jego forma odrzucenia była bardziej bezpośrednia. Chyba zawsze uważał, że ożenił się z kimś niższego stanu, że rodzinie matki z Nashua w New Hampshire zrobił przysługę, wybawiając ich od tej skrytej i ponurej córki. Może myślał, że małżeństwo dobrze jej zrobi. Nie zrobiło. Rozczarowała go i, być może, vice versa, ale nadal dużo od niej wymagał. Obwinił ją o każdy z jej irracjonalnych czynów, jakby zdolna była do moralnego i etycznego osądu - owszem, była, ale tylko sporadycznie. W ten sposób dobra matka cierpiała za grzechy złej matki. Zła matka mogła być nienawistna i nieprzyzwoita, a dobrą matkę można było gnębić i poniżać. Dobra matka mogła zostać zredukowana do tchórzliwego cienia i on stosował wobec niej tę alchemię metodycznie. Krzyczał na nią, od czasu do czasu bił, a regularnie poniżał, ja zaś chowałem się w swoim pokoju, próbując wyobrazić sobie świat, w którym dobra matka i ja mogliśmy zostawić jego i zaborczą pseudomamę. Żylibyśmy spokojnie, mówiłem sobie, w kochającej rodzinie, jaką kiedyś przynajmniej próbowała stworzyć, podczas gdy ojciec dalej wojowałby z irracjonalną, fałszywą żoną w jakimś odległym, odosobnionym miejscu - powiedzmy w celi albo w domu wariatów.

Później, kiedy skończyłem szesnaście lat i nauczyłem się prowadzić, ale zanim jeszcze odesłano ją do domu opieki w Connecticut, gdzie spędziła swoje ostatnie lata, ojciec zabrał nas na wycieczkę do Nowego Jorku. Chyba wierzył - i pewnie był zdesperowany, chwytając się tego kruchego pomysłu jak brzytwy - że wakacje dobrze jej zrobią, że „oczyszczą jej głowę”, jak lubił mawiać. Zapakowaliśmy się więc do samochodu, wymieniliśmy olej, zatankowaliśmy do pełna i wyruszyliśmy jak poważni pielgrzymi. Mama nalegała, że chce mieć tylną kanapę wyłącznie dla siebie. Usiadłem więc z przodu jako nawigator i od czasu do czasu odwracałem się, aby błagać ją, żeby przestała skubać wargę, która zaczęła już krwawić. Z weekendu w Nowym Jorku wyraźnie pamiętam tylko dwie rzeczy.

W sobotę poszliśmy do Statuy Wolności i oczyma umysłu mogę właściwie policzyć wyślizgane schody, po których wspięliśmy się na szczyt. Pamiętam jednoczesne poczucie małości i wielkości, kiedy tam dotarliśmy, zapach potu i rozgrzanej miedzi w bezwietrznym lipcowym powietrzu. Mama skurczyła się w sobie na widok Manhattanu, zawodząc pod nosem, podczas gdy ja patrzyłem zaabsorbowany, jak mewy nurkują ku morzu. Z tej podróży przywiozłem do domu pusty w środku, miedziany model statuy wielkości mojej dłoni.

Pamiętam też niedzielny poranek tego samego weekendu, kiedy mama wyszła z pokoju hotelowego, podczas gdy ojciec brał prysznic, a ja na korytarzu wrzucałem monety do automatu z napojami. Gdy wróciłem i zastałem pokój pusty, spanikowałem, ale nie potrafiłem przerwać ojcu kąpieli, prawdopodobnie dlatego, że obwiniałby mnie (albo tylko to sobie wyob-

rażałem) o zgubienie jej. Zamiast tego chodziłem tam i z powrotem po czerwonym chodniku, mijałem tace obsługi hotelowej i wózki ze śnieżnobiałą pościelą, a potem zjechałem windą do recepcji. Dostrzegłem ciemne włosy mamy, gdy zniknęły w obrotowych drzwiach. Nie zwołałem jej, ponieważ to zaalarmowałyby obcych i wywołało ogólne zamieszanie, ale pobiegłem za nią, nieomal przewracając się o stoisko z gazetami. Zanim jednak wydostałem się na ulicę, zniknęła. Odźwierny w czerwonej liberii dmuchał w gwizdek, nie wiedziałem dlaczego, i wtedy zobaczyłem mamę, jak leżała na krawężniku i jęczała, a kierowca furgonetki z kwiatami, która właśnie połamała jej nogi, wyskoczył z szoferki i stał nad nią drżący, wybałuszając oczy jak dwa księżycy w pełni. I czułem, że wszystko to jest brutalnie, lodowato zimne.

Po wycieczce do Nowego Jorku mamę umieszczono w zakładzie opieki dla przewlekle chorych - kiedy nogi jej wydobrzały i kiedy lekarze w Centralnym Szpitalu Miłosierdzia musieli wpompować w nią mnóstwo haldolu, by ustały ataki. Duży pokój, w którym siedziałem z ojcem, zdecydowanie mało zmienił się od tamtej pory. Nie dlatego, żeby ojciec specjalnie starał się zrobić z niego kapliczkę dla niej. On po prostu niczego nie zmienił. Nie przyszło mu to do głowy.

- Ciągłe ktoś dzwonił i pytał o ciebie - powiedział. - Myślałem przez chwilę, że obrabowałeś bank.

Zastłony były zaciągnięte. Był to jeden z tych domów, w których bez względu na wszystko do wnętrza dociera mało światła. Nawet stara lampa stojąca nie mogła przepędzić posępnego nastroju. Ojciec siedział w swoim wymęczonym zielonym fotelu, oddychał płytko i czekał, aż się odezwę.

- Chodziło o pracę - odparłem. - Sprawdzali środowisko.

- Niezła praca, skoro FBI wydzwania do domu.

Podkoszulek odsłaniał kościste ciało. Ojciec był kiedyś potężnym mężczyzną. Wielkim i nerwowym, takim, z którego się nie drwi. Teraz ręce miał chude, a ciało obwisłe. Potężna klatka piersiowa zapadła się do żeber, pasek zaś zaciągnięty był ciasniej przynajmniej o pięć dziurek; jego luźny koniec uderzał o wysokie stawy biodrowe.

- Wyjeżdżam z kraju na pewien czas — powiedziałem.
- Na jak długo?
- Mówiąc szczerze, nie wiem.
- FBI powiedziało ci, że jestem chory?
- Po prostu usłyszałem.

- Może nie jestem tak chory, jak myślą. Nie czuję się dobrze, ale... - Wzruszył ramionami. - Gównu ci lekarze wiedzą, ale każą płacić jak Mojżesz. Chcesz kawy?

- Zrobię. Ekspres jest chyba tam, gdzie zawsze.
- Myślisz, że jestem za słaby, żeby zrobić kawę?
- Tego nie powiedziałem.
- Na miłość boską, jeszcze mogę zrobić kawę.
- Proszę bardzo.

Poszedł do kuchni. Ruszyłem za nim, ale zatrzymałem się w drzwiach, kiedy ujrzałem, jak nalewa do swojego kubka dużą porcję Jacka Danielsa. Ręce mu się trzęsły. Zaczekałem w pokoju i patrzyłem na półki z książkami. Większość pozycji należała do matki. Jej gust sięgał do *Mostów Madison County* Nory Roberts i nie kończących się tomów Tima LaHaye'a. Ojciec ze swej strony dołożył stare powieści Toma Clancy'ego oraz *Dziwniejsze od nauki*. Kiedy tutaj mieszkałem, miałem sporo książek - byłem piątkowym uczniem, prawdopodobnie dlatego, że bałem się wracać ze szkoły do domu - ale moje po-

wieści z dreszczykiem trzymałem posegregowane w swoim pokoju, przede wszystkim nie chcąc, by Conan Doyle albo James Lee Burke pomieszali się z V. C. Andrews i Catherine Coulter.

Ojciec wrócił z dwoma kubkami kawy. Podał mi ten z napisem CORIOLIS SHIPPING, nazwą swego ostatniego pracodawcy jeszcze - choć słabo — czytelną na ścianie. Zarządzał siecią dystrybucyjną Coriolis przez dwadzieścia trzy lata i nadal otrzymywał co miesiąc czek z emeryturą. Kawa była jednocześnie cierpka i słaba.

- Nie mam mleka ani śmietany.
- Jest dobra - odpowiedziałem.

Usiadł z powrotem w fotelu. Na ławie przed nim leżał pilot, prawdopodobnie do panelu telewizyjnego. Popatrzył na niego tęsknie, ale nie sięgnął.

- To musi być niezła praca, bo ci ludzie z FBI zadawali szczególne pytania.

- Jakie?

- Wpierw chyba typowe: gdzie chodziłeś do szkoły i jakie miałeś stopnie, gdzie pracowałeś i takie tam. Ale chcieli dużo szczegółów. Czy uprawiałeś sport, co robiłeś w wolnym czasie, czy dużo mówiłeś o historii i polityce. Czy miałeś dużo przyjaciół, czy raczej trzymałeś się na uboczu. Kto cię leczył, czy chorowałeś w dzieciństwie na coś nietypowego, czy chodziłeś do psychoanalityka. Także dużo o Elaine. Wiedzieli, że chorowała. W tej kwestii powiedziałem, żeby się odchrzanili. Ale oni i tak najwyraźniej sporo wiedzieli.

- Pytali o mamę?
- A nie to właśnie powiedziałem?
- O co pytali?

- No wiesz, o objawy. Kiedy się pojawiały i jak się wtedy zachowywała. Jak ty to przyjmowałeś. Sprawy rodzinne, które nie powinny nikogo interesować, naprawdę. Chryste, Scotty, interesowało ich wszystko. Chcieli obejrzyć twoje stare rzeczy, które są w garażu. Pobrali próbki wody z kranu, możesz w to uwierzyć?

- Chcesz powiedzieć, że weszli do domu?

- Uhm.

- Wzięli coś jeszcze poza wodą?

- Nie zauważyłem, ale była ich cała banda i nie mogłem mieć wszystkich na oku. Jeżeli chcesz sprawdzić swoje szpargały, to pudło ciągle tam jest, za buickiem.

Ciekawy i zaniepokojony, przeprosiłem i poszedłem do nie ogrzewanego garażu. Pudło, o którym mówił ojciec, zawierało najrozmaitsze rzeczy z czasów liceum. Roczniki szkolne, kilka nagród za naukę, stare powieści i płyty DVD, kilka zabawek i pamiątek. Pośród tego wszystkiego, zauważyłem, była miedziana Statua Wolności, którą przywiozłem z Nowego Jorku. Zielona podstawka z filcu postrzępiła się, pusta wytłoczka zmatowiała. Włożyłem ją do kieszeni. Jeżeli czegoś brakowało w tym zbiorze, to nie potrafiłem tego określić. Jednak sama myśl o anonimowych agentach FBI szperających w kartonach w garażu przyprawiała o dreszcze.

Pod tym wszystkim, na dnie pudła, leżała warstwa szkolnych rysunków. Plastyka nigdy nie była moją silną stroną, ale mamie podobały się one na tyle, że postanowiła je zachować. Wodne farbki odłóżące od sztywnego, szarego papieru, o konsystencji zeschniętych liści. Głównie sceny na śniegu. Ugięte sosny, proste chaty zasypane śniegiem -samotne przedmioty w wielkim krajobrazie.

W domu ojciec kołysał się w fotelu. Kubek kawy drżał na wyściełanym oparciu. Przetawiłem go na ławę. Ojciec poruszył się na dźwięk telefonu. Stary aparat słuchawkowy, z cyfrową przystawką w miejscu, gdzie przewód łączył się ze ścianą. Podniósł słuchawkę, zamrugał i kilkakrotnie powtórzył: „Tak”.

- To do ciebie - oświadczył.

- Do mnie?

Dzwoniła Sue Chopra. Stara linia o niskiej częstotliwości powodowała, że głos miała cienki.

- Zmartwiłeś nas, Scotty - powiedziała.

- Nawzajem.

- Zastanawiasz się, jak cię znaleźliśmy. Powinieneś się cieszyć, że nam się udało. Wzbudziłeś spory niepokój tą ucieczką.

- Sue, ja nie uciekłem. Spędzam popołudnie z ojcem.

- Rozumiem. Tylko przydałoby się nas jakoś powiadomić, zanim wyjedziesz z miasta. Morris kazał cię śledzić.

- Morris może się pieprzyć. Chcesz powiedzieć, że muszę prosić o zezwolenie na wyjazd z miasta?

- Nie jest to pisana zasada, ale byłoby miło, Scotty. Wiem, jak bardzo musisz być zły. Sama przez to przeszłam. Nie potrafię tego wyjaśnić. Ale czasy się zmieniają. Życie jest teraz niebezpieczne. Kiedy wracasz?

- Dzisiaj wieczorem.

- To dobrze. Chyba musimy porozmawiać.

Odpowiedziałem, że też tak uważam.

Posiedziałem z ojcem jeszcze kilka minut, a potem powiedziałem mu, że muszę jechać. Słabe światło za oknem całkiem zgasło. W domu czuło się przeciągi, kurz i suche gorąco.

- Przejechałeś taki kawał drogi tylko po to, żeby napić się kawy i pobełkotać - rzekł, poruszywszy się w fotelu. - Słuchaj, wiem, dlaczego tu jesteś. Powiem ci, że niespecjalnie boję się śmierci. Ani nawet mówienia o tym. Budzisz się, czytasz pocztę i mówisz do siebie: „Cóż, to nie dzisiaj”. Ale to nie to samo, co nie wiedzieć.

- Rozumiem.

- Nie rozumiesz. Ale cieszę się, że przyjechałeś.

Powiedział coś zaskakującego. Nie potrafiłem znaleźć odpowiedzi. Wstał. Spodnie opadły na kościstych biodrach.

- Nie zawsze traktowałem twoją matkę tak, jak powinienem. Ale byłem tu, Scotty. Pamiętaj. Nawet, kiedy była w szpitalu. Nawet, kiedy szalała. Nie zabierałem cię tam, dopóki nie wiedziałem, że dobrze się czuje. Od niektórych rzeczy, które mówiła, zeszlaby ci skóra. A potem poszedłeś na studia.

Zmarła z powodu komplikacji po zapaleniu płuc, rok przed moim dyplomem.

- Mogłeś do mnie zadzwonić, kiedy jej się pogorszyło.

- Po co? Żebyś zapamiętał obraz własnej matki przeklinającej cię na łożu śmierci? Ma to sens?

- Też ją kochałem.

- Tobie było łatwo. Może ja ją kochałem, może nie. Nie pamiętam. Ale byłem z nią, Scotty. Przez cały czas. Niekoniecznie byłem dla niej miły. Ale byłem z nią.

Podszedłem do drzwi. Podążył za mną kilka kroków, a potem zatrzymał się. Brakowało mu tchu.

- Zapamiętaj to - powiedział.

Kiedy wylądowaliśmy na Ben Gurion, na lotnisku panował chaos i kłębił się tłum uciekających turystów. Krajowy lot El Al - opóźniony cztery godziny ze względów pogodowych, po

trzydniowej przerwie „dyplomatycznej”, o której Sue nie chciała mówić - był prawie pusty. Jednak w drodze powrotnej będzie wypełniony po brzegi. Ewakuacja Jerozolimy trwała.

Wysiadłem z samolotu w zwartej grupie z Sue Choprą, Rayem Mosleyem i Morrisem Torrance'em, otoczonej kordonem agentów FBI z soczewkami wspomagającymi wzrok i ukrytą bronią. Wszystkich eskortowało z kolei pięciu rekrutów Izraelskich Sił Obrony w dżinsach i białych T-shirtach, z uzi zarzuconymi na ramię, którzy czekali na nas u dołu rampy. Przeprowadzono nas szybko przez kontrolę celną i skierowano poza Ben Gurion, do czegoś przypominającego *sheruti*, prywatnej taksówki, zarekwirowanej w tej nagłej sytuacji. Sue wskoczyła na miejsce obok mnie, nadal oszołomiona podróżą. Morris i Ray wsiedli za nami i silnik zaszumił cicho, gdy van ruszył.

Monotonny deszcz moczył autostradę numer jeden. Długi ciąg samochodów pełznących w stronę Tel Awiwu połyskiwał matowo pod wałami chmur, ale pasy do Jerozolimy były całkiem puste. Przed nami wielkie ekrany przydrożne obwieszczały wszystkim ewakuację. Za nami wskazywały jej trasy.

- Trochę to denerwujące - odezwała się Sue - jechać tam, skąd wszyscy inni uciekają.

Członek izraelskiej ochrony - wyglądał jak nastolatek - na siedzeniu za nami stłumił chichot.

- Wielu przyjmuje to sceptycznie — powiedział Morris. — Wielu nawet nie cierpi. Likud może przegrać następne wybory.

- Ale tylko wtedy, gdy do niczego nie dojdzie - odparła Sue.

- A jest na to szansa?

- Prawie żadna.

Ochroniarz znowu parsknął.

Deszcz zagruchotał o samochód. Styczeń i luty to pora deszczowa w Izraelu. Odwróciłem głowę do okna i obserwowałem, jak drzewa w gaju oliwnym uginają się od wiatru. Ciągłe myślałem o tym, co Sue powiedziała mi w samolocie.

Po moim powrocie od ojca Sue była nieosiągalna przez kilka dni, pokonywała jakieś dyplomatyczne trudności, które trzymały nas w Baltimore aż do ostatniej minuty. Tydzień spędziłem na sprawdzaniu kodu i zmarnowałem kilka wieczorów w miejscowym barze z Morrisem i Rayem. Nie spodziewałem się, że może być z nich takie miłe towarzystwo. Byłem zły na Morrisa za to, że wyszedł mnie u ojca... ale Morris Torrance był człowiekiem, dla którego życzliwość stała się sztuką. Sztuką, a może narzędziem. Odbijał gniew jak Superman kule od piersi. Nie myślał dogmatami o chronolitach, nie miał sprecyzowanych poglądów na znaczenie Kuina, ale jego zainteresowanie najwyraźniej sięgało głęboko. Oznaczało to, że mogliśmy przy nim wygadywać bzdury, wpadać na szalone pomysły bez obawy, że nadepnemy mu na religijny lub polityczny odcisk. Czy było to szczerze? W końcu reprezentował FBI. Bardzo prawdopodobne, że to, co mówiliśmy, trafiało do akt, ale geniusz Morrisa sprawiał, że wydawało się, iż to bez znaczenia.

W towarzystwie Morrisa otwierał się nawet Ray Mosely. Zaszufładkowałem Raya jako bystrego, ale mającego kłopoty towarzyskie faceta, którego seksualny radar beznadziejnie i niestosownie nastawiał się na Sue. Było w tym trochę prawdy. Jednak kiedy się zrelaksował, odślaniał miłość do amerykańskiej ligi baseballowej, dzięki czemu mieliśmy wspólny temat. Ray lubił przebojową drużynę z rodzinnego Tuscon i udało mu

się wkurzyć faceta przy sąsiednim stole uwagami na temat Orioles, z których nawet pod groźbą się nie wycofał. Ray nie był tchórzem. Był samotny, ale zasadniczo jego samotność była intelektualna. Kończył rozmowę, gdy zauważył, że przeszedł na poziom, na który my nie potrafiliśmy się wspiąć. Nie wywyższał się w ten sposób - przynajmniej nie za często - tylko był wyraźnie smutny, że nie może się podzielić swoimi myślami.

Właśnie tę samotność, jak mi się wydaje, rekompensowała mu Sue. Nieważne, że fizyczne emocje rezerwowała dla krótkich kontaktów starannie oddzielonych od pracy. Myślę, że w pewnym sensie, kiedy Ray omawiał z nią fizykę, kochał się.

Sue widywaliśmy rzadko.

- Tak właśnie było w Cornell - powiedziałem Morrisowi i Rayowi. - To znaczy, między studentami. Sprawiała, że się spotkaliśmy, ale najlepsze rozmowy odbywały się po zajęciach, bez niej.

- To musiało przypominać próbę w kostiumach - zastanawiał się Morris.

- Próbę czego? Tego? Chronolitów?

- Och, oczywiście nic o tym nie mogła wiedzieć, ale czy nie masz czasami takiego wrażenia, że życie to jedna wielka próba przed jakimś krytycznym wydarzeniem?

- Może. Czasami.

- Może w Cornell miała złą obsadę - powiedział Morris - a scenariusz trzeba było poprawić. Ale ty, Scott, musiałeś być dobry. - Uśmiechnął się. - Zmontowałaś ostateczną wersję.

- Więc co to za wydarzenie? - zapytałem. - To, co ma się stać w Jerozolimie?

- W Jerozolimie... albo gdziekolwiek potem.

Sue i ja nie mieliśmy okazji porozmawiać na osobności. Dopiero gdy znaleźliśmy się daleko nad Atlantykiem, przywołała mnie na tył wyludnionej klasy ekonomicznej.

- Przepraszam, Scotty, że mam przed tobą tajemnice - powiedziała. - Przepraszam też za sprawę z twoim ojcem. Myślałam, że mogłaby to być dla ciebie praca na etacie, nie...

- Areszt domowy - zasugerowałem.

- Owszem, areszt domowy, bo w pewnym sensie tak właśnie jest. Jednak nie tylko dla ciebie. Jestem w takiej samej sytuacji. Chcą trzymać nas razem, pod kontrolą.

Sue miała katar i parła przez niego z typową dla siebie determinacją. Siedziała z dłońmi na kolanach, ściskając chusteczkę w promieniu słońca, tak skruszona i tak niewzruszona jak Mahatma Gandhi. Z przodu steward linii El Al roznosił grzanki i jajecznicę na plastikowych tackach.

- Dlaczego ja, Sue? - zapytałem. - Na to pytanie nikt nie chce odpowiedzieć. Mogłaś nająć lepszego zarządcę kodów. Byłem w Chumphon, ale to niczego nie wyjaśnia.

- Nie doceniasz swojego talentu - powiedziała. - Ale wiem, o co pytasz. O nadzór FBI, o agentów w domu twojego ojca. Scotty, kilka lat temu popełniłam błąd, chcąc opublikować artykuł o zjawisku, które nazwałam „turbulencją tau”. Przeczytali go pewni wpływowi ludzie.

Odpowiedź, która zmierza w stronę abstrakcyjnej teorii, nie zapowiada się na odpowiedź. Czekałem, marszcząc brwi, kiedy ona wydmuchiwała głośno nos.

- Przepraszam - powiedziała. - Artykuł traktował o przyczynowości, można by rzec, z odniesieniem do zagadnień

czasowej niezmienniczości i chronolitów. Głównie matematyka, a z tego w większości pewne sporne aspekty zachowania kwantów. Jednak spekulowałam także, jak chronolity mogą zmienić nasze konwencjonalne rozumienie makroskopowej relacji przyczyny i skutku. Zasadniczo twierdziłam, że w rozpoznanym wydarzeniu tau — hipotetycznie, stworzeniu chronolitu - skutek w naturalny sposób poprzedza przyczynę, ale zarazem tworzy rodzaj fraktalnej przestrzeni, w której najbardziej znaczące łączniki między wydarzeniami stają się nie deterministyczne, ale współzależne.

- Nie wiem, co to znaczy.

- Pomyśl o chronolocie jako miejscowym wydarzeniu w czasoprzestrzeni. Jest powierzchnia rozdziału, granica między konwencjonalnym przepływem czasu a anomalią ujemnego tau. To nie tylko przyszłość przemawiająca do przeszłości. Są fale, wiry, prądy. Przyszłość przekształca przeszłość, która z kolei przekształca przyszłość. Rozumiesz?

- Mniej więcej.

- Otrzymujesz zatem rodzaj turbulencji naznaczony nie tyle przez związek przyczyny i skutku czy nawet paradoks, ile przez pianę korelacji i zbieżności. Nie możesz szukać przyczyny pojawienia się chronolitu w Bangkoku, ponieważ ona jeszcze nie istnieje, ale możesz szukać wskazówek w samej turbulencji, w nietypowych współzależnych.

- Na przykład?

- Kiedy pisałam artykuł, nie podałam przykładów, ale ktoś potraktował mnie na tyle poważnie, aby doszukać się implikacji. FBI cofnęło się i przyjrzało wszystkim przesłuchanym po Chumphon, a była to najmniejsza i najbardziej kompletna próba statystyczna pod ręką. Potem skompilowali

CHRONOLITY

bazę danych z nazwiskami i historią każdego, kto kiedykolwiek publicznie wygłaszał opinię na temat chronolitów, przynajmniej na początku, każdego, kto prowadził badania w Chumphon, w tym nawet traktorzystów i hydraulików; każdego, kogo przesłuchiwali po lądowaniu. Następnie zaś szukali powiązań.

- Zakładam, że jakieś znaleźli?

- Niektóre nawet dziwne. Ale najdziwniejszym byliśmy ty i ja.

- Dlaczego? Z powodu Cornell?

- Częściowo, ale poskładaj to razem, Scotty. Oto kobieta, która mówiła o anomaliiach tau i egzotycznych sprawach na długo przed Chumphon. Która stała się wysoko cenionym ekspertem w dziedzinie chronolitów. A oto jej były student, stary przyjaciel, który przypadkiem był na plaży w Chumphon, a którego aresztowano jakiś kilometr od pierwszego znanego chronolitu, kilka godzin po jego pojawieniu się.

- Sue - przerwałem jej - to nic nie znaczy. Wiesz o tym.

- Nie ma to znaczenia przyczynowego, masz rację, ale nie o to chodzi. Chodzi o to, że to nas naznacza. Próby dojścia do genezy chronolitu są jak próby sprucia swetra, zanim jeszcze go zrobiono. To niemożliwe. W najlepszym razie możesz znaleźć jakieś nitki, które są odpowiedniej długości oraz podobnego koloru, i zgadywać, jak by je połączyć.

- Dlatego FBI przesłuchiwało ojca?

- Patrzą absolutnie na wszystko. Ponieważ nie wiemy, co może mieć znaczenie.

- To logika paranoi.

- Cóż, tak, tym właśnie się zajmujemy: logiką paranoi. Dlatego oboje jesteśmy pod nadzorem. Nie podejrzewają

nas o jakiegokolwiek przestępstwa, zdecydowanie nie w zwyczajowym rozumieniu. Ale boją się, kim możemy się stać.

- Może my jesteśmy ci źli, o to ci chodzi?

Sue wyjrzała przez okno na strzępiasty cumulus, na ocean w dole przypominający wypolerowane, niebieskie lustro.

- Pamiętaj, Scotty. Czymkolwiek jest Kuin, prawdopodobnie nie on stworzył tę technologię. Najeźdźcy i królowie z zasady nie studiują fizyki. Używają tego, co mogą sobie wziąć. Kuin to może być ktokolwiek, gdziekolwiek, ale z całą pewnością wykradnie tę technologię, a kto może zagwarantować, że nie skradnie jej nam? A może my jesteśmy ci dobrzy. Może to my rozwiążemy tę zagadkę. To też możliwe: po prostu inny rodzaj związku. Nie jesteśmy tylko więźniami, bo bylibyśmy teraz w celach. Obserwują nas, ale jednocześnie chronią.

Wyjrzałem w przejście między fotelami, by sprawdzić, czy nikt nie słucha, ale Morris był z przodu i rozmawiał z kierownikiem lotu, Ray zaś pogrążył się w lekturze.

- Mogę na to przystać do pewnego stopnia - powiedziałem. - Zarabiam przyzwoicie, podczas gdy inni w ogóle nie mają pracy, i oglądam rzeczy, których nigdy nie spodziewałem się ujrzeć. - Nie dodałem zaspokajania własnej obsesji na punkcie chronolitów. - Ale tylko do pewnego stopnia. Nie mogę obiecać...

...że będę w tym tkwił nieskończenie, chciałem powiedzieć. Że stanę się akolitą, jak Ray Mosely. Nie, kiedy świat zmierza do piekła, a ja mam córkę, której muszę bronić.

Sue przerwała mi z zadumany uśmiechem.

- Nie martw się, Scotty. Nikt niczego nie obiecuje, już nie. Ponieważ nikt nie jest niczego pewien. Pewność należy do luksusów, bez których musimy nauczyć się żyć.

Bez pewności nauczyłem się żyć już dawno. Jedna z zasad przebywania z rodzicem chorym na schizofrenię mówi, że dziwactwo trzeba tolerować. Możesz to wytrzymać. Przynajmniej - jak powiedziałem Sue - do pewnego stopnia. Poza nim szaleństwo rozlewa się po wszystkim. Dostaje się do twego wnętrza i czuje jak u siebie, aż nie masz już komu ufać, nawet sobie.

Pierwszy punkt kontrolny na autostradzie był najtrudniejszy do przebycia. Tam właśnie Izraelskie Siły Obrony zawracały rzekomych pielgrzymów perwersyjnie zwabionych ewakuacją.

„Syndrom jerozolimski” określono jako przypadek psychiatryczny dawno temu. Turystów czasami urzeka kulturowe i mitologiczne znaczenie miasta. Identyfikują się zbyt głęboko, ubierają się w prześcieradła i sandały, głoszą kazania na Górze Oliwnej, próbują składać w ofierze zwierzęta na Górze Świątynnej. Za sprawą tego zjawiska szpital psychiatryczny Kfar Shaul ma pracę od końca poprzedniego stulecia.

Ogólnoświatowa niepewność wywołana przez chronolity zapoczątkowała nową falę pielgrzymek, a ewakuacja doprowadziła ją do punktu szczytowego, istnej gorączki. Jerozolimę ewakuowano dla bezpieczeństwa mieszkańców, ale czy kiedykolwiek miało to znaczenie dla fanatyka? Jechaliśmy ślimaczym tempem w kolejce pojazdów, z których część porzucono przy punkcie kontrolnym, gdy kierowcy nie chcieli zawrócić. Jednym ciągiem przejeżdżała kolumna wozów policyjnych, ambulansów i lawet. Pokonaliśmy tę przeszkodę o zmierzchu i przybyliśmy do głównego hotelu na górze Skopus w momencie, kiedy z nieba zniknął ostatni promień słońca.

W całym mieście ustawiono punkty obserwacyjne: nie tylko nasze, ale też posterunki wojskowe, jeden ONZ-etu, delegacje kilku uniwersytetów izraelskich, miejsce dla prasy międzynarodowej przy Haas Promenadę. Góra Skopus (*Har HaTsofim* po hebrajsku, co przypadkiem znaczy także „przyglądać się”) była w pewnym sensie doborowym miejscem. Tu właśnie obozowali Rzymianie w roku 70, na krótko przed stłumieniem żydowskiego powstania. Byli tu również krzyżowcy, z podobnych powodów. Widok na Stare Miasto był spektakularny, ale przerażający. Ewakuacja, szczególnie stref palestyńskich, nie szła łatwo. Jeszcze płonął ogień.

Podążyłem za Sue przez pusty hol hotelowy do apartamentu składającego się z kilku sąsiadujących z sobą pokoi na ostatnim piętrze. To było serce operacji. Zasłony zaciągnięto, a zespół techników ustawił sprzęt fotograficzny i monitorujący oraz, co bardziej złowrogie, rząd potężnych grzejników. Większość tych ludzi należała do projektu badawczego Sue, lecz tylko nieliczni znali ją osobiście. Kilku podbiegło do niej, aby uścisnąć jej rękę. Była cierpliwa, ale najwyraźniej zmęczona.

Morris pokazał nam nasze pokoje, po czym zaproponował spotkanie w restauracji na dole, kiedy już weźmiemy prysznic i przebierzemy się. Sue zastanawiała się głośno, jak restauracja może działać podczas ewakuacji.

- Hotel znajduje się poza główną strefą zakazu - powiedział Morris. - Pracuje tylko niezbędny personel, wszyscy to ochotnicy. Na zapleczu kuchni jest dla nich ogrzewany bunkier.

Kiedy znalazłem się w pokoju, przez kilka minut po prostu patrzyłem na miasto rozłożone niczym kamienny koc na judejskich wzgórzach. Pobliskie ulice były puste, jeśli nie li-

czyć patroli i ambulansów wyjeżdżających od czasu do czasu z Hadassah kilka przecznic dalej. Światła na skrzyżowaniu podrygiwały na wietrze niczym anioły w apopleksji.

Kiedy mijaliśmy posterunek na autostradzie, ochroniarz powiedział ciekawą rzecz. Dawniej, oznajmił, fanatycy przyjeżdżający do Jerozolimy zazwyczaj wyobrażali sobie, że są Jezusem albo Janem Chrzcicielem, albo pierwszym i jedynie prawdziwym Mesjaszem. Ostatnio, stwierdził, skłaniali się ku temu, że są Kuinem.

Miasto, które widziało o wiele za dużo historii, miało zobaczyć jej jeszcze więcej.

Sue, Morris i Ray czekali na mnie w olbrzymim atrium hotelowym. Morris wskazał pięć pięter wiszących roślin.

- Patrz, Scotty - powiedział - to Ogrody Babilonu.

- Babilon jest daleko stąd na wschód - zauważyła Sue. - Ale, tak.

W restauracji usiedliśmy możliwie najdalej od grupy jedynych poza nami gości kobiet i mężczyzn z Sił Obrony, stłoczonych w czerwonym winylowym boksie. Nasza kelnerka (jedyna kelnerka) była starszą kobietą z wyraźnym amerykańskim akcentem. Mówiła, że ewakuacja jej nie przeszkadza, chociaż zmuszona jest sypiać w hotelu.

- Nie mam ochoty jeździć po wyludnionym mieście, chociaż kiedyś tak bardzo narzekałam na ruch - powiedziała. Daniem głównym tego wieczoru był kurczak w migdałach. - I to wszystko, chyba że jesteście na coś uczuleni albo coś podobnego. W takim przypadku możemy poprosić szefa kuchni, aby przygotował coś specjalnego.

Kurczak dla wszystkich, a Morris zamówił jeszcze butelkę białego wina. Zapytałem o rozkład dnia na jutro.

- Poza pracą naukową - odpowiedział Morris - po południu odwiedzi nas minister obrony Izraela. Do tego fotografowie i filmowcy. Nie ma w tym żadnego podstępu -dodał. - Nie byłoby nas tutaj, gdyby rząd Izraela nie miał już wszelkich danych, jakie możemy im podać. To pokazówka dla prasy, ale Ray i Sue muszą trochę wytłumaczyć to laikom.

- Dajemy im lód Minkowskiego czy sprzężenie zwrotne?
- zapytał Ray.

Morris i ja spojrzeliśmy tępo.

- Nie wykluczaj ludzi z rozmowy. To nieładnie. Morris, Scotty, musieliście nauczyć się tego z komunikatów Kongresu - powiedziała Sue.

- Powoli czytamy - odparł Morris.

- Sporo czasu spędzamy na tłumaczeniu matematyki na angielski.

- Szukamy metafor - dodał Ray.

- Ważne, aby ludzie to zrozumieli. Przynajmniej tyle, ile my rozumiemy. A to niewiele.

- Lód Minkowskiego — nalegał Ray — czy pozytywne sprzężenie zwrotne?

- Chyba sprzężenie.

- Nadal czuję się wykluczony - powiedział Morris.

Sue zmarszczyła brwi i pozbierała myśli.

- Morris, Scotty, rozumiecie mechanizm sprzężenia?

Połowa tego, co robiłem z kodem Sue, dotyczyła rekursji i autowzmocnienia. Jednak teraz mówiła znacznie ogólniej.

- To jest to, co się dzieje, kiedy stajesz w auli liceum, aby wygłosić mowę pożegnalną, a megafony zaczynają piszczeć jak Świnia w rzeźni.

Uśmiechnęła się.

CHRONOLITY

- Dobry przykład. Opisz, Scotty, ten proces.

- Między głośnikami a mikrofonem jest wzmacniacz. W najgorszym razie rozmawiają ze sobą. Cokolwiek wchodzi do mikrofonu, wychodzi głośnikami wzmacnione. Jeżeli w systemie są jakieś szумы, powstaje pętla.

- Właśnie. Każdy, najcichszy nawet dźwięk, który wychwyci mikrofon, zostaje nagłośniony przez megafon. Mikrofon to słyszy i znowu wzmacnia i tak dalej, aż system zaczyna dźwięczeć niczym dzwon... albo kwiczeć jak Świnia.

- A to odnosi się do chronolitów - rzekł Morris - ponieważ...?

- Ponieważ sam czas jest rodzajem wzmacniacza. Znasz to powiedzenie, że uderzenie skrzydeł motyla w Chinach może wywołać burzę w Ohio? To zjawisko nazywa się „czułą zależnością”. Duże wydarzenie jest często małym, wzmacnionym przez czas.

- Jak w tych wszystkich filmach, gdzie facet podróżuje w przeszłość i kończy się to tym, że zmienia własną teraźniejszość.

- Tak czy owak - powiedziała Sue - to przykład wzmacnienia. Jednak kiedy Kuin wysłała do nas monument upamiętniający zwycięstwo dwadzieścia lat w przyszłości, to tak, jakby skierować mikrofon wprost na głośnik. Wytwarza się sprzężenie, rozmyślne sprzężenie. Auto wzmacnienie. Uważamy, że właśnie dlatego chronolity tak szybko rozszerzają swoje terytorium. Zaznaczając swoje zwycięstwa, Kuin stwarza oczekiwanie, że będzie je odnosić. Wskutek tego zwycięstwo staje się bardziej prawdopodobne, nawet nieuniknione. A potem następne. I tak dalej.

To nie było dla mnie nowe terytorium. Tyle wyniosłem z prac Sue i ze spekulacji w prasie popularnej.

- Kilka pytań - odezwałem się.

- Dobrze.

- Pierwsze: Jak to wygląda dla Kuina? Jak to się rozgrywa, odkąd po raz pierwszy wysłał do nas kamień, do Chumphon? Czy nie zmieniałby w ten sposób własnej przeszłości? Jest teraz dwóch Kuinów, czy co?

- Zgadujesz równie dobrze jak ja. Pytasz mnie, czy lepiej to rozumiemy na poziomie teoretycznym. Cóż, tak i nie. Chcielibyśmy uniknąć modelu wielokrotnych światów, jeśli to możliwe...

- Dlaczego? Jeżeli to najłatwiejsza odpowiedź?

- Ponieważ mamy powody wierzyć, że tak nie jest. A jeżeli jest, ogranicza to, co możemy zrobić z tym problemem. Jednakże alternatywą...

- Alternatywą - wtrącił się Ray - jest to, że Kuin popełnia swego rodzaju samobójstwo za każdym razem, kiedy to robi.

Kelnerka przywiozła nasze potrawy na wózku przykrytym obrusem, a następnie wytoczyła opróżniony wózek do kuchni. Ludzie z Sił Obrony skończyli obiad i zabrali się do deseru. Zastanawiałem się, czy to ich pierwszy pobyt w cztero-gwiazdkowym hotelu. Jedli w taki sposób - z wielką powagą, komentując, ile by to kosztowało, gdyby musieli za wszystko płacić.

- Zmienia to, kim był - powiedziała Sue między kęsami. - Wymazuje to, zastępuje, ale to niezupełnie samobójstwo, prawda? Wyobraźcie sobie hipotetycznego Kuina, lokalnego wodza, który w jakiś sposób wchodzi w posiadanie tej technologii. Pociąga za dźwignię i nagle nie jest już jakimś Kuinem,

ale tym Kuinem, tym, na którego wszyscy czekali, na dobrą sprawę pieprzonym mesjaszem, choć dla niego to nigdy nie stanowiło różnicy. Przynajmniej jakaś część jego osobistej historii zniknęła, ale to bezbolesna strata. Jest teraz wysławiony, ma wojska, wielkie zaufanie, świetlaną przyszłość. Może być właśnie tak albo tak, że miejsce prawdziwego Kuina zajął jakiś ambitniejszy osobnik, który dorastał, chcąc zostać Kuinem. W najgorszym razie to rodzaj śmierci, ale zarazem potencjalny bilet ku chwale. A nie możesz opłakiwać tego, czego nigdy nie miałeś.

Zastanawiałem się nad tym.

- Nadal wygląda to na duże ryzyko. Skoro raz to zrobił, po co naciskać guzik po raz drugi?

- Kto wie? Ideologia, mania wielkości, ślepa ambicja, autodestrukcyjny impuls. A może dlatego, że musi to zrobić, jakby chwycił się ostatniej deski ratunku, kiedy odwraca się od niego szczęście na polu walki. Może za każdym razem jest inny powód. Obojętnie, jak się na to spojrzy, on jest w połowie pętli sprzężenia zwrotnego. Jest sygnałem, który generuje szum.

- Zatem mały szum staje się głośny - powiedział Morris.

- Pierdnięcie zamienia się w piorun.

Sue gorliwie pokiwała głową.

- Ale współczynnik wzmocnienia to nie tylko czas. To ludzkie oczekiwania i ludzka interakcja. Kamienie nie przejmują się Kuinem, drzewa też to gównem obchodzi. To my. Nasze zachowanie zależy od naszych przewidywań, a coraz łatwiej jest spodziewać się Kuina zwycięzcy, Kuina bogakróla. Kusi nas, by się poddać, kolaborować, idealizować na-

jeżdżcę, być częścią procesu, aby nie skończyć na dnie, gdzie cię rozdepczą.

- Twierdzisz, że to my stwarzamy Kuina?

- Nie konkretnie my, ale ludzie. Tak, ludzie w ogólności.

- Tak właśnie było z moją żoną, zanim się rozstaliśmy - powiedział Morris. - Tak bardzo nienawidziła myśli o rozczarowaniu, że ciągle o tym myślała. Bez względu na to, co zrobiłem, jak bardzo ją wspierałem, ile zarabiałem, czy chodziłem co tydzień do kościoła. Byłem pod ciągłym nadzorem. „Zostawisz mnie kiedyś”, powtarzała. A jak coś takiego się mówi wystarczająco często, w jakiś sposób staje się prawdą. - Morris zamyślił się nad własnymi słowami, odsuwając kieliszek wina.

- Oczekiwanie - odezwała się Sue - tak, sprzężenie zwrotne. Właśnie. Nagle Kuin uosabia wszystko, czego się boimy albo potajemnie pragniemy...

- Zbliżając się do Jerozolimy - dodałem - aby się urodzić.

Od tej myśli jakby powiało chłodem w całej sali. Nawet hałaśliwi młodzi poborowi jakby trochę przycichli.

- Cóż, nie jest to specjalnie pocieszające, ale zacznę wreszcie rozumieć. — powiedziałem. — Co to jest lód Minkowskiego?

- Metafora innego koloru. Ale dosyć tego gadania na dzisiaj. Poczekaj do jutra, Scotty. Ray będzie wyjaśniać to ministrowi obrony.

Uśmiechnęła się pobłaźliwie, kiedy Ray puchł z dumy.

Rozstaliśmy się po kawie i wróciłem do swojego pokoju. Pomyślałem, żeby zadzwonić do Janice i Kaitlin, ale recepcjonista przerwał mi wybieranie numeru i powiedział, że pasmo jest pełne i będę musiał poczekać przynajmniej godzinę. Poczęstowałem się więc piwem z lodówki, położyłem nogi na pa-

rapecie i obserwowałem, jak w dole, ciemnymi ulicami wyłączzonej strefy pędzi samochód. Reflektory wydobywające z mroku Świętą Skałę podkreślały historyczną potęgę i majestat budowli, ale zaledwie w ciągu czterdziestu ośmiu godzin i w odległości kilku kilometrów zjawić miał się wyższy i bardziej dramatyczny monument.

Obudziłem się o siódmej, niespokojny, ale nie głodny. Wziąłem prysznic, ubrałem się i zacząłem zastanawiać, jak daleko ochrona pozwoli mi pójść, gdybym spróbował wybrać się na małe zwiedzanie - spacer dookoła hotelu, powiedzmy. Postanowiłem się dowiedzieć. Przy windzie zatrzymał mnie jeden z dwóch schludnych agentów FBI, którzy patrzyli na mnie tępo.

- Gdzie się szef kieruje?
- Na śniadanie.
- Najpierw musimy zobaczyć odznakę.
- Odznakę?
- Nikt nie może opuścić tego piętra bez odznaki.

Nie potrzebuję żadnej śmierdzącej odznaki - ale najwyraźniej potrzebowałem.

- Kto wydaje te odznaki?
- Szef musi pogadać z ludźmi, którzy tu szefa przywieźli.

To nie zajęło zbyt wiele czasu, ponieważ Morris Torrance pośpiesznie zjawił się za mną, rzucił mi radosne „dzień dobry” i przypiął do koszuli plastikowy identyfikator.

- Zjadę z tobą - powiedział.

Mężczyźni rozstąpili się niczym drzwi windy, których strzegli. Skłonili się Morrisowi i ten mniej agresywny życzył mi miłego dnia.

- Może być - powiedziałem. - Szefie.

CHRONOLITY

- To tylko środki bezpieczeństwa - wyjaśnił Morris, kiedy zjeżdżaliśmy.

- Tak jak prześladowanie mojego ojca? Jak czytanie wyników moich badań lekarskich?

Wzruszył ramionami.

- Sue nie wyjaśniła ci niczego?

- Trochę. Nie jesteś tylko jej ochroniarzem, co?

- Ale ochroniarzem też.

- Jesteś strażnikiem.

- Ona nie siedzi w więzieniu. Może iść, dokąd chce.

- Jeżeli ty o tym wiesz. Dopóki ktoś ją śledzi.

- To rodzaj umowy, jaką zawarliśmy - odparł Morris. -
Więc dokąd chcesz iść, Scotty? Na śniadanie?

- Muszę się przewietrzyć.

- Chcesz zwiedzać? Rozumiesz, jak bardzo zły to pomysł.

- Nazwij mnie ciekawskim.

- Hmm, mogę załatwić samochód Sił Obrony z odpowiednimi oznaczeniami. Nawet wjazd do strefy wyłączzonej, jeżeli naprawdę tego chcesz.

Nie odpowiadałem.

- W przeciwnym razie - mówił dalej - w zaistniałej sytuacji jesteś skazany na hotel.

- Podoba ci się ta praca?

- Pozwól, że opowiem ci o tym - odparł.

Wypożyczył niebieski, nie oznakowany samochód z wszystkimi niezbędnymi przepustkami przyklejonymi do przedniej szyby i rozbudowanym systemem GPS zajmującym większą część deski rozdzielczej od strony pasażera. Pojechał ulicą Lehi, a ja gapiłem się (znowu) przez okno.

Był kolejny deszczowy dzień. Palmy daktylowe zwisały nad bulwarami. Za dnia ulice wcale nie były wyludnione. Na głównych skrzyżowaniach stali wartownicy z obrony cywilnej, wszędzie byli policjanci i patrole Sił Obrony i jedynie strefa wyłączona wokół spodziewanego miejsca lądowania była całkowicie ewakuowana.

Morris wjechał do Nowego Miasta i skręcił w ulicę King David, centrum strefy wyłączonej. Ewakuacja dużego miasta to coś więcej niż tylko wyprowadzenie ludności, chociaż tym właśnie jest na niemożliwie wielką skalę. Po części są to też aspekty techniczne. Większość szkód wyrządzonych przez chronolit jest rezultatem początkowego uderzenia zimna, tak zwanego impulsu cieplnego. W pobliżu miejsca lądowania wszystkie zbiorniki z wodą pękły. Właścicielom posesji w Jeruzolimie doradzono, by opróżnili przed wyjazdem wszelkie rury, a władze miasta starały się zabezpieczyć wodociągi w strefie zero przez rozhermetyzowanie, chociaż to mogło utrudnić walkę z pożarami, kiedy parujące ciecze i gazy wydostaną się z pojemników nadwerężonych lub uszkodzonych przez zimno. Sieć gazociągową już odcięto. Teoretycznie każdy zbiornik w toalecie powinien zostać opróżniony, każdy zbiornik na gaz, każda butla z propanem usunięta. W rzeczywistości bez wyczerpujących przeszukań wszystkich budynków niczego nie można było zagwarantować. A w bezpośrednim sąsiedztwie punktu przybycia impuls cieplny nawet butelkę mleka zamieni w potencjalnie śmiertelne urządzenie wybuchowe.

Nic nie mówiłem, kiedy przejeżdżaliśmy obok sklepów z pozaciąganyimi roletami, okien zalepionych taśmą izolacyjną,

zaciemnionych wieżowców, hotelu King David pozbawionego życia niczym trup.

- Puste miasto to rzecz nienaturalna - odezwał się Morris.

- Przerażająca, jeżeli wiesz, o co mi chodzi. -Zwolnił przed punktem kontrolnym i pomachał do żołnierzy, kiedy zauważyli jego nalepki. - Wiesz, Scotty, śledzenie ciebie i Sue wcale nie sprawia mi przyjemności.

- To ma mnie uspokoić?

- Ja tylko rozmawiam. Problem w tym jednak, musisz przyznać, że to ma sens. Jest w tym logika.

- Tak?

- Słyszałeś wykład.

- O zbiegu okoliczności? O tym, co Sue nazywa „turbulencją tau”? Nie wiem, w ile z tego mam wierzyć.

- W to - odparł Morris - a także w to, jak to widzą Kongres i administracja. Dwa fakty o chronolitach, Scotty. Pierwszy: nikt nie wie, jak taki zrobić. Drugi: wiedza o tym powstaje gdzieś nawet teraz, kiedy rozmawiamy. Dajemy więc Sue i ludziom do niej podobnym środki, aby wymyślili, jak takie coś zbudować, i może to niewłaściwy wybór. Ta wiedza jest puszczone luzem, może dostanie się w niepowołane ręce, a może nic z tego by się nie wydarzyło, gdybyśmy przede wszystkim nie otworzyli puszk Pandory.

- To logika krążąca w kółko.

- Czy dlatego ma być zła? W sytuacji, w jakiej się znaleźliśmy, chcesz zrezygnować z jakiejś możliwości, ponieważ nie tworzy ładnego i zgrabnego sylogizmu?

Wzruszyłem ramionami.

- Nie zamierzam przeproszać za sposób, w jaki zagłądał się w twoją przeszłość - powiedział. — Takie rzeczy się robi

CHRONOLITY

w przypadku zagrożenia kraju, podobnie jak wciela się ludzi do wojska czy wprowadza rozdzielnictwo żywności.

- Nie wiedziałem, że zostałem wcielony.
- Spróbuj myśleć o tym w ten sposób.
- Ponieważ chodziłem do szkoły z Sue Choprą? Ponieważ przypadkiem znalazłem się na plaży w Chumphon?

- Raczej dlatego, że jesteśmy powiązani liną, której nie widzimy.

- To... poezja.

Przez moment Morris prowadził bez słowa. Słońce przeświecało przez chmury, słupy światła wędrowały po wzgórzach Judei.

- Scotty, jestem rozsądny. W każdym razie lubię tak uważać. Nadal co niedzielę chodzę do kościoła. Praca w FBI nie robi z człowieka potwora. Wiesz, jakie jest nowoczesne FBI? To nie są już policjanci i bandyci, prochowce i wszystkie bzdety. Dwadzieścia lat pracowałem za biurkiem w Quantico. Przeszedłem szkolenie strzeleckie, ale nigdy nie użyłem broni w realnej sytuacji. Nie różnimy się aż tak bardzo, ja i ty.

- Nie wiesz, jaki jestem, Morris.

- Dobra, masz rację. Zakładam tylko na potrzeby dyskusji, że obaj jesteśmy normalnymi ludźmi. Nie wierzę w nic bardziej nadnaturalnego niż to, o czym czyta się w Piśmie Świętym, i tylko wierzę w ten jeden z siedmiu dni. Ludzie mówią, że jestem rozsądny. Nawet nudny. Uważasz mnie za nudziarza?

Puściłem to mimo uszu.

- Ale mam sny, Scotty - mówił dalej. - Pierwszy raz zobaczyłem tego z Chumphon w telewizji, w Waszyngtonie. Ale zaskakujące było to, że go poznałem. Widywałem już w snach.

Nic konkretnego, żadne proroctwo, nie mógłbym tego udowodnić, ale gdy tylko to zobaczyłem, wiedziałem, że będzie to część mojego życia. - Patrzył przed siebie. - Będzie dobrze, jeśli te chmury przejdą do jutra wieczora. Dobrze dla obserwacji.

- Morris, czy coś z tego jest prawdą? - spytałem.

- Nie pieprzyłbym ci głupot.

— Czemu nie?

— Czemu nie? Może dlatego, że ciebie też poznałem, Scotty. To znaczy pamiętałem cię ze snów. Ciebie i Sue.

Kiedy patrzę na te strony, wydaje mi się, że za dużo mówię o sobie, a nie dość o Sue Choprze. Ale mogę opowiadać jedynie własną historię, tak jak jej doświadczyłem. Sue, myślałem, była zajęta pracą i ślepa na siły, które ją infantylizowały, robiły z niej strażnika państwa. Akceptowanie przez nią tego stanu martwiło mnie, prawdopodobnie dlatego, że szamotałem się w tych samych ograniczeniach i zbierałem te same nagrody. Miałem dostęp do najlepszych i najnowszych platform procesorów, do najsprytniejszych inkubatorów kodów. Jednocześnie wszakże byłem przedmiotem obserwacji, któremu, płacono za próbki DNA i moczu dla raczkującej nauki zajmującej się turbulencją tau.

Obiecałem sobie, że zniosę to, dopóki nie sfinansuję przynajmniej lwiej części operacji Kaitlin. Potem żadnych zobowiązań. Gdyby marsz chronolitów trwał, chciałem być w domu i blisko Kaitlin, kiedy kryzys będzie coraz gorszy.

A jeżeli chodzi o Kait... teraz mogłem tylko dać jej emocjonalne wsparcie, zapewnić azyl, gdyby coś nie wyszło z Whitem, zastępczym ojcem. Jednak miałem przecucie, może również potężne i dokładne jak sen Morrisa, że prędzej czy później będzie mnie potrzebować.

Byliśmy w Jerozolimie, ponieważ chronolit zapowiedział się pomrukami radioaktywności w najbliższym otoczeniu, niczym wstępnie porykujący wulkan. Zastanawiałem się, czy była też wstępna turbulencja tau, cokolwiek to znaczy. Śladowa odmienność w powietrzu, fraktalna kaskada zbiegu okoliczności? A jeśli tak, to czy była wyczuwalna? Czy miała znaczenie?

Do szacunkowego czasu lądowania mieliśmy jeszcze niecałe piętnaście godzin, kiedy obudziłem się w czwartek rano. Tego dnia całe piętro było zamknięte, nikogo nie wpuszczano ani nie wypuszczano, z wyjątkiem techników kursujących między wewnętrznymi monitorami a układem anten na dachu. Najwyraźniej były groźby ze strony jakiejś nieznanej radykalnej grupy. Pośiłki dostarczano z kuchni hotelowej według surowego rozkładu.

Samo miasto było ciche i spokojne pod zamglonym turkusem nieba.

Minister obrony Izraela zjawił się na spotkanie z prasą po południu. Dwóch fotografów, trzech młodszych doradców wojskowych i paru członków gabinetu podążyło za nim do pokojów technicznych. Dziennikarze mieli aparaty na ramieniu na przegubowych podpórkach. Minister obrony, łysy mężczyzna ubrany w khaki, wysłuchał opisu Sue dotyczącego sprzętu badawczego i poświęcił uwagę nieporadnemu sprawozdaniu Raya Mosely'ego o „łodzie Minkowskiego” - niezdarnej metaforze, moim zdaniem.

Minkowski był dwudziestowiecznym fizykiem, który twierdził, że wszechświat można pojmować jako czterowymiarowy sześcian. Każde wydarzenie można zatem opisać jako punkt w tej czterowymiarowej przestrzeni; wszech-

świat jest zaś sumą tych punktów, przeszłych, teraźniejszych i przyszłych.

Proszę spróbować sobie wyobrazić, mówił Ray, że kostka Minkowskiego to blok płynnej wody (tak sprzeczne, jak to się może wydawać) zamrażający od dołu do góry. Postępowanie zamrażania przedstawia w przybliżeniu nasze ludzkie nastawienie do upływu czasu. To, co zamrożnięte, należy do przeszłości, jest niezmiennie, stałe. To, co płynne, jest przyszłością, nieokreślone, niepewne. My zaś żyjemy na granicy krystalizacji. Aby podróżować w przeszłość, musielibyśmy odwrócić stworzenie (a raczej roztopić) całego wszechświata. To oczywisty absurd: jaka siła mogłaby cofnąć planety, obudzić zmarłe gwiazdy, rozpuścić dzieci w łonach? Ale nie to uczynił Kuin, chociaż to, co zrobił, było wystarczająco cudowne. Chronolit, mówił Ray, jest jak gorąca igła wprowadzona do lodu Minkowskiego. Efekty są uderzające, ale wyraźnie ograniczone co do miejsca. W Chumphon w Tajlandii, może najbardziej na całym świecie, konsekwencje były dziwne i paradoksalne; ale księżyc to nic nie obeszło, komet nie wyrzuciło z orbit, gwiazdy nadal niemo spoglądały. Lód Minkowskiego krystalizuje się znowu wokół coraz chłodniejszej igły i czas płynie tak jak przedtem, nieznacznie zraniony, ale zasadniczo nie zmieniony.

Minister przyjął to z oczywistym, wstrzemięźliwym sceptycyzmem muzułmańskiego duchownego zwiedzającego Watykan. Zadał kilka pytań. Podziwiał szkło odporne na wybuchy, którym zastąpiono hotelowe okna, pochwalił oddanie, z jakim kobiety i mężczyźni obsługują wszelkie urządzenia. Wyraził nadzieję, że wszyscy dowiemy się czegoś pożytecznego w najbliższych kilku godzinach, jeżeli, broń Boże, zapowiadana tragedia rzeczywiście nastąpi. Potem odeskortowano go na

góre, by mógł się przyjrzeć antenom, a za nim ciągnęli fotografowie, popijając kawę z papierowych kubków. Wszystko to oczywiście zostanie podane do publicznej konsumpcji, pokaz rządowego spokoju w obliczu kryzysu.

Lód Minkowskiego topniał nieodwracalnie i niewidzialnie. Łąca hotelowe były zajęte przez nasze szerokopasmowe przekazy danych, ale odebrałem tego dnia jedną rozmowę: Janice dała mi znać, że mój ojciec umarł we śnie.

Tego dnia śnieg padał prawie w całym Marylandzie - spadło około piętnastu centymetrów delikatnego puchu. Ojciec nosił urządzenie, które wysyłało sygnał ratunkowy w razie zakłócenia pracy serca, ale gdy karetka przyjechała, reanimacja nie dała już rezultatu. Janice zaproponowała, że załatwi niezbędne sprawy, skoro jestem nieobecny (nikt inny z rodziny nie pozostał przy życiu). Zgodziłem się i podziękowałem jej.

- Przykro mi, Scott - powiedziała. - Wiem, że był trudny, ale przykro mi.

Próbowałem nadać tej stracie jakiś sens. A jednak złapałem się na tym, że myślę, ile gwałtu uniknął, uciekając z historii przy obecnym kryzysie, jakiej daniny nie będzie musiał płacić.

Kiedy zapadał zmierzch, Morris zastukał do moich drzwi i odeskortował mnie do działu technicznego, spowitego niebieską łuną monitorów. Jako obserwatorzy Morris i ja zostaliśmy relegowani do rzędu foteli pod tylną ścianą, gdzie nie mogliśmy się plątać pod nogami. W pomieszczeniu było gorąco i sucho, rzędy przenośnych grzejników już żarzyły się zawzięcie. Technicy najwyraźniej byli za grubo ubrani i pocili się przy

konsoletach. Na dworze bezchmurne niebo nabierało barwy atramentu. Miasto było nienaturalnie ciche.

- Już niedługo - wyszeptał Morris.

Po raz pierwszy przewidziano pojawienie się chronolitu z pewną dokładnością, ale obliczenia wciąż jeszcze były przybliżone, odliczanie zaś niepewne.

- Mieście oczy otwarte - powiedziała Sue, przechodząc obok.

- A jak nic się nie stanie? - zapytał Morris.

- To Likud przegra wybory. A my stracimy wiarygodność.

Mijały minuty. Tym z nas, którzy nie włożyli odzieży ochronnej, rozdano pikowane kurtki. Morris wychylił się z cienia, cały spocony i najwyraźniej niespokojny.

- Najlepsze miejsce na lądowanie to dzielnica biznesu. To interesujący wybór. Ominie Stare Miasto, Górę Świątynną.

- Kuin jest jak Cezar - powiedziałem. - Czcij, jakich tylko chcesz bogów, dopóki kłaniasz się zdobywcy.

- Nie pierwszy raz w Jerozolimie.

Ale może ostatni. Chronolity na nowo rozpały apokaliptyczne obawy, które dwudziesty wiek łączył z bronią atomową: poczucie, że nowa technika wzniosła stopy konfliktu, że długa parada powstających i ginących imperiów mogła zatoczyć ostateczny krąg. A teraz było to zbyt proste, aby w to uwierzyć. Dolina Megiddo w końcu znajdowała się zaledwie kilka kilometrów stąd.

Przypomniano nam, abyśmy pomimo gorąca mieli zapięte kurtki. Sue chciała, żeby pokój nagrzano do granic możliwości, tworząc bufor przed wstrząsem cieplnym. Dokładna analiza

poprzednich lądowań podpowiadała, czego możemy się spodziewać. Chronolit nie usuwa powietrza ani skały w miejscu, gdzie się pojawia - przetwarza te materiały i włącza je we własną strukturę. Fala uderzeniowa jest wynikiem tego, co Sue nazywała „promienistym chłodzeniem”. W odległości kilku metrów od Kuina samo powietrze uległoby kondensacji, zestaleniu i spadłoby na ziemię. Przez ułamek sekundy powietrze nadciągające, aby zastąpić tamto, zostałoby potraktowane podobnie. W nieco większym promieniu atmosfera zamarzlaby we frakcjach gazów, jakie się na nią składają: tlenu, azotu i dwutlenku węgla. Para wodna skraplałaby się w jeszcze większym promieniu.

Obecność wód gruntowych wywołuje podobne zjawisko w glebie i skałach; pękają kamienie i rozchodzi się fala uderzeniowa powstała w ziemi. Całe to schłodzone i poruszające się powietrze tworzy komory konwekcyjne, stąd potężny wiatr na poziomie zerowym i nieprzewidywalne, gęste mgły na kilometry dokoła. Dlatego więc nikt nie protestował przeciw suchemu gorącu i izolowanemu pomieszczeniu.

Technicy w białych strojach, w większości wypożyczeni nam studenci ostatniego roku, obsługiwali rząd terminali ustawionych pod oknami. Przekaz nadchodził z anten na dachu lub z czujników umieszczonych w pobliżu strefy lądowania. Od czasu do czasu wyśpiewywali liczby, z których żadna nic dla mnie nie znaczyła. Jednak napięcie wyraźnie rosło. Sue, niczym stroskana matka, chodziła między tymi młodymi, skorymi do pracy ludźmi. Zatrzymała się przed nami, schludna w świeżych dżinsach i białej bluzce.

- Wskaźniki z terenu są wysokie i szybko rosną - powiedziała. - To jak ostrzeżenie na dwie minuty przed czasem.

- Mamy nałożyć jakieś gogle czy co? - zapytał Tor-rance.
- To nie bomba wodorowa, Morris. Nie oślepi cię.

I wtedy odwróciła się. Jeden z techników, młoda blondynka, która nie wyglądała wcale na starszą od Kaitlin, wstała z krzesła i podeszła do Sue z błagalnym uśmiechem. Izraelscy ochroniarze spojrzeli na nią ostro. Podobnie Morris.

Dziewczyna była jakby oszołomiona. Nie panowała nad sobą. Zawahała się. Potem, ujmująco dziecinnym wręcz gestem, wzięła Sue za rękę.

- Cassie? - zapytała Sue. - Co ci jest?

- Chciałam... podziękować ci. - Dziewczyna mówiła głosem niepewnym, ale żarliwym.

Sue zmarszczyła brwi.

- Proszę, ale... za co?

Jednak Cassie tylko pochyliła głowę i cofnęła się, jakby ta myśl umknęła jej równie szybko, jak się pojawiła. Zakryła usta dłonią.

- Och! Przepraszam. Ja tylko... chciałam to powiedzieć. Nie wiem, co mi przyszło do głowy... - Zarumieniła się.

- Najlepiej zostań na swoim miejscu - powiedziała łagodnie Sue.

Znajdowaliśmy się obecnie głęboko w turbulencji tau. W pokoju czuć było gorąco i elektryczność. Za oknem centrum miasta drżało w nagłej aureoli.

Wszystko stało się w ciągu sekund, ale czas był elastyczny. Trwaliśmy w sekundach, jakby to były minuty. Przyznam, że się bałem. Dodatkowe światło wywołane przybyciem tworzyło kurtynę szybko zmieniających się barw - niebieskozielony przechodził w głęboką czerwień i fiolet - które unosiły

CHRONOLITY

się nad miastem i wypełniały nasz pokój dziwacznymi cieniami.

- Dziewiętnasta siedem - powiedziała Sue, sprawdzając zegarek. - Uwaga.

- Już jest zimno - zwrócił się do mnie Morris. - Zauważyłeś?

Czułem, jakby temperatura w pokoju spadła o kilka stopni. Skinąłem głową.

Jeden z ochroniarzy wstał nerwowo, manipulując bronią. Światło, tak szybko jak przyszło, zaczęło blednąć i wtedy... Wtedy chronolit nagle i po prostu już był. Zaistniał w błysku za świątynią na Świętej Skale, wyższy od wzgórz, groteskowo wielki, biały od lodu w kruchym świetle księżyca.

- Lądowanie! - obwieścił ktoś przy konsolach. - Promieniowanie w okolicy słabnie. Zewnętrzna temperatura dużo, dużo niższa...

- Czekaj - poleciła Sue.

Fala uderzeniowa wygięła szyby w oknach z rykiem grzmotu. Prawie natychmiast chronolit zniknął w białym wirze powietrznym, wilgoci wyrwanej z atmosfery przez wstrząs cieplny. Kilka kilometrów stąd z powodu różnic temperatur pękał beton, drewno szło w drzazgi, a żywa tkanka nieszczęśników, którzy zostali w strefie wyłączonej, ulegała bezpowrotnie zniszczeniu. (Było takich paru: koty, psy, pielgrzymi, sceptycy.)

Fala bieli promieniowała ze środka burzy, mróz wspinał się po wzgórzach Judei niczym ogień, a światła miast przygaszały wraz ze spięciami w transformatorach, które tryskały fontannami iskier. Hotel otuliła mgła; ostry, porywisty wiatr za-

łomotał w okna. Nagle w pokoju zrobiło się ciemno, światła konsolet migwały jak gwiazdy odbite w stawie.

- Zimno jak skurwysyn - wymamrotał Morris.

Otuliłem się ramionami i zobaczyłem, że Sue Chopra robi podobnie, odwracając się od okna.

Ochroniarz z Izraelskich Sił Obrony, który wstał chwilę wcześniej, uniósł karabin automatyczny. Krzyknął coś niezrozumiałego w szalejącej zamieci. A potem zaczął strzelać w mroczny pokój.

Strzelał Aaron Weiszack. Wiem o nim to, czego dowiedziałem się z gazet następnego dnia. Czyż światu nie oszczędzono by smutku, gdyby tytuły te można było przeczytać, zanim to się stało? A może jednak nie.

Aaron Weiszack urodził się w Cleveland w Ohio i wyemigrował do Izraela z rodziną w 2011. Młodość spędził na przedmieściach Tel Awiwu i miał skłonności do kilku radykalnych organizacji prawicowych, nim został powołany do wojska w 2020. Podczas zamieszek na Górze Świątynnej w 2025 został na krótko zatrzymany, ale nie postawiono mu zarzutów. Jego służba w Siłach Obrony miała nienaganny przebieg, a on sam był na tyle ostrożny, by ukryć przed zwierzchnikami związku z marginesową komórką „kuinistyczną” o nazwie Objąć Przyszłość. Był, jeżeli nie chory umysłowo, to przynajmniej niezrównoważony. Jego motywy pozostają niejasne. Wypalił zaledwie kilkakrotnie, nim inny z żołnierzy, kobieta nazwiskiem Leah Agnon, ścięła go krótką serią z własnej broni. Weiszack zmarł niemal natychmiast wskutek odniesionych ran, ale nie był jedyną ofiarą w pokoju.

Często myślałem, że czyn Aarona Weiszacka był tak samo zgubny jak przybycie Kuina z Jeruzalem - na swój sposób był

znacznie dokładniejszym wyobrażeniem tego, co miało nadejść.

Ostatnia kula Weiszacka rozbiła okna, rzekomo odporne na wstrząsy (ale najwyraźniej nie na pociski), te zaś runęły deszczem srebrzystych odłamków. Zimny wiatr i gęsta mgła wtargnęły do środka. Wstałem, ogłuszony strzałami, mrużąc głupawo oczy. Morris zerwał się z fotela, ruszył w stronę Sue Chopry, która leżała na podłodze, i przykrył ją własnym ciałem. Żaden z nas nie wiedział, czy atak skończył się czy dopiero zaczął. Nie widziałem Sue pod Morrisem, nie wiedziałem, czy jest poważnie ranna, ale krew była wszędzie: krew Weiszacka na tapecie, krew młodych techników rozbryzgana na konsolach. Zaczerpnąłem powietrza i powróciły dźwięki - ludzki krzyk, zawrośnięcie wiatru. Drobin lodu fruwały po pokoju jak szrapnele, napędzane niemożliwie stromymi termoklinami szalejącymi po mieście.

Członkowie Sił Obrony otoczyli leżącego Weiszacka, mierząc w jego nieruchome ciało. Kontyngent FBI rozbiegł się, zabezpieczając całe miejsce, a któryś z docentów Sue kręcił się przy leżących kolegach, próbując udzielić im pierwszej pomocy. Głosy, a wydało mi się, że usłyszałem wśród nich głos Morrisa, wołały o pomoc. Mieliśmy w pokoju sanitariusza, ale z pewnością był oszołomiony, jeżeli nie został ranny.

Rzuciłem się na podłogę i podczołgałem do Morrisa. Stoczył się z Sue i tulił jej głowę w ramionach. Była ranna. Tutaj też była krew na dywanie, plama czerwonych kropek parujących na brutalnym zimnie. Morris spojrzał na mnie.

- Nie jest poważna - rzekł, a właściwie poruszył wyraźnie ustami ponad rykiem wiatru. - Pomóż mi zaciągnąć ją na korytarz.

- Nie!- Sue oparła się mu, a ja zobaczyłem krwawą ranę tam, gdzie kula albo szrapnel rozerwały jej dżinsy, krwawiącą obficie dziurę w mięśniu prawego uda. Jeśli wszakże była to jej jedyna rana, to Morris miał rację: nie groziło jej bezpośrednio niebezpieczeństwo.

- Pozwól, że się tym zajmiemy - zwrócił się do niej zdecydowanie Morris.

- Są ranni! - Spojrzała w stronę rzędu terminali, gdzie jej studenci i technicy byli sparaliżowani strachem albo leżeli na krzesłach. - O Boże... Cassie!

Cassie, niewinnej absolwentce, kule wyrwały część czaszki. Sue zamknęła oczy, kiedy wyciągaliśmy ją z zimna. Morris zdecydowanie przemawiał do telefonu komórkowego, podczas gdy ja zaciskałem dłoń na jej krwawiącej nodze. Karetki z Hadassah były już w drodze, ślizgając się po lodowych skorupach na ulicy Lehi.

W holu hotelu, gdzie sanitariusze zasłonili wybite okna kocami i uruchomili grzejniki za pomocą generatora, prowadzono selekcję rannych. Jeden z sanitariuszy założył opaskę uciskową na ranę Sue i przybywającą pomoc kierował do poważniej rannych, których wnoszono do recepcji lub pozostawiano unieruchomionych na górze. Siły Obrony i cywilna policja otoczyły budynek, a syreny zawodziły ze wszystkich stron.

- Ona nie żyje - powiedziała ponuro Sue.

Cassie, oczywiście.

- Zginęła... Scotty, widziałeś ją. Dwadzieścia lat. Dyplom na MIT. Słodkie, miłe dziecko. Podziękowała mi, a potem została zbita. Co to znaczy? Czy to coś oznacza?

Na zewnątrz, z dachu i gzymsów hotelu, spadał lód i rozbijał się o chodnik. Księżyc penetrował te szkliste białe ruiny i zaznaczał wyłaniające się kontury Kuina z Jerozolimy.

Kuin z Jeruzalem: czworoboczny słup tworzy tron, na którym siedzi postać Kuina. Kuin patrzy spokojnie ponad pękniętą świątynią na Świętej Skale, wpatrując się w judejską pustynię. Ubrany jest w wieśniacze spodnie i koszulę. Na głowie ma przepaskę, która mogłaby być skromną koroną, ozdobioną półksiężycami i liśćmi laurowymi. Twarz ma poważną i królewską, rysy nieokreślone. Olbrzymia podstawa monumentu spotyka się z ziemią głęboko w ruinach placu Syjonu. Wierzchołek sięga czterystu trzydziestu metrów.

CHRONOLITY

Część druga

STRACONE DZIECI

Teraz uderza mnie - jeżeli wybaczycie staruszkowi odczytywanie własnych wspomnień - jak dziwne musiało się wydawać nadejście chronolitów pokoleniu, które osiągnęło dojrzałość po rozpadzie Związku Radzieckiego... pokoleniu mojego ojca, chociaż on nie żył dość długo, aby zobaczyć najgorsze. Było to pokolenie, które patrzyło na dyktatury trzeciego świata mniej z odrazą, a bardziej ze zniecierpliwieniem, pokolenie, dla którego przepyszne pałace i pomniki stanowiły żenujące pozostałości poprzedniego wieku, nawiedzane przez duchy domostwa gotowe runąć w ostrych wiatrach wiejących z Nikkei i NASDAQ.

Nadejście Kuina zaskoczyło ich całkowicie. Zagrożenie traktowali poważnie, ale byli głusi na apel. Potrafili wyobrazić sobie milion niedożywionych Azjatów składających hołd imieniu Kuina. To było przynajmniej prawdopodobne. Jednak skarceni przez własne dzieci i wnuki, stracili pewność siebie. Uciekli ławą pod skrzydła armii. Monumenty Kuina mogły się wydawać zaczarowane, ale zapowiadały i wieńczyły wojenne podboje, a dobrze chroniony naród nie da się podbić. A przynajmniej tak wówczas rozumowano. Pojawienie się monumentu w Jerozolimie spowodowało drugą falę federalnych inwestycji: w badania, układy satelitów, nową generację bezzałogowych samolotów przechwytyjących pociski, inteligentne miny, roboty wojenne i dostawcze. Służbę czynną wprowadzono ponownie w 2029, a stała armia zwiększyła się o pół miliona poborowych. (Co pomogło ukryć pogarszanie kondycji gospodarki cywilnej, które nastąpiło po kryzysie zaopatrzenia

w wodę głębinową, upadku handlu azjatyckiego i początku wieloletniej katastrofy w dorzeczu rzeki Atchafalaya.)

Mogliśmy zbombardować Kuina jako niemowlę, gdyby tylko ktoś potrafił go znaleźć. Jednak południowe Chiny i większość południowo-wschodniej Azji znajdowały się w stanie zdziczenia, pozbawione rządów, lokalni, watażkowie zaś na swoich uzbrojonych quadach terroryzowali głodujących wieśniaków. Kuinem mógł być każdy z tych małych tyranów. Albo wszyscy oni. W każdym razie większość uważała się za niego. I prawdopodobnie żaden nim nie był. Nie było nawet całkiem pewne, że Kuin jest Chińczykiem. On mógł być wszędzie.

Oczywiste wydaje się teraz (ale nie było wtedy), że Kuin był niebezpieczny, ponieważ się nie ujawnił. Nie miał żadnego planu poza podbojem, żadnej ideologii poza ostatecznym zwycięstwem. Nie obiecując niczego, obiecywał wszystko. Przyciągał bezdomnych, wygnańców i tych jedynie nieszczęśliwych. Kuin, który zrówna z ziemią góry i wyniesie doliny. Kuin, który musi przemawiać ich głosem, bo nikt inny tego nie zrobił.

Dla pokolenia, które nastąpiło po moim, Kuin reprezentował radykalnie nowe obalenie przestarzałych struktur władzy i nadejście sił równie zimnych i bezwzględnie nowoczesnych jak same chronolity. Mówiąc krótko, zabrał nam dzieci.

Kiedy dostałem telefon o Kait (od Janice, jej okienko wideo było puste, żeby mogła ukryć łzy), zrozumiałem, że będę musiał wyjechać z Baltimore i że będę musiał zrobić to bez Morrisa Torrance'a, śledzącego mnie przez siedem stanów. Co raczej nie było łatwe, choć łatwiejsze niż przed Jerozolimą. Przed Jerozolimą Sue Chopra nadzorowała badania chronolitów przy szczodrym przyzwoleniu władz federalnych. Ta

przewaga została zaprzepaszczona na skutek przywiązania Sue do czysto teoretycznych aspektów teorii chronolitów - obsesji na punkcie matematyki turbulencji tau zamiast praktycznych kwestii ostrzegania i obrony - oraz jej tragicznego wystąpienia przed Kongresem w lipcu 2028 roku. Podczas publicznego przesłuchania nie chciała ustosunkować się do teorii senatora La-

zara, że chronolit z Jerozolimy może być sygnałem końca świata. (Nazwała senatora „niedokształconym”, a grożącą apokalipsę „absurdalną mitologią wspomagającą proces, z którym staramy się walczyć”. Lazar, były republikanin nawrócony na rzeźnika Partii Federalnej, nazwał Sue „ateistką z wieży z kości słoniowej”, którą trzeba „karmić z publicznego cycka”.)

Oczywiście była zbyt cenna, aby całkowicie się jej pozbyć, ale nie była już centralną postacią w koordynowaniu badań nad chronolitami. Zamiast tego trzymano ją z dala od opinii publicznej. Pozostała najwybitniejszym w kraju ekspertem w dziedzinie ezoterycznej turbulencji tau, ale przestała być jej sztandarowym dzieckiem. To z kolei oznaczało, że FBI mniej interesuje się taką płótką jak ja, nawet jeżeli moje akta gniły gdzieś w cyfrowych katakumbach budynku imienia Hoovera.

Morris Torrance zrezygnował z pracy w FBI, zamiast przyjąć nowy przydział. Morris był wierzący. Wierzył w boskość Jezusa Chrystusa, wartość Sulamith Chopry i prawdziwość własnych snów. W epoce chronolitów zdarzyły się takie zmiany. Myślę też, że był trochę zakochany w Sue, chociaż (w przeciwieństwie do Raya Mosely'ego) nigdy nie miał jakichkolwiek złudzeń co do jej seksualności. Pozostał jej osobistym

strażnikiem i szefem ochrony, z pensją, która była ledwie ułamkiem jego rządowych dochodów.

Zarówno Sue, jak i Morris chcieli, abym pozostał związany z projektem: Sue, ponieważ pasowałem do jej zmieniającego się wzoru mających znaczenie przypadków; Morris, ponieważ wierzył, że jest to ważne dla Sue. Dyskusyjne stało się natomiast, czy mogą użyć sankcji prawnych, aby mnie zatrzymać. Morris był teraz cywilem, ale nie miałem wątpliwości, że podążyłby za mną, gdybym oświadczył, że wyjeżdżam. Może nawet użyłby swoich powiązań, aby mnie zatrzymać. Morris lubił mnie, ostrożnie, na swój sposób, ale przede wszystkim lojalny był wobec Sue.

Sue tymczasem próbowała zrekonstruować rozpadający się projekt chronolitowy w formie kółka internetowego, dzieląc się wszelkimi danymi, których nie utajnił Departament Obrony, a także pogłębiając i rozszerzając mate-

matykę turbulencji tau. W lutym 2031 straciła stypendium Departamentu Energii i zmuszona została do kolejnej akcji zbierania funduszy, podczas gdy pieniądze płynęły szerokim strumieniem na fascynujące projekty: laserowy akcelerator przeciwbieżnych wiązek promieni gamma na Uniwersytecie Stanforda czy Grupę Egzotycznej Materii działającą pod Chicago.

Ranek spędziłem na czyszczeniu pewnego kodu, który wyhodowałem dla niej; rutynowa sprawa: ma wyjść w świat i przeszukiwać medialne węzły pod kątem odpowiednich zbieżności, według algorytmu sortującego rzeczowniki przygotowanego przez Sue. Morris wchodził i wychodził z biura kilka razy, jakiś chudszy niż kiedyś. I starszy. Ale nadal uparcie radosny. Sue była u siebie w biurze. Zatrzymałem się

po drodze, zastukałem i powiedziałem, że wychodzę. Na lunch, wyjaśniłem, ale musiała coś wychwycić w moim głosie.

- Długi lunch? Jak daleko zamierzasz pojechać, Scotty?
- Niedaleko.
- Wiesz, że jeszcze nie skończyliśmy.

Mogła mówić o kodzie, który rozwijaliśmy, ale wątpiłem w to.

Rana na udzie Sue zagoiła się już lata temu, ale doświadczenie z Jerozolimy pozostawiło inne blizny. Dzięki Jerozolimie, powiedziała mi kiedyś, zrozumiała, jak niebezpieczna jest jej praca - że zbliżając się do ośrodka turbulencji tau, ryzykowała nie tylko swoje życie, ale i ludzi z otoczenia.

- Jednak uważam, że to nieuniknione - powiedziała ze smutkiem. - To jest w tym najgorsze. Stoisz na szynach wystarczająco długo, więc prędzej czy później trafisz na pociąg.

Powiedziałem, że skończę czyszczenie po południu. Spojrzała na mnie sceptycznie.

- Coś jeszcze chcesz mi powiedzieć?
- Nie teraz.
- Porozmawiamy jeszcze - dodała.

Jak większość jej przepowiedni, ta też miała się spełnić.

Morris zaproponował, że pójdzie ze mną na lunch, ale powiedziałem mu, że mam kilka spraw do załatwienia i chyba tylko przegryzę w biegu jakąś kanapkę. Jeżeli uznał to za podejrzane, nie okazał tego.

Zamknąłem konto w Zurich American, przelałem większość funduszy na kartę tranzytową, a resztę wziąłem w stromodnych zielonych. Pojeździłem trochę dłużej, aby upewnić się, że Morris mnie nie śledzi, choć było to mało prawdopo-

dobne. Bardziej prawdopodobne, że podłączył się pod lokalizator w moim wozie. Zostawiłem chryslera u dilera w centrum, sprzedającej kobiecie powiedziałem, że nic z parkingu mi się nie podoba, i spytałem, czy mogę skorzystać z franchisingu. Nie miała nic przeciwko temu i chętnie przeszukała ze mną wirtualny spis na zapleczu. Ostrożnie wybrałem matowobłękitnego volkswagena edisona o ściętym przodzie, możliwie najbardziej anonimowo wyglądający samochód, jaki kiedykolwiek wyprodukowano. Zostawiłem chryslera na parkingu i skorzystałem z jazdy próbnej przez pół miasta. Z bliska volkswagen wyglądał na trochę bardziej podniszczony niż na ekranie, ale silnik był mocny i czysty, na ile potrafiłem to ocenić.

Oczywiście po całej tej bzdurnej, amatorskiej konspiracji został elektroniczny ślad szeroki jak Missouri. Ale choć Morris Torrance skojarzy kilka rzeczy i trafi na mnie, nie zrobi tego na tyle szybko, aby zatrzymać mnie w Baltimore. Przed nocą byłem trzysta pięćdziesiąt kilometrów dalej na zachód. Wjeżdżałem w ciepły czerwcowy wieczór z otwartymi oknami, łykając środki na buzujące w żołądku kwasy.

W miejscu, gdzie autostrada przechodziła nad rzeką Ohio, był wielki obóz — może tysiąc postrzępionych namiotów trzepotało na wiosennym wietrze, a dziesiątki ognisk w beczkach płonęły spazmatycznie. Większość tych ludzi to uchodźcy z terenów zalewowych Luizjany, bezrobotni pracownicy rafinerii i zakładów petrochemicznych, rolnicy wypędzeni przez wodę ze swojej ziemi. Gęstniejące gliniaste podłoże dorzecza Atchafalaya w końcu zaczęło ściągać Missisipi z piaszczystych delt, na których brodzi ptactwo, i to pomimo najlepszych starań wojsk inżynieryjnych Armii Stanów Zjednoczonych. Ponad

milion rodzin straciło domy w tych wiosennych powodziach, nie wspominając o chaosie, jaki zapanował z powodu walących się mostów i śluz oraz zadławionych błotem dróg. Wzdłuż rozsypującej się szosy stali ludzie, prosząc o zabranie w obu kierunkach. Autostop był tutaj nielegalny od pięćdziesięciu lat, więc rzadko kogoś podwożono. Jednak ci ludzie (niemal wyłącznie mężczyźni) przestali się tym przejmować. Stali sztywno jak strachy na wróble, mrużąc oczy przed światłami samochodów.

Miałem nadzieję, że Kait znalazła bezpieczne schronienie tej nocy.

Kiedy dotarłem do przedmieść Minneapolis, zameldowałem się w motelu. Recepcjonista, starszy mężczyzna przypominający żółwia, otworzył szeroko oczy, gdy wyjąłem z portfela gotówkę.

- Będę musiał pójść z tym do banku - powiedział.

Dodałem więc pięćdziesiąt dolarów za fatywę, a on był na tyle miły, że nie sprawdził moich dokumentów. Pokój, jaki mi przydzielił, był sześcianem, miał łóżko i darmowy terminal oraz okno wychodzące na parking.

Potwornie potrzebowałem snu, ale przedtem musiałem porozmawiać z Janice. Telefon odebrał Whit.

- Scott - odezwał się serdecznie, ale nie radośnie. Wyglądał, jakby i jemu potrzebny był sen. - Zakładam, że dzwońisz w sprawie Kaitlin. Przykro mi, ale nie było więcej informacji. Policja uważa, że nadal jest w mieście, więc pozwalamy sobie na umiarkowany optymizm. Oczywiście robimy wszystko, co w naszej mocy.

- Dziękuję, Whit, ale muszę teraz porozmawiać z Janice.

- Jest późno. Nie chcę jej niepokoić.

- To nie potrwa długo.

- Dobrze - powiedział Whit i odszedł od terminalu. Kilka chwil później pokazała się Janice; była w koszuli nocnej, ale najwyraźniej nie spała.

- Scotty - powiedziała. - Próbowałam się do ciebie dozwonić, ale nikogo nie było w domu.

- Wszystko w porządku. Przyjechałam tutaj. Możemy spotkać się jutro i omówić sprawę?

- Przyjechałeś? Nie musiałeś z tak daleka.

- Chyba jednak musiałem. Janice? Możesz mi poświęcić godzinę? Mogę podjechać pod dom albo...

- Nie - odpowiedziała. - Przyjadę do ciebie. Gdzie mieszkasz?

- Wolę się tu nie spotykać. Może w tym małym barze ze stekami przy Dukane, znasz go?

- Chyba jeszcze działa.

- To co, w południe?

- Lepiej o pierwszej.

- Spróbuj się przespać - poradziłem jej.

- Ty też. - Zawahała się. - Scotty, to już cztery dni. Cztery noce. Myślę o niej cały czas.

- Porozmawiamy jutro - powiedziałem.

Ujrzeć kogoś w okienku wideofonu to nie to samo, co zobaczyć go na żywo. Dzwoniłem do Janice kilkakrotnie w ciągu ostatnich paru miesięcy, ale nieomal nie rozpoznałem jej, kiedy weszła do baru. Moim zdaniem zmieniło ją połączenie za-
możności i strachu.

Whitowi szło dobrze mimo gospodarczego kryzysu. Janice miała na sobie wyraźnie kosztowną tweedową garsonkę i kurtkę, ale nosiła je tak, jakby sięgnęła do szafy i zerwała

ubranie z wieszaka - kołnierz zgięty, kieszenie nie zapięte. Oczy miała czerwone, skórę pod nimi opuchniętą i szarą.

Uściskaliśmy się serdecznie, ale neutralnie i Janice zajęła miejsce naprzeciwko mnie.

- Żadnych wiadomości - oznajmiła i wskazała torebkę, w której niewątpliwie znajdował się telefon. — Policjanci mówili, że zadzwonią, jeżeli coś się pojawi.

Zamówiła sałatkę, której potem nie tknęła, i margeritę, którą wypiła zbyt łąpczywie. Przyjemniej byłoby porozmawiać o czymś innym, ale oboje wiedzieliśmy, dlaczego tu jesteśmy.

- Będę musiał poprosić cię, żebyś przeszła przez to raz jeszcze - powiedziałem. — Dasz sobie radę?

- Tak - odparła. - Chyba dam, ale ty musisz mi powiedzieć, co zamierzasz zrobić.

- Co zamierzam?

- W kwestii... tego wszystkiego. Sprawę przejęła policja, więc mógłbyś narobić kłopotów, gdybyś za bardzo się mieszał.

- Jestem jej ojcem. Uważam, że mam prawo wiedzieć.

- Wiedzieć tak, z pewnością. Ale nie przeszkadzać.

- Nie zamierzam przeszkadzać.

Zdecydowała się na nikły uśmiech.

- Dlaczego mnie to nie przekonuje?

Zacząłem pytać, ale Janice mi przerwała.

- Nie, czekaj. Chciałam ci to dać.

Wyjęła z torebki brązową kopertę i podała mi. Otworzyłem ją i ujrzałem nowe zdjęcie Kaitlin. Janice powieliła je na błyszczącym papierze. Obraz był wyraźny i ostry. Szesnastoletnia Kait była wysoka jak na swój wiek i niezaprzeczalnie ładna. Los oszczędził jej młodzieńczego trądziku, a sądząc po pozie i minie, młodzieńczej niezdarności również. Wyglądała

poważnie, ale zdrowo. Przez chwilę nie wiedziałem, co takiego niezwykłego jest w tym zdjęciu. Wtedy przyszło mi do głowy: jej włosy. Kait zaciesała do tyłu długie ciemnoblonde włosy i zaplotła warkocz, odsłaniając uszy. Oba.

- To właśnie jej dałeś, Scott. Chciałam ci za to podziękować.

Proteza ucha środkowego była oczywiście niewidoczna, kosmetyczna robota za to nienaganna. Tak jak powinna. Ucho nie było sztuczne. Genetycznie należało do niej, wyhodowane z komórek macierzystych Kait. Nie było żadnej szramy, z wyjątkiem nienaganej linii szwów. Ale Kait była czuła na tym punkcie całe lata po operacji.

- Kiedy zdjęli jej bandaż, wszystko było jeszcze różowe, wiesz, ale idealne. Jak młoda róża.

Przyjechałem na operację, ale nie byłem na zdjęciu bandażu. Działo się to podczas kryzysu wywołanego lądowaniem w Damaszku, wtedy pracowałem z Sue.

- Powiedziałam jej, że jest piękna - mówiła Janice - zaraz tam, w szpitalu, przy lekarzach i pielęgniarkach. Ona przekrzywiła głowę, jakby nie wiedziała, skąd dochodzi mój głos. Wiesz, trzeba czasu na przystosowanie. I wiesz, co powiedziała?

- Co?

Po policzku Janice spłynęła jedna łza.

- Powiedziała: „Nie musisz krzyczeć”.

Kłopoty zaczęły się, mówiła Janice, gdy Kaitlin nie wróciła do domu z zebrania grupy młodzieżowej.

- Jakiej grupy młodzieżowej?

- To tylko... hmm... - Janice wahała się.

CHRONOLITY

- Nie ma sensu tego ciągnąć, skoro nie jesteśmy wobec siebie szczerzy - powiedziałem.

- To młodzieżówka organizacji, do której należy Whit. Musisz zrozumieć, Scott. To nie ma związku z popieraniem Kuina. To tylko ludzie, którzy chcą rozmawiać o alternatywie dla konfliktu zbrojnego.

- Jezu Chryste! - wybuchnąłem. - Janice... Whit jest zdrajcą?

Ostatnio prasa wróciła do terminu z wojny secesyjnej: „zdrajca”, stosując go jako obraźliwe określenie różnorodnych ruchów kuinistycznych.

- My nie używamy tego określenia - powiedziała Janice, schylając głowę. Wywnioskowałem, że chodzi jej o to, że Whit tego nie lubi. - Mnie nie interesuje polityka. Wiesz o tym. Nawet Whita. Zaangażował się w to tylko dlatego, że zaczęli tam wstępować niektórzy ludzie z kierownictwa. Przygotowywanie się do wojny, której prawdopodobnie nie będziemy musieli prowadzić, nie jest dobre z punktu widzenia ekonomii, tak mówi Whit.

Był to typowy argument zdrajców, a usłyszany z ust Janice niepokoił. Nie dlatego, że zawierał odrobinę prawdy. Pulsowała w nim kuinistyczna pogarda dla demokratycznych procesów, przekonanie, że Ruin może zaprowadzić porządek na planecie pociętej zbyt wieloma liniami podziałów ekonomicznych, religijnych i ekologicznych.

Powstanie tego ruchu obserwowałem w Internecie - obowiązkowo, odkąd Sue uznała, że jest ważny, a Morris, że to potencjalne zagrożenie. Nie podobało mi się to, co zobaczyłem.

- I wciągnął w to Kaitlin?

- Kait sama chciała. Wpierw zabierał ją na spotkania dla dorosłych, ale potem ona zainteresowała się młodzieżówką.

- Więc pozwoliłaś jej wstąpić... ot tak, po prostu?

Spojrzała na mnie błagalnie.

- Szczerze, Scotty, nie widziałam w tym nic złego. Nie wytwarzali bomb, na miłość boską. To tylko towarzyskie spotkania. Grali w baseball. Wystawiali sztuki. To nastolatki, Scott. Poznała tylu nowych przyjaciół... po raz pierwszy w życiu miała prawdziwych przyjaciół. Co miałam zrobić? Zamknąć ją w domu?

- Nie jestem tutaj, aby osądzać.

- Racja.

- Powiedz po prostu, co się stało.

Janice westchnęła.

- Dobrze, domyślałam się, że należeli tam też radykałowie. Trudno przed tym uciec, wiesz. Młodzi są szczególnie podatni. Wiadomości, Internet. Czasami o tym rozmawiała, o... - Ściszyła głos. - O Kuinie i że nie powinno się potępiać czegoś, czego się nie rozumie, takie sprawy. Traktowała to poważniej, niż sobie wyobrażałam.

- Poszła na zebranie i nie wróciła.

- Tak, podobnie jak dziesięcioro innych, w większości starszych od Kait. Najwyraźniej od tygodni rozmawiali o pielgrzymce, o tym, co nazywają hadżem.

Zamknąłem oczy.

- Ale policja twierdzi, że prawdopodobnie wciąż jeszcze są w mieście - pospieszyła dodać Janice. - Prawdopodobnie koczują w jakimś pustym budynku z grupą rzekomych radykałów, snują wielkie plany i kradną jedzenie ze sklepów. Mam nadzieję, że to prawda, ale i tak... kiepsko to wygląda.

- Szukałaś jej?

- Policja zabroniła.

- A Whit?

- Whit twierdzi, że powinniśmy współpracować z policją. I to dotyczy także ciebie, Scott.

- Możesz podać mi nazwisko kogoś z policji, z kim mógłbym porozmawiać?

Wyjęła notes, przepisała nazwisko i telefon na papierową serwetkę, ale robiła to niechętnie, spoglądając na mnie przeciągle i kwaśno.

- Także nazwę tego klubu, do którego należy Whit - dodałem.

W tym momencie obruszyła się.

- Nie chcę, żebyś narobił kłopotów.

- Nie po to tu przyjechałem.

- Gówno prawda. Przyjechałeś tu z całym tym... moralnym oburzeniem...

- Zaginęła moja córka. Dlatego tu jestem. Boisz się tego? Zamilkła.

- Kait nie ma niecały tydzień - dodała. - Może wrócić do domu już jutro. Muszę w to wierzyć. Muszę wierzyć, że policja robi, co może. Ale widzę to twoje spojrzenie. I nienawidzę go.

- Jakie spojrzenie?

- Jakbyś miał zaraz lamentować.

- Janice...

Uderzyła w stół otwartą dłonią.

- Nie, Scott! Przepraszam. Jestem wdzięczna za wszystko, co zrobiłeś dla Kait. Wiem, jak bardzo się starałeś. Ale nie mogę ci powiedzieć, do jakich organizacji należy Whit. To prywatne życie. Omówiliśmy to wszystko z policją i na tym

koniec, przynajmniej na razie. Więc nie patrz na mnie, kurwa, tym grobowym wzrokiem.

Poczułem się urażony, ale nie winiłem Janice, nawet kiedy wstała i sztywno wyszła na zalaną słońcem ulicę. Wiedziałem, co czuje. Kaitlin była w niebezpieczeństwie, a Janice zadawała sobie pytanie, co mogła zrobić lepiej, czym zawiniła, dlaczego tak nagle wszystko się popsuło. Zadawałem sobie te same pytania przez dziesięć lat. Ale dla Janice było to nowe doświadczenie.

Po lunchu pojechałem do Clarion Pharmaceuticals, wielkiego kompleksu przemysłowego, tam gdzie przedmieścia spotykały się z polami pszenicy, i powiedziałem strażnikowi przy bramie, że chcę się widzieć z panem Delahuntem. Strażnik włożył jakąś kartę pod lewą wycieraczkę i przypomniał mi, bym odebrał przepustkę dla gościa przy głównym wejściu. Ale ochrona firmy nie była szczelna. Zaparkowałem, wszedłem otwartymi drzwiami przy rampach załadowniczych i pojechałem windą tam, gdzie według tablicy informacyjnej znajdowało się biuro Whita.

Przeszedłem obok jego sekretarki, jakbym tu pracował, zanurzyłem się w labirynt pozbawionych drzwi pokojów, w których kobiety i mężczyźni w świeżych garniturach prowadzili telefoniczne konferencje. Znalazłem Whitmana Delahunta osuszającego ze źródlanej wody urządzenie chłodzące w narożniku holu. Kiedy mnie zobaczył, otworzył szeroko oczy ze zdziwienia.

Whit był nienaganny jak zawsze. Nieco siwizny na skroniach i parę centymetrów więcej w pasie, ale dobrze mu z tym było. Nawet lekko się do siebie uśmiechał, ale uśmiech zniknął, kiedy mnie zauważył. Wrzucił kubek do kosza na śmieci.

- Scott - powiedział. - Jezu. Mogłeś wcześniej zadzwonić.
- Uznałem, że powinniśmy pomówić w cztery oczy.
- Powinniśmy, i nie chcę być nieczuły, bo wiem, przez co przechodzisz, ale to nie jest najlepszy dla mnie moment.

- Wolałbym nie czekać.

- Scott, bądź rozsądny. Może dzisiaj wieczorem...

- Nie uważam, bym był nierozsądny. Bóg jeden wie, gdzie od pięciu dni jest moja córka. Z tego, co wiem, śpi na ulicy. Więc przepraszam, Whit, jeżeli to koliduje z twoją pracą, ale naprawdę musimy porozmawiać.

Zawahał się, ale po chwili się uniósł.

- Bardzo bym nie chciał wzywać ochrony.

- Kiedy będziesz się nad tym zastanawiać, opowiedz mi o tym twoim klubie.

Szerzej otworzył oczy.

- Uważaj, co mówisz.

- Może więc omówimy to na osobności.

- Kurwa, Scotty! Dobra. Jezu! Chodź.

Zabrał mnie do stołówki kierownictwa. Lady bufetu były puste, skończono już wydawać jedzenie. Sala opustoszała. Usiedliśmy przy polakierowanym, drewnianym stole jak cywilizowani ludzie.

Whit poluzował krawat.

- Janice mówiła mi, że może do tego dojść. Że przyjeżdżesz tutaj i skomplikujesz wszystko. Naprawdę powinieneś porozmawiać z policją, Scott, bo na pewno powiem im, co knujesz.

- Wspomniałeś o klubie zdrajców.

- Nie, to ty o nim wspomniałeś i proszę przestań używać tego obraźliwego słowa. To nie to. To komitet obywatelski, na

miłość boską. Tak, rozmawiamy od czasu do czasu o rozbrojeniu, ale mówimy też o obronie cywilnej. Jesteśmy przeciętnymi ludźmi, którzy chodzą do kościoła. Nie sądź nas po elemencie z marginesu opisywanym w prasie.

- W takim razie jak mam was nazywać?

- Jesteśmy... - Był na tyle stosowny, że wyglądał na zażenowanego. - Jesteśmy Komitetem Bliźniaczych Miast Pokoju z Honorem. Musisz zrozumieć, jak wiele tu wchodzi w grę. Dzieci mają rację, Scott: rozbudowa sił zbrojnych zakłóca gospodarkę, a nie ma żadnych dowodów na to, że karabiny i bomby oprą się Kuinowi, zakładając, że stanowi zagrożenie dla Stanów, czego nie można udowodnić. Podważamy rozpowszechnione przekonanie, że...

- Nie potrzebuję manifestu, Whit. Jacy ludzie należą do tego komitetu?

- Ważni.

- Ilu?

Znowu się zarumienił.

- Około trzydziestu.

- I ty wprowadziłeś Kait do młodzieżówki?

- Daleki byłem od tego. Młodzi traktują te sprawy poważniej niż my. To znaczy, niż nasze pokolenie. Nie są cyniczni. Kaitlin jest tego najlepszym przykładem. Przychodziła do domu z młodzieżowego spotkania i opowiadała, co przywódca taki jak Kuin mógłby zrobić, gdybyśmy z nim nie walczyli na każdym kroku. Jakby można było walczyć z kimś, kto kontroluje czas! Miast znaleźć sposób, aby uczynić przyszłość funkcjonalnym miejscem.

- Omawiałeś to z nią kiedyś?

- Nie indoktrynowałem jej, jeżeli to insynuujesz. Szanuję poglądy Kaitlin.

- Ale spiknęła się z radykałami, tak?

Whit poruszył się na krześle.

- Nie szufladkowałbym ich jako radykałów. Znam kilkoro z tych dzieciaków. Może czasami trochę przesadzają, ale to entuzjazm, nie fanatyzm.

- Żadnego z nich nie widziano od soboty.

- Moim zdaniem nic im nie jest. Takie rzeczy czasem się zdarzają. Dzieciaki wyrzucają lokalizatory GPS, biorą samochód i jadą gdzieś na parę dni. Nie jest to dobre, ale nie da się tego uniknąć. Przykro mi, jeżeli Kaitlin zwiódło kilka zgniłych jabłek, Scott, ale dojrzewanie to trudny okres.

- Czy mówili kiedyś o hadżu?

- Słucham?

- Hadż. Janice użyła tego słowa.

- Nie powinna. My także nie zalecamy tego słowa. Hadż to pielgrzymka do Mekki. Ale dzieciaki nie stosują go w tym sensie. To wycieczka do monumentu Kuina albo miejsca, gdzie ma się pojawić.

- Uważasz, że to właśnie planowali?

- Nie mam pojęcia, co planowali, ale wątpię, by był to hadż. Nie można pojechać daimlerem do Madrasu albo Tokio.

- Więc się nie martwisz.

Cofnął się i zrobił minę, jakby chciał splunąć.

- To złośliwe z twojej strony. Oczywiście, że się martwię. Świat to niebezpieczne miejsce... niebezpieczniejsze niż kiedykolwiek, moim zdaniem. Boję się tego, co może się przytrafić Kaitlin. Dlatego zamierzam pozwolić policji wykonywać jej

pracę i nie przeszkadzać. Proponowałbym, żebyś zrobił to samo.

- Dziękuję, Whit - odparłem.
- Nie pogarszaj sprawy ze względu na Janice.
- Nie widzę takiej możliwości.
- Porozmawiaj z policją. Nie żartuję. Albo ja zrobię to w twoim imieniu.

Odzyskał swoją pozę. Wstałem. Nie miałem zamiaru wysłuchiwać więcej kazań o Kait, nie z ust tego człowieka. Siedział na krześle niczym urażony książę i patrzył, jak wychodzę.

Zatelefonowałem do Janice z samochodu - chciałem porozmawiać z nią, zanim zrobi to Whitman.

Ciężkie czasy zmieniły miasto. Przejeżdżałem obok zakratowanych i zabitych deskami okien, na miejscu przyzwoitych sklepów pojawiły się dyskonty, powstały kościoły tajemniczych wyznań. W wyniku strajku śmieciarzy chodniki pełne były śmieci.

Opowiedziałem Janice przez telefon o rozmowie z Whittem.

- Musiałeś to zrobić, co? Kiedy już myślałam, że nie będzie gorzej.

Nie podobała mi się ta nuta w jej głosie.

- Janice... boisz się go?

- Oczywiście, że nie, nie fizycznie, ale jeśli straci pracę? Co wtedy? Nie rozumiesz, Scotty. Wiele z tego, co robi Whit, to po prostu... musi ulegać, żeby przetrwać. Wiesz, o co mi chodzi?

- Teraz martwię się o Kaitlin.

- Nie uważam też, żebyś robił dla niej coś dobrego. - Westchnęła. - Jest grupa rodziców, o której mówiła mi policja. Może byś im się przyjrzał.

- Grupa rodziców?

- Rodziców, których dzieci uciekły, przeważnie dzieci z kuinistycznymi ideałami. Rodzice tych na hadżu, jeżeli wiesz, o co mi chodzi.

- Na pewno nie szukam grupy wsparcia.

- Mógłbyś porównać historie, zobaczyć, co robią inni.

Wątpiłem w to. Jednak przesłała mi adres, a ja skopiowałem go do notesu.

- Tymczasem - oświadczyła - przepraszę Whita w twoim imieniu.

- A on przeprosił, że pozwolił Kait mieszać się w to?

- To nie twój interes, Scott.

Jakiś miesiąc po przybyciu monumentu do Jerozolimy udałem się do lekarza i długo rozmawialiśmy o genetyce i obłądnie. Przyszło mi do głowy, że logika współzależności Sue może mieć podłoże osobiste. Podkreślała, że nasze oczekiwania kształtują przyszłość i że ci z nas, którzy byli wystawieni na ekstremalną turbulencję tau, mogą na nią wpływać bardziej niż inni.

A jeżeli to, co się działo ze światem, to szaleństwo, czy mogłem to zasilać po części z najgłębszych pokładów mojej psychiki? Czy odziedziczyłem po matce wadliwą sekwencję genów i czy moje uśpione szaleństwo wypełniło pokój hotelowy na górze Skopus kulami i szkłem?

Lekarz, z którym rozmawiałem, pobrał ode mnie krew i zgodził się przyjrzeć moim genom w poszukiwaniu oznak schizofrenii. Jednak to nie takie proste, powiedział.

Schizofrenia nie jest czysto dziedziczną chorobą, chociaż podatność ma genetyczny aspekt. Dlatego nie stosuje się łątania genów. Istnieją złożone środowiskowe mechanizmy wpływające na występowanie choroby. W najlepszym razie mógł mi powiedzieć, czy mogłem odziedziczyć tendencję do późno rozwijającej się schizofrenii - prawie jak plotka, pozbawiona znaczenia i całkowicie nieprzewidywalna.

Znowu o tym pomyślałem, gdy korzystałem z motelowego terminalu, aby przywołać mapę świata z zaznaczonymi miejscami pojawienia się chronolitów. Jeżeli to było szaleństwo, oto jego namacalne symptomy. Azja była czerwoną strefą opanowaną przez gorączkową anarchię, chociaż kruche rządy państwowe nadal istniały w Japonii, gdzie sprawująca władzę koalicja przeżyła (ledwo) plebiscyt, i w Pekinie, chociaż nie na chińskiej wsi lub z dala od wybrzeża. Subkontynent indyjski poznaczony był lądowaniami, podobnie jak Bliski Wschód - nie tylko w Jerozolimie i Damaszku, ale także w Bagdadzie, Teheranie, Istambule. Europa była wolna od fizycznych manifestacji Ruina, który jak dotąd zatrzymał się na cieśninie Bosfor, ale nie dotyczyło to polityki. Zarówno w Paryżu, jak i w Brukseli doszło do potężnych zamieszek ulicznych zorganizowanych przez rywalizujące „kuinistyczne” frakcje. Północna Afryka doświadczyła pięciu katastrofalnych lądowań. Mały chronolit trafił w równikową Kinszasę zaledwie w zeszłym miesiącu. Planeta była chora, śmiertelnie chora.

Zamknąłem okno mapy i zadzwoniłem pod jeden z numerów, które podała mi Janice - do porucznika policji nazwiskiem Ramonę Dudley. Jego interfejs poinformował mnie, że jest nieosiągalny, ale moja rozmowa została zarejestrowana.

Czekając, wszedłem pod drugi numer wciśnięty mi przez Janice, numer „grupy wsparcia”, który okazał się domowym terminalem kobiety w średnim wieku, Reginy Lee Sadler. Kiedy odebrała, miała na sobie płaszcz kąpielowy i włosy jej ociekały. Przeprosiłem, że wyciągnąłem ją spod prysznica.

- Nie szkodzi - odpowiedziała; jej głos, południowy kontr alt, był tak czarny jak jej skóra. - Jeżeli tylko nie dzwoni pan z tej cholernej agencji rewindykacyjnej, proszę wybaczyć mój francuski.

Wyjaśniłem sprawę Kaitlin.

- Tak - odezwała się - wiem już o tym. Mamy paru innych rodziców z tego samego zdarzenia... głównie matki, oczywiście. Ojcowie raczej opierają się rodzajowi pomocy, jaki oferujemy, Bóg jeden zresztą wie dlaczego. Pan najwyraźniej nie należy do tego klanu sztywniaków.

- Nie było mnie tu, kiedy Kait zniknęła. - Opowiedziałem jej o Janice i Whitmanie.

- Więc jest pan nieobecny ojcem - stwierdziła.

- Nie z własnego wyboru. Pani Sadler, mogę zadać pani szczerze pytanie?

- Wolałabym to od innego, a większość ludzi mówi do mnie Regina Lee.

- Czy zyskam coś, przyłączając się do was? Czy to pomoże sprowadzić moją córkę do domu?

- Nie. Tego nie mogę obiecać. Nasza grupa istnieje dla własnych celów. Ratujemy samych siebie. Wielu jest rodziców w podobnej sytuacji i łatwo poddają się rozpacz. Niektórym pomaga, kiedy mogą dzielić się uczuciami z ludźmi mającymi takie same kłopoty. Podejrzewam, że olewa mnie pan teraz i mówi do siebie: „Nie potrzebuję tego ckiwe-

go główna”. Może i nie. Ale niektórzy z nas potrzebują i nie wstydzimy się tego.

- Rozumiem.

- Nie wspominając o tym, że w pewnym stopniu współpracujemy ze sobą. Sporo z nas wynajęło prywatnych detektywów, tropicieli uciekinierów, deprogramistów i porównuje wyniki oraz dzieli się informacjami. Jednak powiem szczerze, że niespecjalnie wierzę w takie działania, a rezultaty, jakie widziałam, potwierdzają to.

Oznajmiłem, że właśnie z tymi ludźmi chcę rozmawiać, choćby po to, aby się uczyć na ich błędach.

- Zapraszam na nasze spotkanie dziś wieczorem... - Podała mi adres salki przykościelnej. - Jeżeli przyjdzie pan, na pewno będzie pan mógł porozmawiać na ten temat. Czy mogę jednak w zamian o coś poprosić? Proszę nie przychodzić ze sceptycznym nastawieniem, tylko z otwartym umysłem. To znaczy w stosunku do siebie. Wydaje się pan spokojny i opanowany, ale z doświadczenia wiem, przez co pan przechodzi, jak łatwo jest łapać się brzytwy, kiedy ukochana osoba jest w niebezpieczeństwie. I niech pan nie popełnia błędu, pańska Kaitlin jest w niebezpieczeństwie.

- To wiem, pani Sadler.

- Można wiedzieć i wiedzieć. - Spojrzała przez ramię, chyba na zegar. - Powinnam się już przygotować, ale czy mogę mieć nadzieję, że się dzisiaj zobaczymy?

- Dziękuję.

- Chciałabym, aby pan znalazł coś pozytywnego, panie Warden, cokolwiek pan zrobi.

Ponownie jej podziękowałem.

Spotkanie odbyło się w salce kościoła prezbiteriańskiego w dzielnicy, która niegdyś była robotnicza, zanim kilka lat temu stoczyła się w całkowitą biedę. Regina Lee Sadler kroczyła dumnie po scenie w kwiecistej sukience i ze staromodnym, nie wymagającym trzymania mikrofonem, który podskakiwał jej przed twarzą. Wyglądała zarazem na mocniejszą i cięższą (o trzydzieści pięć kilo) niż w okienku wideo. Zastanawiałem się, czy Regina Lee była na tyle próżna, by zamontować program wyszczuplający w swoim interfejsie.

Nie przedstawiłem się, tylko przekradłem na tył sali. Przypominało to trochę spotkanie anonimowych alkoholików. Pięcioro nowych członków przedstawiło siebie i swoje problemy. Czwooro utraciło dzieci przez ruch kuinistyczny albo grupy hadżu w ciągu ostatniego miesiąca. Córka jednej kobiety zaginęła ponad rok temu, a matka chciała znaleźć miejsce, gdzie mogłaby się wyżalić - nie dlatego, że straciła nadzieję, podkreślała, ale była bardzo, bardzo zmęczona i myślała, że może dla odmiany uda jej się przespać noc, jeśli tylko będzie miała z kim porozmawiać. Spotkało się to z niemym, pełnym współczucia aplauzem.

Potem znowu wstała Regina Lee i przeczytała wydrukowany arkusz wiadomości: odnalezione dzieci, plotki na temat najnowszego ruchu kuinistycznego na zachodzie i południu, ciężarówka pełna nieletnich pielgrzymów przechwycona na meksykańskiej granicy. Sporządziłem notatki. W tym momencie spotkanie zrobiło się bardziej osobiste, uczestnicy podzielili się na grupy „robocze” dla omówienia „strategii radzenia sobie z problemami”, a ja po cichu się wymknąłem.

Pojechałbym prosto do motelu, gdyby nie kobieta siedząca z papierosem na schodach kościoła. Była mniej więcej w

moim wieku, twarz miała zatroskaną i zamyśloną, ale jednocześnie skoncentrowaną. Jej krótkie włosy połyskiwały w świetle latarni. Rzuciła mi spojrzenie podkrążonych oczu.

— Przepraszam - powiedziała automatycznie, gasząc papierosa.

Odparłem, że nic nie szkodzi. Zgodnie z niedawno wprowadzonym prawem nie można było kupować produktów tytoniowych, chyba że miało się orzeczenie nałogu i receptę, ale uznałem, że mam szerokie horyzonty.

- Miałeś dosyć? — zapytała, machnąwszy ręką w stronę kościelnych drzwi.

- Na razie - odparłem.

Skinęła głową.

- Regina Lee jest dobra dla wielu ludzi i Bóg jeden wie, że nie można jej powstrzymać. Ale ja nie potrzebuję tego, co ona daje. W każdym razie nie sędzę.

Przedstawiliśmy się sobie. Nazywała się Ashlee Mills, a jej syn miał na imię Adam. Miał prawie osiemnaście lat i był mocno zaangażowany w miejscowy ruch kuinistyczny. Nie było go od sześciu dni. Tak jak Kaitlin. Porównaliśmy notatki. Adam działał w młodzieżowej grupie Whita Delahunta, a także w kilku innych radykalnych organizacjach. Prawdopodobnie więc znali się.

- To zbieg okoliczności - powiedziała Ashlee.

Odparłem, że nie ma czegoś takiego.

Nadal rozmawialiśmy, kiedy spotkanie Reginy Lee zaczęło dobiegać końca. Zepchnięto nas z kościelnych schodów. Zaproponowałem jej kawę gdzieś w pobliżu — mieszkała w tej dzielnicy. Ashlee spojrzała na mnie z namysłem, szczerze i

niecو przerażająco. Uderzyło mnie w niej, że jest kobietą, która nie ma żadnych złudzeń co do mężczyzn.

-- Dobrze — powiedziała. — Obok apteki jest całonocna kawiarnia, to tuż za rogiem.

Poszliśmy tam.

Ashlee była zdecydowanie niezamożna. Jej spódnica i bluzka wyglądały, jakby kupiła je na wyprzedaży; były zadbane, ale bez wątpienia stare. Jednak nosiła je z wrodzoną godnością. W kawiarni odliczyła dolara, żeby zapłacić za swoją kawę; powiedziałem, aby sobie nie zawracała głowy, i przesunąłem kartę po ladzie. Ashlee znowu spojrzała na mnie przeciągle, po czym skinęła głową. Znaleźliśmy spokojny stolik w kącie, z dala od trajkoczących paneli wideo.

- Chcesz dowiedzieć się o moim synu - stwierdziła.

Skinąłem głową.

- Ale to nie kolejny warsztat Reginy Lee. Chcę się dowiedzieć, jak mogę pomóc córce.

- Nie mogę ci niczego obiecać, panie Warden.

- Wszyscy mi to mówią.

- Wszyscy mają rację, przykro mi to mówić. Przynajmniej tyle wiem z własnego doświadczenia.

Ashlee urodziła się i wychowała w Południowej Kalifornii. Przyjechała do Minneapolis, by pracować jako recepcjonistka w gabinecie lekarskim wujka, specjalisty chorób stóp, który zmarł tymczasem na tętniaka. W recepcji poznała Tuckera Kelloga, prostego programistę, i mając dwadzieścia lat, wyszła za niego. Tucker wyniósł się z domu, kiedy ich syn miał pięć lat. Od tamtej pory był nieosiągalny. Ashlee złożyła pozew rozwodowy i mogła żądać od niego alimentów, ale się rozmyśliła. Lepiej jej było w życiu bez Tuckera, opowiadała, nawet

gdyby był daleko. Wróciła do panieńskiego nazwiska dziesięć lat temu.

Kochała syna, ale Adam wystawiał ją na próbę.

- Tak między rodzicami, panie Warden, były momenty, kiedy rozpaczałam. Nawet gdy był mały, trudno było utrzymać go w szkole. Nikt nie lubi szkoły, tak mi się wydaje, ale było coś, co wszystkich nas skłaniało, żeby zjawiać się tam codziennie, poczucie obowiązku czy strach przed konsekwencjami, obojętnie. Adam tego nie czuł. Nie można go było nakłonić ani prośbą, ani groźbą.

Uczestniczył, a potem wylatywał z programów psychiatrycznych, z kursów zawodowych, szkół specjalnych. Kilka razy siedział nawet w poprawczaku. Nie, żeby Adamowi brakowało inteligencji.

- On ciągle czyta. Nie tylko opowiadania. I szczerze, trzeba sporo zdrowego rozsądku, żeby przetrwać w takich warunkach... na ulicy przez większość czasu. Adam jest naprawdę bardzo zdolny.

Kiedy Ashlee opowiadała o swoim synu, na jej twarzy malowały się duma, poczucie winy i oczekiwanie, czasami wszystkie trzy naraz. Strzelała oczyma na boki, jakby spodziewała się, że ktoś ją podsłuchuje. Bawiła się serwetką, składając ją i rozkładając, aż porwała ją na długie paski, które leżały na blacie niczym nieudane origami.

- Uciekł raz, jak miał dwanaście lat, ale to nie miało związku ze zdrajcami. Zupełnie nie mam pojęcia, co Adam widzi w tym Kuinie, poza niszczeniem miast i unieszczęśliwianiem ludzi. Ale to go fascynuje. To niemal przerażające, jak ogląda kanały informacyjne. - Pochyliła głowę. - Trudno mi to przyznać, ale Adamowi najbardziej podoba się to rozgniata-

nie rzeczy. Myślę, że stawia się na miejscu Kuina. Chce podnieść nogę i zmiążdżyć wszystko, czego nienawidzi. Mowa o nowym rządzie światowym to tylko przykrywka, moim zdaniem.

- Rozmawiał kiedyś z tobą o Kaitlin albo jej grupie?

Ashlee uśmiechnęła się smutno.

- To półtora pytania. Czy twoja Kaitlin kiedykolwiek rozmawiała z tobą o tym?

- Rozmawialiśmy. Ale nie, nigdy nie wspominała o polityce.

- Mimo to nadal jesteś o krok przede mną. Adam nigdy mi się nie zwierzył. Z niczego. Wszystkiego, co wiem o własnym synu, dowiedziałam się z obserwacji. Przepraszam, napiłabym się jeszcze kawy.

Pomyślałem, że tak naprawdę potrzebuje kolejnego papierosa. Zatrzymała się przy barze i poprosiła o podwójną podwójną, po czym zniknęła na chwilę w łazience. Gdy wyszła, wyglądała na spokojniejszą. Barman chyba wyczuł papierosa, kiedy odbierała kawę. Zmierzył ją wzrokiem i przewrócił oczyma.

Usiadła z powrotem z westchnieniem.

- Nie, Adam nigdy nie opowiadał mi o swoich spotkaniach. Ma siedemnaście lat, ale jak mówiłam, nie jest naiwny. Prowadzi swoje sprawy całkiem ostrożnie. Ale, wiesz, od czasu do czasu coś tam podsłuchałam. Wiedziałam, że wstąpił do jakiegoś tego klubu na przedmieściach, ale z początku wydawało się, że to dobrze. Był z ludźmi, którzy mieli jakieś pochodzenie. Perspektywy. Chyba gdzieś po głowie chodziła mi myśl, że się z kimś zaprzyjaźni i może to mu coś da, stworzy okazję, kiedy już te cholerne podróże w czasie się skończą,

przepraszam. Myślałam, że pozna jakąś dziewczynę albo że czyjś ojciec zaproponuje mu pracę.

Pomyślałem o żalostnej reakcji Janice: „Co miałam zrobić? Zamknąć ją w domu?” Janice najwyraźniej nie wyobrażała sobie własnej córki w towarzystwie jakiegoś tam Adama Millsa.

- Zmieniłam zdanie, kiedy weszłam w jedną z jego rozmów telefonicznych. Mówił o tych ludziach... chyba też o twojej Kait, przykro mi z tego powodu. Był po prostu pełen zawiści i pogardy. Mówił, że grupa to... - pochyliła głowę, zawstydzona - ...same „burżuazyjne dziewczice”.

Zauważyła moją reakcję. Ashlee uniosła głowę i nabrała zdecydowania.

- Kocham mojego syna, panie Warden. Nie mam złudzeń co do tego, kim jest... lub będzie Adam, chyba że się zmieni. Ma poważne, bardzo poważne problemy, ale to mój syn, a ja go kocham.

- Szanuję to - powiedziałem.
- Mam nadzieję.
- Oboje zaginęli. Tym się musimy teraz martwić.

Zmarszczyła brwi, może nie chciała, żebym mówił w jej imieniu. Ashlee przywykła do zajmowania się własnymi problemami na własny sposób; dlatego wymknęła się z zebrania Reginy Lee. Z drugiej strony ja też tak postąpiłem.

- Panie Warden, byłabym naprawdę poważnie wkurzona, gdyby próbował mnie pan poderwać - powiedziała.

- Nie o to w tym chodzi.

- Ponieważ chcę prosić pana o numer telefonu, abyśmy pozostali w kontakcie w sprawie Adama i Kaitlin. Nie mam żadnych konkretów, ale domyślam się, że ta ich grupa pcha się na jakąś nieprzemyślaną pielgrzymkę, Bóg jeden wie dokąd.

Prawdopodobnie więc są razem. Zatem my też powinniśmy się trzymać razem. Nie chcę tylko być źle zrozumiana.

Podąłem jej adres mojego przenośnego portalu, a ona mi swój domowy.

- W zasadzie są to dla ciebie same złe wieści - powiedziała, skończywszy kawę.

- Nie wszystkie - odparłem.

Wstała.

- Cóż, dobrze, że cię poznałam.

Odwróciła się i wyszła na ulicę. Patrzyłem, jak idzie przez zatoki blasku latarni do bramy tuż obok chińskiej restauracji, gdzie zaczęła niezdarnie szukać klucza. Mieszkanie nad restauracją. Wyobraziłem sobie wytartą kanapę, może kota. Różę w butelce po winie albo oprawiony plakat na ścianie. Niosącą się echem nieobecność jej syna.

Ramone Dudley, porucznik policji zajmujący się zaginionymi osobami w tej dzielnicy, zgodził się spotkać ze mną w swoim biurze następnego popołudnia. Spotkanie było krótkie. Dudley był najwyraźniej przepracowanym gliną od papierkowej roboty, który te same złe wiadomości przekazywał już zbyt wiele razy.

- Te dzieciaki - oznajmił (najwyraźniej jednorodna masa w pojęciu Dudleya: „te dzieciaki”) - nie mają przyszłości i wiedzą o tym. Problem polega na tym, że to prawda. Gospodarka jest do dupy, to żadna tajemnica. A co innego możemy im zaproponować? Wszystko, co wiedzą o przyszłości, to tylko Kuin, Kuin, Kuin. Pieprzony Kuin. Według fundamentalistów Kuin to Antychryst; możesz tylko się modlić i czekać na ekstazę. Waszyngton zaciąga poborowych na jakąś wojnę, której może nigdy nie stoczymy. A zdrajcy mówią, że może Kuin nie będzie

taki straszny, jeżeli grzecznie się pokłonimy. To nie jest prawdziwa wiązanka możliwości, jak się nad tym zastanowić. Poza tym wszystko to gówno, którego wysłuchują razem z muzyką albo uczą się na kodowanych czatach.

Najwyraźniej porucznik Dudley większość winy składał na moje pokolenie. W trakcie służby musiał poznać jakichś kiepskich rodziców. Ze sposobu, w jaki na mnie patrzył, wnioskowałem, że jego zdaniem jestem jednym z nich.

- Jeżeli chodzi o Kaitlin...

Poszukał teczek na swoim biurku i przeczytał mi jej zawartość. Nie było niespodzianek. Grupa ośmiorga młodych osób zaangażowanych w młodzieżowym skrzydle klubu Whitmana nie wróciła do domu z zebrania. Przyjaciół i rodziców zaginionych dzieci starannie przesłuchano...

- Z wyjątkiem pana, panie Warden, więc się pana spodziewałem.

- Whit Delahunt powiedział panu o mnie - zgadłem.

- Napomknął coś, kiedy go przesłuchiwałem, ale nie, niezupełnie. Dostałem telefon od emerytowanego funkcjonariusza FBI, Morrisa Torrance'a.

Szybka robota. Ale przecież Morris zawsze był pilny.

- Co powiedział?

- Prosił, abym współpracował z panem, jak to tylko możliwe. To wszystko, jeśli chodzi o mnie. Nie mam panu nic więcej do powiedzenia, chyba że ma pan jakieś konkretne pytania. Och, i prosił mnie jeszcze o jedno.

- Co takiego?

- Abym poprosił, żeby pan się z nim skontaktował. Mówił, że przykro mu z powodu Kaitlin i że jakoś postara się pomóc.

Może powinienem skorzystać z grupowej terapii Reginy Lee i przyznać się do strachu o Kaitlin - strachu i przecucia bólu, które osaczały świadomość, kiedy tylko zamknąłem oczy. Ale to nie było w moim stylu. Wcześniej nauczyłem się udawać spokój w obliczu tragedii. Aby zatrzymać niepokój przy sobie jak ohydny tajemnicę.

Jednak o Kaitlin myślałem nieustannie. W moich myślach nadal była tą Kaitlin z Chumphon, pięciolatką równie odważną, jak ciekawą. Dzieci stroją się we własną naturę niczym w kolorowe ubrania; dlatego są takie przezroczyście. Dorosłość to sztuka oszukiwania. Ponieważ znałem Kaitlin jako dziecko, nigdy nie zniknęło mi z oczu jej wrażliwe serce. Przez to myśl (albo unikanie myśli), gdzie teraz może być i z kim, była o tyle boleśniejsza. Najbardziej fundamentalnym instynktem rodzicielskim jest pragnienie wychowania i ochrony. Opłakiwać dziecko to przyznać się do całkowitej niezdolności. Nie możesz ochronić tego, co idzie do ziemi. Nie możesz poprawić kołderki wokół grobu.

Większości nocy nie przesypiałem. Gapiłem się przez okno motelowego pokoju i piłem na zmianę piwo oraz dietetyczną colę (i sikałem co pół godziny), aż sen ogarniał mnie niczym kleista fala. Sny były chaotyczne i bezużyteczne. Przebudzenie w brutalnej ironii wiosny, słońca na bezdennym błękitnie nieba, było jak przejście z jednego snu do drugiego.

Myślałem, że moja znajomość z Ashlee Mills ograniczy się do jednego spotkania, ale zadzwoniła do mnie na komórkę dziesiątego dnia po zniknięciu Kaitlin. Mówiła urzędowym tonem i szybko przeszła do sedna.

CHRONOLITY

- Umówiłam się z kimś - powiedziała. - Z człowiekiem, który może coś wiedzieć o Adamie i Kaitlin, ale nie chcę iść na to spotkanie sama.

- Jestem wolny dziś po południu - odparłem.

- On pracuje w nocy. Jeżeli to, co robi, można nazwać pracą. Nie jest to zbyt ładne.

- Kim jest, alfonsem?

- Uhm - przytaknęła. - Coś jakby dilerem narkotyków.

Przez większość minionego tygodnia surfowałem po Internecie. Szukałem zjawiska o nazwie „młodzież hadżowa” i gromadziłem informacje o ruchu kuinistycznym, wkopując się w ich ukryte czaty. Oczywiście nie istniał żaden zunifikowany ruch kuinistyczny. Przy braku Kuina z krwi i kości na „ruch” składała się mozaika utopijnych ideologii i quasi-religijnych kultów, a każdy z nich rościł sobie prawo do tytułu. Łączył je po prostu akt uwielbienia, czczenie chronolitów. Dla hadżystów każdy chronolit był święty. Fizycznej bliskości kamiennego Kuina przypisywali wszelkiego rodzaju zdolności - oświecenia, uzdrawiania, psychicznej przemiany, mniejszych i większych objawień. Jednak w przeciwieństwie do pielgrzymujących do Lourdes, na przykład, znakomita większość hadżystów była młoda. W dwudziestowiecznej terminologii był to „ruch młodzieżowy”. Jak większość takich ruchów, była to tak samo forma, jak i treść. Tylko nieliczni Amerykanie odbyli pielgrzymkę do chronolitu, ale nierzadko widywało się nastolatków z logo Kuina na czapce albo koszulce - najczęściej z wszędobylskim „K+” w czerwonym lub pomarańczowym kole. (Lub z którymś z bardziej subtelnych i rzekomo tajemnych znaków: pokaleczonymi sutkami lub płatkami uszu, srebrnymi bransoletkami na kostkach, białymi opaskami na głowie.)

Symbol K+ dominował w dzielnicy Ashlee, namalowany kredą lub farbą na ścianach i chodnikach. Zaparkowałem przed chińską restauracją o wyznaczonej godzinie, a Ashlee wybiegła z bramy i usiadła na fotelu dla pasażera.

- Dobrze, że masz tani samochód - powiedziała. - Nie będzie przyciągać uwagi.

- Dokąd jedziemy?

Podawała mi adres pięć przecznic dalej, gdzie przetrwały jedynie hurtownie, fastfoody i sklepy monopolowe.

- Facet nazywa się Cheever Cox - rozpoczęła bez żadnego wstępu — i prowadzi niemal każdą działalność, której nie można podać w zeznaniu podatkowym. Znam go, bo kupowałam u niego papierosy. - Powiedziała to celowo obojętnym tonem, ale spojrzała na mnie, szukając oznak oburzenia. - To znaczy, zanim dostałam świadectwo uzależnienia.

- Co on wie o Kait i Adamie?

- Może nic, ale kiedy zadzwoniłam do niego wczoraj, powiedział, że słyszał ostatnio o hadżu i zna jakieś nowe plotki o Kuinie. Tyle że nie chciał o tym mówić na niekodowanej linii. To taka paranoja Cheevera.

- Myślisz, że można mu wierzyć?

- Powiedzieć ci prawdę? Nie wiem.

Otworzyła okno i zapaliła papierosa, bez zahamowań, jakby czekała na moją reakcję. Minnesota miała najsurowsze w kraju prawo dotyczące tytoniu. Ale ja pochodziłem z innego stanu i byłem wystarczająco stary, żeby mnie to nie zszokowało.

- Ashlee? Rozważałaś kiedyś rzucenie?

- Och, proszę.

- Nie osądzam cię, próbuję tylko rozmawiać.

- Teraz specjalnie nie chce mi się o tym mówić. - Głośno wypuściła powietrze. - Panie Warden, przez ostatnie kilka lat niewiele mnie trzymało w kupie.

- Scott.

- W takim razie Scott. Nie chodzi o to, że jestem słaba. Ale... paliłeś kiedyś?

- Nie. — Oszczędzono mi szczepionek antyżuzywkowych, które podano tak wielu młodym ludziom (i ryzyka dolegliwości związanych z antycjalami w dorosłym wieku), ale papierosy po prostu nie były moim nałogiem.

- Prawdopodobnie to mnie zabija, ale nie mam nic innego. - Najwyraźniej usiłowała odnaleźć jakąś myśl, ale zrezygnowała. - Uspokajają mnie.

- Nie potępiam cię. W zasadzie zawsze podobał mi się zapach dymu tytoniowego. Przynajmniej z pewnej odległości.

Uśmiechnęła się oschle.

- Uhm. Jesteś prawdziwym degeneratem, tyle mogę o tobie powiedzieć.

- Tęsknisz za Kalifornią?

- Czy ja tęsknię za Kalifornią? - Przewróciła oczyma. - To ma być prawdziwa rozmowa czy może denerwujesz się spotkaniem z Cheeverem? Bo nie musisz. Jest trochę podejrzany, ale nie jest zły.

- To mnie uspokoiło - odparłem.

- Zobaczysz.

Pod wskazanym adresem stał rozpadający się bliźniak z drewna. Światło na ganku nie paliło się, prawdopodobnie już na stałe. Schody uginały się. Ashlee pchnęła zardzewiałą ramę z siatką na muchy i zastukała w drzwi. Cheever Cox otworzył,

kiedy się przedstawiła. Cox był łysy i miał około trzydziestu pięciu lat. Nosił lewisy i jasnoniebieską koszulę z czymś jak sos do krewetek ciekącym po kołnierzu.

- Cześć, Ashlee - wybełkotał, przytulając ją. Mnie rzucił krótkie spojrzenie.

Ashlee przedstawiła mnie.

- Chodzi nam o to, o czym rozmawialiśmy przez telefon - powiedziała.

W dużym pokoju znajdowały się wyblakła sofa, dwa drewniane, składane krzesła i ława z popielniczką. Dalej, za mrocznym przedpokojem dostrzegłem narożnik kuchni. Jeżeli Cox zarabiał dużo pieniędzy na nielegalnym handlu narkotykami, to z pewnością nie wydawał ich na wystrój wnętrza. Ale może miał domek na wsi.

Zauważył paczkę papierosów wystającą z kieszeni koszuli Ashlee.

- Kurczę, Ashlee - powiedział - ty też masz zezwolenie. Pieprzony rząd zabiera mi klientów tymi cipowatymi skrętami na receptę.

- Jeśli nie przyjmę plastrów albo terapii, w przyszłym roku zezwolenie mi się skończy. Gorzej, stracę ubezpieczenie zdrowotne.

Cox uśmiechnął się.

- To może będę cię częściej widywał.

- Nie ma szans. - Zerknęła na mnie. - Dam sobie wybielić zęby i znajdę dobrą pracę.

- Będiesz obywatelką - dodał Cox.

- Święta prawda.

- Wyjdiesz też za swojego narzeczonego?

- To nie jest mój narzeczonego.

- W porządku, Ash, przepraszam. Nie zwracaj na mnie uwagi. Chcesz coś? Trochę więcej, niż możesz dostać w aptece?

- Chcę ci zadać kilka pytań o Adama.
- Tak, ale na pewno chcesz czegoś więcej.

Cox sugerował, że nic nie powie, jeżeli Ashlee czegoś od niego nie kupi. Biznes to biznes, powiedział.

- Chodzi o mojego syna, Cheever.
- Wiem i kocham ciebie i Adama, ale zrozum, to biznes.

Zapłaciła mu więc za karton, jak to nazywała, „błędnych fajek”, który Cox przyniósł z piwnicy. Położyła papierosy na kolanach. Karton cuchnął. Cox usadowił się na krześle.

- Chodzi o to - zwrócił się do Ashlee - że często bywam w budynkach, w których koczują, szczególnie przy Franklin albo w Lowertown, także w starych magazynach na Cargill, więc widuję te dzieciaki. I wiesz, Adam trzymał się z nimi. Nie jest to dla mnie duży rynek, bo te dzieciaki zasadniczo nie mają kasy. Kradną żarcie ze sklepów. Ale od czasu do czasu ktoś trafi się forsa, nie pytam skąd, i chcą karton, dwa fajek, wódkę, jakąś chemię i tak dalej. Wiele razy to właśnie Adam do mnie przychodził, bo znałem go z czasów, kiedy robiłaś ze mną trochę bardziej regularne interesy.

Na to stwierdzenie Ashlee spuściła oczy, ale nic nie powiedziała.

- Poza tym, szczerze mówiąc, Adam ma więcej oleju w głowie niż inni. Nazywają się hadżystami albo kuinistami, ale o polityce wiedzą tyle co cegły. Wiesz, kto rzeczywiście jest hadżystą? Bogate dzieciaki. Bogate dzieciaki i znane osobistości. Jeżdżą do Izraela albo Egiptu, zapalają perfumowane świece i co tam jeszcze. W centrum jest inaczej. Większość tych dzie-

ciaków nie zrobiłaby nic dla Kuina, nawet gdyby urządził bal koronacyjny na ich podwórku. Cóż, Adam to zrozumiał. Dlatego kręcił się przy klubach zdrajców w Wayzata i w Edinie i szukał ludzi, którzy myślą tak jak on, może tylko trochę bardziej łatwowiernych i forsiastych niż motłoch ze śródmieścia.

- Cheever - wtrąciła Ashlee — wiesz, czy jest jeszcze w mieście?

- Nie mogę zdecydowanie powiedzieć „tak” lub „nie”, ale wątpię. Jeżeli jest, to go nie widziałem. Wiesz, rozmawiam z ludźmi, podążam śladami, trzymam ucho przy ziemi. Zawsze są jakieś plotki. Pamiętasz Kirkwell?

W zeszłym roku, latem, chory na paranoję emerytowany rzeźnik z Kirkwell w Nowym Meksyku obwieścił, że zmierzył rosnący poziom promieniowania przy wyschniętym potoku za miastem - zupełnie przypadkowo na własnej działce. Prawdopodobnie chciał zrobić z tego miejsca atrakcję turystyczną. Udało mu się. We wrześniu obozowało już tam dziesięć tysięcy młodych hadzystów. Gwardia Narodowa zrzuciła racje żywnościowe i wodę i namawiała pielgrzymów do powrotu do domu, ale dopiero epidemia cholery ostatecznie wyludniła działkę. Emerytowany rzeźnik natychmiast zniknął, zostawiając za sobą zbiorowe pozwiny o zakłócanie porządku publicznego.

- Takie plotki pojawiają się i znikają - mówił Cox -ale teraz naprawdę duża to Meksyk. Ciudad Portillo. Adam był tu trzy tygodnie temu i mówił o tym... nie, żeby ktoś go słuchał. Dlatego podłączył się pod zdrajców z przedmieścia, tak mi się wydaje. Chciał pojechać do Meksyku i myślał, że z tłumu da się wycisnąć choć trochę forsy, jakiś transport.

- Pojechał do Meksyku? - zapytała Ashlee.

Cox uniósł ręce.

- Tego nie mogę powiedzieć na pewno. Ale gdybym miał się zakładać, powiedziałbym, że ruszył w drogę ku granicy, jeśli jeszcze jej nie przekroczył.

Ashlee nic nie mówiła. Była zamyślona i blada, prawie zdruzgotana. Cox wydał z siebie odgłos współczucia.

- W tym kłopot - powiedział. - Głupi ludzie robią głupie rzeczy, ale Adam jest na tyle bystry, żeby zrobić coś naprawdę głupiego.

Porozmawialiśmy jeszcze trochę, ale diler powiedział wszystko, co miał do powiedzenia. W końcu Ashlee wstała i ruszyła do drzwi. Cox znowu ją przytulił.

- Przyjdź do mnie, jak skończy ci się zezwolenie.

W drodze powrotnej zapytałem ją, skąd wiedziała, że Adam zaginął.

- Co chcesz przez to powiedzieć? - odparła.

- Wygląda na to, że twój syn powiązany był z bezdomnymi. Jeżeli nie mieszkał w domu, to skąd wiesz, że zaginął?

Zatrzymaliśmy się przy krawężniku.

- Pokażę ci - powiedziała.

Otworzyła drzwi od ulicy i zaprowadziła mnie wąskimi schodami do mieszkania podobnego do innych mansardowych mieszkań. Duży pokój od ulicy, dwa małe od korytarza, kwadratowa kuchnia z oknem wychodzącym na tylną uliczkę. W środku było duszno; Ashlee powiedziała, że woli mieć okna zamknięte podczas strajku śmieciarzy. Ale było schludne i rozsądnie umeblowane. Był to dom kogoś z gustem i zdrowym rozsądkiem, choć bez większego kapitału.

- Za tymi drzwiami - oznajmiła - jest pokój Adama. Nie lubi, kiedy ktoś tam wchodzi, ale nie ma go, więc się nie sprzeciwi.

W pewnym sensie pierwszy kontakt z Adamem miałem, kiedy zerknąłem do jego pokoju. Spodziewałem się najgorszego: pornografii, graffiti, może strzelby ukrytej w koszu na pranie. Ale nie było nic takiego. Pokój był bardziej niż uporządkowany, lodowato schludny. Łóżko zostało pościelone. Szafa była otwarta i kilka pustych wieszaków sugerowało, że chłopak spakował się przed długą podróżą, ale to, co zostało, było uporządkowane. Półki stanowiły tymczasową konstrukcję z cegieł i desek, ale książki stały prosto, w porządku alfabetycznym, nie według autorów, lecz tytułów. Książki mogą wiele powiedzieć o ludziach, którzy je wybrali i przeczytali. Adam najwyraźniej skłaniał się ku bardziej technicznej literaturze - podręczniki elektroniczne, skrypty (w tym chemia organiczna i historia Ameryki), *Podstawy obliczeń*, plus przypadkowe biografie (Picasso, Lincoln, Mao Tse-tung), *Słynne procesy XX wieku*, *Jak naprawić prawie wszystko*, *Dziesięć kroków do bardziej wydajnego ogniwa paliwowego*. Książka z astronomii dla dzieci i przewodnik dla obserwatora załogowych satelitów na orbicie. *Lód i ogień*. *Nieopowiedziana historia tragedii w bazie księżycowej*. I oczywiście książki o Kuinie. Niektóre z nich to fundamentalne pozycje, w tym McNeila i Cassela *Oblężenie Azji*, ale większość to krzykliwe publikacje z marginesu o tytułach takich, jak *Koniec świata* i *Piąty jeździec*.

Nie było żadnych zdjęć ludzi, ale ściany pokrywały wycięte z magazynów zdjęcia najrozmaitszych chronolitów. (Na moment, co mnie zaniepokoiło, przypomniało mi się biuro Sue Chopry w Baltimore.)

- Czy wygląda na to, że nigdy nie wraca do domu? - zapytała Ashlee. — To jest baza Adama. Może nie spał tu co noc, ale z każdych dwudziestu czterech godzin spędzał tu przynajmniej osiem, dziesięć. Zawsze. - Zamknęła drzwi. - Dziwne - powiedziała. - Zawsze myślałam, że tworzę Adamowi dom. Ale to się nie sprawdziło. Urządził sobie własny. Przypadkiem w moim.

Przygotowała kawę i porozmawialiśmy jeszcze chwilę. Siedzieliśmy na kanapie Ashlee, z zewnątrz przez zamknięte, ale pojedyncze okna dochodziły odgłosy ruchu ulicznego. W tym momencie było coś głęboko uspokajającego - Ashlee krzątała się po kuchni, nieświadomie wygładzając sztywne włosy — coś nieomal instynktownie uspokajającego, cień domowego ogniska, który zgubiłem ponad dziesięć lat temu. Byłem jej za to wdzięczny.

Ale ta chwila nie mogła trwać wiecznie. Zapytała mnie o Kaitlin i powiedziałem jej co nieco (nie wszystko) o Chumphon i o tym, jak spędziłem ostatnie dziesięć lat. Była pod wrażeniem, że widziałem lądowanie w Jerozolimie, nie dlatego, że wielbiła w jakiś sposób Kuina, ale dlatego, że znaczyło to, iż poruszałem się, choćby peryferyjnie, wśród ludzi, których uważała za względnie bogatych i sławnych.

- Przynajmniej coś robiłeś — powiedziała. — A nie tylko kręciłeś się w miejscu.

Odparłem, że ona na pewno zrobiła coś więcej, niż tylko kręciła się w miejscu. Niełatwo samotnej kobiecie wychować dziecko podczas kryzysu ekonomicznego.

- Mówią, że kręcisz się w miejscu, kiedy nie ma tarcia - powiedziała. - I to chyba czuję w związku z Adamem. Chciałam mu pomóc, ale nie miałam o co się zaprzeć. - Umilkła, a potem

odwróciła się do mnie; na jej twarzy nie malowała się już ta niepewność. — A jeśli naprawdę pojechali do Meksyku... Adam, Kaitlin i cała ta ich grupa. Co wtedy zrobimy?

- Nie wiem - odparłem. - Muszę porozmawiać z pewnymi ludźmi.

- Pojechałbyś za Kaitlin aż do Portillo?

- Gdybym uznał, że mogę jej pomóc. Gdyby to coś dało.

- Ale nie jesteś pewien.

- Tak. Nie jestem.

Zadzwoiła moja komórka. Była nastawiona na odbieranie wiadomości, ale sprawdziłem na wyświetlaczu, kto dzwoni. Mogła to być Janice z informacją, że Kait wróciła do domu, że cała sprawa to głupie nieporozumienie. Albo Ramonę Dudley, chcący powiedzieć, że znaleziono ciało Kait.

Nie było to żadne z nich. Według tekstu na ekranie dzwoniła Sue Chopra. Wyśledziła adres mojego prywatnego terminalu (mimo że zmieniłem go po wyjeździe z Baltimore) i chciała, abym jak najszybciej oddzwonił.

- Powinienem odebrać na osobności — oświadczyłem Ashlee.

Odprowdziła mnie aż do samochodu. Wziąłem ją za rękę. Było późno i ulica opustoszała. Latarnie, staromodne rtęciówki, rzucały bursztynową poświatę na krótkie blond włosy Ashlee. Dłoń miała ciepłą.

- Jeżeli czegoś się dowiesz - odezwała się - musisz mi powiedzieć. Obiecuj.

Obiecałem.

- Zadzwoń do mnie, Scott.

Wiedziałem, że naprawdę chce, bym do niej zadzwonił. I wierzyłem, że wąpi, bym to zrobił.

- Po pierwsze - oznajmiła Sue, pochylając się do obiektywu tak, że jej twarz wypełniła okienko telefoniczne motelowego terminalu niczym krótkowzroczny księżyc - wiedz, że nie wściekałam się za to, jak wyjechałeś z miasta. Rozumiem, o co chodziło, i skoro postanowiłeś mi się nie zwierzać, to chyba muszę obwiniać siebie. Chociaż... nie wiem, dlaczego zawsze spodziewasz się po ludziach najgorszego. Przyszło ci do głowy, że może chcielibyśmy pomóc?

- Wiecie o Kait - powiedziałem.
- Tak, przyjrzelśmy się sytuacji.
- Rozmawialiście z policją.

- Wiem, że zrobisz to, co musisz, ale nie chcę, abyś się czuł jak uciekinier - dodała ze smutkiem. - Nadal chciałabym porozmawiać z tobą od czasu do czasu. Jeżeli o mnie chodzi, wciąż tu pracujesz. Ray radzi sobie z matematyczną robotą, a Morris bardzo stara się zrozumieć, co robimy, ale potrzebuję kogoś wystarczająco bystrego, kto uważa, ale nic nie wymyśla z góry. - Spuściła wzrok i rzuciła -A może to tylko wymówka. Może potrzebuję tylko kogoś, z kim mogłabym porozmawiać.

W ten sposób, poza innymi sprawami, przeproszała za wszystkie szturchańce z ostatnich kilku lat. Ja jednak nigdy nie winiłem za to Sue. Może to jej idee dotyczące turbulencji tau sprawiły, że stałem się bezbronny, ale postarała się zbudować mur między mną a machiną federalną. Ostatnio władze skierowały uwagę na co innego; Sue nadal chciała być moim przyjacielem.

- Strasznie mi przykro z powodu tego, co się stało z Kaitlin - dodała.

- Mogę ci tylko powiedzieć, że jeszcze nie wróciła do domu. Nie chcę się nad tym rozwodzić. Więc zabawiaj mnie. Plotkuj. Czy Ray ma dziewczynę? A ty?

- Scotty, piłeś?

- Tak, ale nie tyle, żeby usprawiedliwić to pytanie.

Uśmiechnęła się smutno.

- Dobrze. Ray nadal błądzi w ostępach. A ja... widuję się z kobietą, którą poznałam w barze. Jest słodka. Ma rude włosy, zbiera porcelanę dreздеńską i hoduje rybki tropikalne. Ale to nic poważnego.

Oczywiście, że nie. Prowadziła swoje romanse nieomal na odległość, obojętnie, oczekując rozczarowania. Prawdziwy romans miała z pracą i o niej wolała rozmawiać.

- Chodzi o to, Scotty, że nastąpił mały przełom. Teraz to obsesja wszystkich. W zasadzie to tajemnica, ale skoro po Internecie krążą plotki, mogę ci trochę opowiedzieć.

Powiedziała chyba więcej, niż powinna, ale większość informacji tylko przeleciała mi przez głowę. Sprowadzało się to do tego, że komuś w MIT udało się stworzyć cząstki negatywnego tau z próżni (która w rzeczywistości jest wrzącym kotłem dla tego, co fizycy nazywają cząstkami wirtualnymi) i utrzymać je na tyle długo, żeby zademonstrować efekt. To były hadrony - dosłownie - negatywnego trwania. Wyrywały dziury, jeśli tak wolisz, w przeszłości -około milisekundy przeszłości, nie ogromne dwadzieścia lat i trzy miesiące Kuina, ale zasadniczo zjawisko było takie samo.

- Byliśmy blisko - mówiła Sue - zrozumienia, co robi Kuin. A nawet Kuin mógł nie obmyślić wszystkich tych aspektów. Gdybyśmy mieli dość czasu, moglibyśmy stwo-

CHRONOLITY

rzyć całkowicie nowe technologie. Pomyśl, Scotty, podróże kosmiczne... są naprawdę możliwe!

- Czy to ma znaczenie?

- Ależ oczywiście! Mówimy o nowej erze w historii, kurwa, gatunku... Tak, to ma znaczenie!

- Sue, Kuin położył już rękę na połowie świata. Nie chciałbym zobaczyć, jak wyciąga łapę poza planetę.

- Ale to też jest klucz do tego. Jeżeli dowiemy się, jak działa chronolit, możemy mu przeszkodzić. Przy odpowiednim zastosowaniu będziemy mogli mu po prostu kazać odejść.

- I co przez to osiągniemy? - Przez ostatnie kilka dni podskoczył mi poziom cynizmu. - Nie sądzisz, że jest na to trochę za późno?

- Nie - odparła. — Pamiętaj, nie Kuina powinniśmy się bać. Nawet nie chronolitów. Scotty, sprzężenie zwrotne... oto klucz. Prawdziwy problem to postrzeganie Kuina jako niezwycięzonego, co opiera się na jego niepokonanych monumentach. Zniszcz jeden, a zniszczysz mit. Nagle przestanie być boską siłą, będzie kolejnym Hitlerem albo Stalinem.

A jednak, zasugerowałem, może być na to za późno.

- Nie, jeżeli obnażymy jego słabość.

- Potrafisz?

Zamilkła. Jej uśmiech drgnął na twarzy.

- No, może. Może wkrótce.

Ale nie dość szybko dla Kait, która prawdopodobnie była już w Meksyku, przesiąknięta własnym pojmowaniem niezwyciężoności i obietnic Kuina. Przypomniałem Sue, że mam sprawy do załatwienia.

- Przepraszam, jeżeli zatrzymałam cię, Scotty, ale naprawdę uważam, że musimy być w kontakcie - powiedziała.

CHRONOLITY

Ponieważ, oczywiście, nie porzuciła fałszywej jungowskiej myśli, że nasza przyszłość splata się... że Kuin, poza wszystkim innym, narzucił nam los.

- W każdym razie to jest prawdziwy powód, dla którego dzwonię - oświadczyła. - Powiedziałam komuś o twoim problemie. A on chce ci pomóc.

- Nie Morrisowi - zagadnąłem. - Lubię Morrisa, ale nawet on powie ci, że nie jest doświadczonym agentem operacyjnym.

- Nie, nie Morrisowi, chociaż on też chciałby pomóc. To ktoś z całkowicie odmiennym doświadczeniem.

Powinienem się domyślać. W końcu to Sue zajrzała głęboko w moją przeszłość, szczególnie w okres Chumphon. Ale mimo to byłem zaślepiony.

- Może go pamiętasz - powiedziała. - Nazywa się Hitch Paley.

W owym tygodniu - nim przyjechał Hitch, nim wydarzenia zaczęły się toczyć lawinowo - Ashlee spytała w środku rozmowy telefonicznej:

- Znasz *Opowieść wigilijną* Dickensa?

- Co z nią?

- Myślałam o Kuinie, chronolitach i tym wszystkim. U Dickensa Scrooge, kiedy przenosi się w przyszłość i widzi własny pogrzeb, mówi do ducha: „Czy to są cienie rzeczy, które muszą być, czy rzeczy, które mogą być?” Czy coś w tym rodzaju.

- Pamiętam - odparłem.

- Tak samo jest z chronolitami, Scott. One muszą być czy mogą być?

Powiedziałem jej, że nikt tego nie jest pewien, ale jeśli dobrze rozumiałem Sue, wydarzenia upamiętnione przez chronolity są koniecznością w takiej czy innej formie. Nie istniała jasna alternatywna przyszłość, w której powstrzymaliśmy podboje Kuina i zamieniliśmy chronolity w swobodnie unoszące się paradoksy. Kuin podbije Chumphon, Tajlandię, Wietnam, południowo-wschodnią Azję. Czas może być płynny, ale monumenty były niezmiennie i fundamentalne.

W takim razie dlaczego nie rozpaczać? Przypuszczam, że Sue odpowiedziałyby, że bitwa jeszcze nie jest skończona. Większość cywilizowanego świata nadal była wolna od chronolitów, co sugerowało, że podboje Kuina to stopniowy proces zdobyczy i odwrotów. Na północnoamerykańskiej ziemi nie było jeszcze chronolitu. Może nigdy nie będzie, jeżeli postąpimy słusznie. Cokolwiek to oznaczało.

Sue zasiała we mnie ideę „negatywnego sprzężenia zwrotnego”. Jeżeli to, co Kuin robił z chronolitami, było rodzajem pozytywnego sprzężenia - sygnał wzmocniony przez czas i ludzkie oczekiwania - wówczas rozwiązanie mogłoby być odwrotne. Chronolit, który pojawiłby się i został natychmiast zniszczony, rzuciłby cień wątpliwości na ten proces; chorobliwe wrażenie niezwykłości Kuina byłoby, jeśli nie zdruzgotane, to przynajmniej osłabione. Mógł osiąść połowę Ziemi, ale nie naszą połowę. Takie było przekonanie Sue Chopry. Miałem nadzieję, że się nie myli. Byłem gotów działać zgodnie z tym założeniem. Ale jeśli mam być szczery, nie mogę powiedzieć, że w to wierzyłem.

Proszę, proszę, to Hitch Paley. Wysiada na parkingu motelowym z poobijanego małego sony (który według wszelkiego prawdopodobieństwa winien być motocyklem). Umówili

śmy się na dziewiątą rano. Spóźnił się piętnaście minut. W pewnym sensie dziesięć lat. Nie zmienił się bardzo. Rozpoznałem go natychmiast, nawet z kilkunastu metrów, spod cienia kawiarnianej markizy. Byłem zachwycony i jednocześnie przestraszony. Miał brodę i zielonkawą skórzaną kurtkę. Trochę przytył, co tylko podkreślało jego szeroki nos, wysokie kości policzkowe i neandertalskie pochylenie czaszki.

Zauważył mnie; pokonał na krzywych nogach dzielącą nas słoneczną przestrzeń i wyciągnął wielką prawicę.

- Cześć, bracie, masz tę paczkę, którą miałeś dla mnie odebrać? - zapytał.

Wymamrotałem coś o przesyłce, a on uśmiechnął się i wałnął mnie w plecy.

- Pierdolić to, Scotty. Pogadamy o tym później.

Weszliśmy do kawiarni i zajęliśmy stolik.

Oczywiście Sue Chopra wiedziała o Hitchu. Wszystkie moje wysiłki w tej kwestii - aby nie wplątać go podczas badania wykrywaczem kłamstw na przykład - były niezdarne i daremne. Hitch był dla Sue jednym z tak zwanych pierwotnych obserwatorów i w jej podstawowym projekcie musiał się liczyć od samego początku. Głęboko wszedł w turbulencję tau, z pewnością równie głęboko jak ja.

Zakładałem, że Hitcha nie da się znaleźć, ale on prawdopodobnie pokręcił się jeszcze trochę w okolicach Chumphon, zanim zrozumiał, jakiej kontroli poddawano świadków - na tyle długo, że FBI namierzyło jego podpis internetowy lub nawet założyło mu nadajnik. W każdym razie znaleźli go.

Znaleźli go, a Sue zaproponowała mu wybór między natychmiastowym aresztowaniem a pracą. Hitch dokonał mądrego wyboru.

- Nie jest to w zasadzie praca biurowa - powiedział. - Dobra pensja, podróże, żadnych ograniczeń. Po zakończeniu prawdopodobnie czyste akta kryminalne, chociaż końca nigdzie nie widać. Najpierw posłali mnie do krajów nad Pacyfikiem na poszukiwanie plotek o Kuinie, nie żeby wyniknęło z tego coś konkretnego. Ale byłem zajęty, Scotty. Zwiedzałem miejsca lądowań w Ankarze i Istambule, tu i ówdzie robiłem coś nieoficjalnego, rozmawiałem z kuinistami... ostatnio rozmawiałem z naszymi. Zdrajcami i hadżystami.

- Jesteś szpiegiem?

Rzucił mi kwaśne spojrzenie.

- Taa, jestem szpiegiem. Piję martini i sporo gram w baskarata.

- Ale wiesz, co to hadż.

- Wiem o tym więcej niż większość ludzi. Byłem w tym. I zrobię wszystko, by pomóc ci odnaleźć Kait.

Oparłem się na krzesło i zastanowiłem, czy tego właściwie chcę. Czy to mądre.

- Wiesz - rzekł Hitch - kiedy myślę o Kait, nadal widzę ją taką jak w Chumphon. Jak biega wzdłuż fal w tym różowym opalaczu, w który Janice lubiła ją ubierać, i zostawia ślady stopek jak jakiś ptaszek, pięta i palce. Powinniśmy się nią opiekować, Scotty. - Powiedział „my”, żeby nie być niemiłym. Miał na myśli mnie.

Hitch nie bawił się we wspomnianie i nie tracił czasu. Szczegóły przekazał mu już Ramonę Dudley, a kiedy studiowaliśmy menu, dodałem to, czego sam się dowiedziałem, choć było tego niewiele.

CHRONOLITY

- Meksyk to dobry trop - powiedział. - Ale musimy dowiedzieć się więcej, zanim wyciągniemy jakiegokolwiek wnioski.

Zaproponował kolejną rozmowę z Whitem Delahuntem. Przystałem na to, pod warunkiem że nie będziemy bez potrzeby niepokoić Janice.

- Powinniśmy też porozmawiać z Ashlee Mills. Jeżeli jest w domu, możemy wpaść po nią w drodze do Whita.

- Nie jest dobrze - odparł Hitch — mieszać w to zbyt wiele osób.

- Ashlee jest w to tak samo zamieszana jak ja. W zasadzie była bardziej pomocna niż policja.

- Ręczysz za nią, Scotty?

- Tak.

- Dobra. - Przyjrzał mi się krytycznie. - Wygląda na to, że ostatnio nie jadłeś ani nie spałeś zbyt dużo.

- To widać?

- Może powinieneś zamówić stek i jajka.

- Nie jestem głodny.

- Stek i jajka, Scotty. Dla dobra Kait, powiedzmy.

Nie chciałem jeść, ale danie wyglądało dobrze, gdy kelnerka je przyniosła. Miałem zadziwiająco mało problemów z opróżnieniem talerza.

- Lepiej się czujesz? - zapytał Hitch.

- Czuję, że sztywnieją mi arterie.

- Gówno prawda. Potrzebujesz białka. Czeka nas praca, i to nie tylko dzisiaj.

- Naprawdę możemy ją odzyskać? - usłyszałem własny głos.

- Odzyskamy ją. Możesz na to liczyć.

Ashlee zdziwiła się, kiedy zobaczyła Hitcha Paleya, a potem rzuciła mi spojrzenie mówiące: „Masz takich przyjaciół?”

Było to uzasadnione. Hitch nadal wyglądał jak pod rządnym przestępca - mógł uchodzić za dilerę narkotyków *a la* Cheever Cox lub zwalistego mięśniaka, który odzyskuje długi. Naszkicowałem fragment naszej przeszłości i powtórzyłem część z tego, co powiedział mi Hitch. Ashlee pokiwała głową, ale najwyraźniej wciąż podejrzewała, że Hitch to ktoś więcej niż uszy Sue Chopry w podziemiu.

Wzięła mnie na bok.

- Może nam pomóc znaleźć Kait i Adama? - spytała. - Tylko tyle chcę wiedzieć.

- Chyba może.

- To jedźmy do tego Whitmana Delahunta.

Poprowadziłem. Tego popołudnia w powietrzu czuło się bryzę, chmury były rozwiane wysoko na niebie. Hitch milczał. Ashlee nuciła melodię, w której rozpoznałem starą piosenkę Lux Ebone, coś smutnego. Coś z czasów, kiedy jeszcze piosenki miały jakieś znaczenie, kiedy wszyscy znali te same. Wszystkie tegoroczne przeboje brzmiały dla mnie jak marsze: werble, cymbały, trąbki tonące we własnym echu. Ale uważam, że każde dziesięciolecie ma taką muzykę, na jaką zasługuje.

Hitch zauważył plamy od papierosów na palcach Ashlee.

- Jak chcesz, możesz zapalić - odezwał się. - Gównu mnie to obchodzi.

Dom, w którym mieszkali Janice i Whit, nie zestarzał się szczególnie ładnie, podobnie jak dzielnica, w której stał. Ale jedno i drugie nadal było dobrze ponad średnią krajową. Ludzi tutaj stać było na wywożenie śmieci, nawet podczas strajku

śmieciarzy. Trawniki były zielone. Gdzieś tam pokryte plamami rdzy roboty pełzły pośród żywopłotów niczym leniwe pancerniki. Kiedy zmrużyło się nieco oczy, wyglądało to tak, jakby ostatnie dziesięć lat w ogóle się nie zdarzyło.

Drzwi otworzył Whitman i skurczył się na mój widok. Ashlee i Hitch też mu się nie spodobali. Przywołał obojętną minę.

- Janice jest na górze, Scott - powiedział. - Chcesz, żebym ją zawołał?

- Chcemy zadać kilka pytań tobie - odparłem. - Janice nie musimy angażować.

Najwyraźniej nie miał ochoty nas zaprosić, ale nie chciał także omawiać polityki zdrajców przy przechodzących sąsiadach. Weszliśmy w chłodny cień domu. Przedstawiłem Hitcha i Ashlee, nie wyjaśniając, dlaczego ich tu sprowadziłem. Kiedy oddaliliśmy się od drzwi, inicjatywę przejął Hitch.

- Scotty opowiedział mi o klubie, do którego pan należy - zagadnął. - Teraz potrzebujemy listy pozostałych dorosłych członków.

- Przekazałem ją już policji.

- Tak, ale my też jej potrzebujemy.

- Nie macie prawa tego żądać.

- Owszem - potwierdził Hitch - a pan nie musi jej nam dawać, ale to pomoże odnaleźć Kaitlin.

- Wątpię. - Whit zwrócił się do mnie. - Żałuję, że nie porozmawiałem z policją na twój temat.

- Nie martw się - odparłem. - Sam z nimi rozmawiałem.

- Porozmawiasz z nimi jeszcze raz, jeśli będziesz się upierał przy...

- Przy czym? - przerwał mu Hitch - Przy ratowaniu twojej córki z bałaganu, w który wpadła?

Whit wyglądał, jakby miał ochotę tupnąć nogą.

- Pana nawet nie znam! Co ma pan wspólnego z Kaitlin?

Hitch nieznacznie się uśmiechnął.

- Kiedyś miała bliznę pod lewym kolaniem, bo przewróciła się na zbitą butelkę przed Haat Thai. Nadal ją ma, panie Delahunt?

Whit otworzył usta, by odpowiedzieć, ale ktoś mu przerwał.

- Tak.

Głos Janice. Dobiegał ze schodów. Słuchała rozmowy. Zeszła do nas królewska w swym smutku.

- Jest tam jeszcze. Ale prawie zniknęła. Cześć, Hitch.

Tym razem uśmiech Hitcha był szczery.

- Janice - powiedział.

- Pomagasz Scottowi szukać Kaitlin?

Przytaknął.

- To dobrze. Whit, mógłbyś dać im informacje, o które proszą?

- To absurdalne. Nie mogą tak sobie przyjść i stawiać takich żądań.

- Wyglądało to raczej na prośbę. Ale mogą pomóc Kait, a to ma znaczenie, prawda?

Whit przełknął protest. W głosie Janice kryła się wściekłość, stary i potężny gniew. Może Hitch i Ashlee tego nie słyszeli, ale ja tak. Whit też.

Potrwało to trochę, ale dał nam w dużej mierze czytelną, odręcznie sporządzoną listę nazwisk, adresów i numerów terminali.

- Tylko nie wpisujcie tu mojego nazwiska - mruknął.

Hitch mocno uściskał Janice, a ona jego. Nigdy nie przejmowała się specjalnie Hitchem Paleyem i prawdopodobnie miała rację, ale fakt, że tu był i szukał Kaitlin, musiał odkupić go w jej oczach. Kiedy wychodziliśmy, wzięła mnie za rękę.

- Dziękuję, Scott. I przepraszam za to, co powiedziałam kilka dni temu.

- Nie przepraszaj.

- Policja nadal twierdzi, że Kait jest w mieście. Ale jej tu nie ma, co?

- Prawdopodobnie nie.

- Boże, Scott, to takie... - Nie potrafiła znaleźć właściwego słowa. Przyłożyła dłoń do ust. - Uważaj - dodała. - To znaczy, znajdź ją... ale uważaj na siebie.

Obiecałem jej to.

Kiedy wyszliśmy z domu, odezwał się Hitch.

- Janice wie, że wyszła za dupka?
- Zaczyna podejrzewać - odparłem.

Pojechaliśmy do Ashlee zjeść obiad i opracować strategię. Pomogłem Ash w kuchni, podczas gdy Hitch wykonał kilka telefonów z przenośnego terminalu. Ashlee przygotowywała potrawę z ryżu i kurczaka, którą nazwała „bieda pilaw”; tasakiem z taniej stali starannie kroїła surowego kurczaka w kostkę. Zapytała, jak długo byłem żonaty z Janice.

- Jakieś pięć lat - odparłem. - Byliśmy bardzo młodzi.
- Więc już dawno się rozwiodłeś.
- Czasami nie wydaje się, że to tak dawno.
- Wyglądała mi na bardzo rozsądną osobę.
- Rozsądną, ale nie zawsze elastyczną. Z tym miała kłopoty.

CHRONOLITY

- Ma szczęście, że żyje w takich warunkach. Powinna to doceniać.

- Nie sądzę, aby teraz uważała się za szczęśliwą.

- Nie, nie chciałam...

- Rozumiem, Ashlee.

- Wtrącać się w nie swoje sprawy. - Odgarnęła włosy z oczu.

- Mogę pokroić marchew?

Doprawiła pilaw, starannie i rozsądnie. Jedzenie piekło się, a my wróciliśmy do pokoju. Hitch położył nogi w wielkich buciorach na ławę.

- Oto, co mamy - oznajmił. - To jest od Whitmana i z paru innych źródeł, w tym od tego gliniarza, Ramone'a Dudleya. Ten cały klub Delahunta ma dwudziestu ośmiu członków regularnie płacących składki, a dziesięciu z nich to kierownictwo firmy, w której Whit pracuje, więc może dobrze zrobił, wstępując do klubu ze względu na karierę. Dwudziestu ośmiu dorosłych, z których osiemnastu to kawalerowie albo bezdzietne małżeństwa. Dziesięciu członków ma dzieci w różnym wieku, ale tylko dziewięciu wprowadziło je do młodzieżówki. Wliczając dwóch krewnych, mamy dziesięcioro dzieci plus sześcioro z zewnątrz, jak Adam, który zgłosił się niezależnie. Rdzeń tej grupy stanowiła bardzo zaangażowana ósemka, wśród nich Kait i Adam. To właśnie oni zniknęli.

- Dobrze - powiedziałem.

- Załóżmy więc, że wyjechali z miasta. Łatwo zauważono by ich w samolocie albo autobusie, pod warunkiem że podróżują razem. Wątpię, aby dzieciaki z przedmieścia zgodziły się na autostop, zważywszy na liczbę wkurzonych dorosłych na drodze. Pozostaje więc prywatny transport.

I to chyba coś całkiem dużego. Można upchnąć osiem osób do landa, ale nie bez zwracania na siebie uwagi i wkurzania wszystkich.

- To wszystko opiera się na spekulacjach - zauważyłem.

- Racja, ale posłuchaj mnie chwilę. Jeżeli czymś jadą, to czym?

- Niektórzy z nich muszą mieć własne samochody - wtrąciła Ashlee.

- Tak jest. I Ramonę Dudley przyjrzał się temu. Czwooro z tej ósemki rzeczywiście ma pojazdy zarejestrowane na własne nazwisko, ale wszystkie one są na miejscu. Żaden z rodziców nie zgłosił kradzieży samochodu, a jeśli chodzi o kradzieże samochodów w mieście, odkąd dzieciaki uciekły, była to albo profesjonalna robota, albo tylko przejażdżka kończąca się rozbiem czy spaleniem wozu. Ukraść samochód nie jest już tak łatwo jak kiedyś. Nawet gdy obejdziesz osobiste zamki, każdy samochód złożony tu albo importowany w ciągu ostatnich dziesięciu lat rutynowo nadaje numer seryjny i współrzędne GPS. Ludzie używają tego do odnalezienia wozu na parkingu, ale to także znacznie utrudnia kradzież. Nowoczesny złodziej samochodowy to technik o umiejętnościach włamywacza, a nie dzieciak, który uciekł z liceum.

- Zatem nie użyli własnych samochodów i żadnego nie ukradli — stwierdziła Ashlee. — Wspaniale. Wobec tego nie pozostaje nic. Może nadal są w mieście.

- Tak właśnie myśli Ramonę Dudley, ale to nie ma sensu. Te dzieciaki są najwyraźniej na hadżu. Poprosiłem więc Dudleya, żeby raz jeszcze sprawdził te ich cztery samochody. I sprawdził.

- Och... I znalazł coś?

- Nie. Nic się nie zmieniło. Trzy z tych samochodów są dokładnie tam, gdzie je zaparkowano przed tygodniem. Tylko jeden ruszono, i to wyłącznie do przejazdów po zakupy w okolicy, nie więcej niż trzydzieści kilometrów na liczniku od zniknięcia. Dzieciak zostawił kluczyki matce.

- No to nie ruszyliśmy naprzód.

- Z wyjątkiem jednego. Tej matki, która jeździ samochodem dziecka na zakupy. Na liście Whita jest to Eleanor Helvig, licząca się członkini w ich klubie, razem z mężem Jeffreyem. Jeffrey jest młodszym wiceprezesem w Clarion Pharmaceuticals, kilka szczebli nad Whitem. Jeff zarabia teraz całkiem nieźle i mają trzy wozy zarejestrowane na rodzinę: jego, żony i dzieciaka. Poza tym to ładne bryczki. Dwa daimlery i używany edison dla Jeffa juniora.

- Więc?

- Więc dlaczego żona jeździ do sklepu edisonem, skoro jej daimler to wielki użytkowy wóz, który ma sporo miejsca z tyłu?

- Powody mogą być rozmaite - odparła Ashlee.

- Mogą... ale chyba powinniśmy ją o to spytać, nie sądzić?

Obiad był wyśmienity - tak powiedziałem Ashlee - ale nie mogliśmy zostać, by się nim rozsmakowywać. Ashlee postanowiła tkwić w domu, gdy ja i Hitch ruszymy do pracy, pod warunkiem że zadzwonimy do niej, kiedy tylko się czegoś dowiemy.

- Jeżeli chodzi o tę przesyłkę... - zagadnąłem w samochodzie.

- Racja, przesyłka. Zapomnij o tym, Scotty.

CHRONOLITY

- Nie zamierzam zapomnieć o starym długu. Wyłożyłeś dla mnie gotówkę, żebym mógł wyjechać z Tajlandii. Byłem tobie winien jedynie przysługę i nic nie zrobiłem.

- Tak, ale próbowałeś, racja?

- Poszedłem w to miejsce, gdzie mi kazałeś.

- Do Easy'ego? - Hitch uśmiechnął się w sposób, który kiedyś bardzo mnie niepokoił (i teraz też).

- Poszedłem do Easy'ego, ale...

- Przekazałeś moje nazwisko temu gościowi⁹

- Tak...

- Takiemu staremu, siwemu, jakby wysokiemu, koloru kawy?

- Wygląda na to, że to on. Ale nie było żadnej paczki, Hitch.

- Co, tak ci powiedział?

- Uhm.

- Powiedział ci to uprzejmie?

- Zdecydowanie nie.

- Trochę się zdenerwował, co?

- Właściwie sięgał po broń.

Hitch kiwał głową.

- Dobrze... to dobrze.

- Dobrze? - zdziwiłem się. - To ta paczka się spóźniła, czy co?

- Nie, Scotty. Nigdy nie było żadnej paczki.

- Tej, którą miałem odebrać dla ciebie...?

- Przepraszam. Nic takiego nie było.

- Ale pieniądze, które mi dałeś...

- Bez urazy, ale myślałem, że będziesz bezpieczniejszy w Minneapolis. Tkwiałeś tam na plaży, bez Janice i Kaitlin, zaczy-

nałeś tego pić, a Chumphon nie było dobrym miejscem dla pijanego Amerykanina, zwłaszcza że regularnie oskubywano dziennikarzy. Więc zlitowałem się nad tobą. Dałem ci pieniądze. Miałem trochę odłożonych, bo interes szedł dobrze. Uważałem, że nie przyjmiesz ich jako podarunku, a nie chciałem nazywać tego pożyczką, bo mógłbyś próbować mnie odnaleźć i spłacić ją jak dobry harcerz. Co, przyznaj, zrobiłbyś. Wymyśliłem więc tę „paczkę”.

- Wymyśliłeś?

- Przepraszam, Scotty. Wiedziałem, że pomyślisz, że to przemyt narkotyków czy coś w tym rodzaju, ale to odpowiadało też mojemu poczuciu humoru. Wiedziałem, że masz o sobie wysokie mniemanie, absolwencie college’u. Pomyślałem, że mały problem moralny może trochę urozmaicić ci życie.

- Nie — odparłem — to bzdury. Ten facet u Easy’ego poznał twoje nazwisko... a ty właśnie mi go opisałeś.

Słońce zachodziło i lampki na desce rozdzielczej zaczęły błyszczeć. Powietrze wpadające przez okno było chłodne i przyjemne. Hitch nie spieszył się z odpowiedzią.

- Opowiem ci coś, Scotty - odezwał się w końcu. - Kiedy byłem mały, mieszkałem w Roxbury z mamą i młodszą siostrą. Byliśmy biedni, ale to było w czasach, gdy zasiłek wystarczał na przeżycie, jeśli się uważało. Nie cierpiałem szczególnie, a przynajmniej nie znałem czegoś innego, więc cieszyłem się tym, co mam, i od czasu do czasu na boku trochę kradłem w sklepach. Ale mama była samotna i kiedy miałem szesnaście lat, ponownie wyszła za mąż za starego skurwiela nazwiskiem Easy G. Tobin. Easy prowadził punkt odbioru przesyłek, a na zapleczu sprzedawał kokę i metaamfetaminę. Muszę mu oddać, że nigdy jej nie uderzył... ani mnie czy siostry. Nie był po-

tworem. Interes narkotykowy trzymał z dala od domu. Ale był wstrętny. Mówił wstrętnie. Był na tyle bystry, że nigdy nie musiał podnosić głosu, potrafił cię ściąć kilkoma słowami, bo zawsze wiedział, czego nienawidzisz w sobie. Robił to mnie i mojej siostrze, ale my byliśmy w drugiej lidze. Głównie robił to mamie i kilka lat później, kiedy byłem gotów wynieść się z domu, miałem w pamięci więcej jej łez, niż mogłem znieść. Chciała się go pozbyć, ale nie wiedziała jak, a Easy miał na boku parę innych kobiet. Więc z kilkoma kumplami poszliśmy za nim do jednej z jego kobitek, weszliśmy do domu i daliśmy mu mały wycisk. Wiesz, nie pobiliśmy go do nieprzytomności, ale nastraszyliśmy, daliśmy parę kopów i kazaliśmy się wynosić od mojej mamy, bo inaczej oberwie gorzej. Odpowiedział, że jemu to pasuje, bo ma dosyć mnie i mojej siostry i - to jego słowa - wykorzystał mamę, a teraz i tak chciał odejść. Powiedziałem, że dobrze będzie, jak zaraz to zrobi, i że będę miał na niego oko. On na to: „W tydzień zapomnę, jak masz na imię, gówniarzu”, a ja dodałem, że od czasu do czasu będzie miał ode mnie wiadomość i że lepiej niech nie zapomina, bo ja jego nie zapomnę. Na tym skończyliśmy. Starłem się jednak przez parę lat, by rzeczywiście trafiał na moje imię, przynajmniej od czasu do czasu. Pocztówka, telefon, jakiś negatywny znak. Żeby miał się na baczności. Chyba mnie pamiętał, co, Scotty?

- Mógł mnie zabić.

- Taa, ale to raczej mało prawdopodobne. Poza tym była to bardzo przyzwoita wymiana. Chyba rozumiałeś, że musi się wiązać z pewnym niebezpieczeństwem.

- Niech to cholera - przekląłem cicho.

- I widzisz? Dzięki temu nie musisz mi dziękować.

Mieliśmy szczęście, że zastaliśmy panią Helvig samą. Otworzyła drzwi w domowym stroju, usztywniona, od-
kład tylko zobaczyła nas w świetle lampy na ganku. Powiedzie-
liśmy, że chodzi nam o jej syna Jeffa. Odparła, że rozmawiała
już z policją, a my nie wyglądamy jej na policjantów, więc chce
wiedzieć, kim jesteśmy i czego naprawdę chcemy?

Pokazałem jej dosyć legitymacji, by udowodnić, że jestem
ojcem Kaitlin. Znała Janice i Whita, chociaż niezbyt dobrze, a
Kait spotkała przy kilku okazjach. Kiedy dałem jej do zrozu-
mienia, że chcę rozmawiać o córce, uległa i zaprosiła nas do
środka, mimo że najwyraźniej nie była tym uszczęśliwiona.

Dom był nienagannie czysty. Eleanor Helvig lubiła koron-
kowe podstawki i pokrowce na meble. Pochłaniacz kurzu
szumiał w kącie salonu. Pani Helvig stanęła blisko panelu
ochrony, dzięki któremu za dotknięciem palca wysłałaby sy-
gnał alarmowy i obraz wideo na posterunek policji. Prawdo-
podobnie już byliśmy nagrywani. Nie bała się nas, pomyśla-
łem, ale była bardzo ostrożna.

- Wiem, przez co pan przechodzi, panie Warden — po-
wiedziała. - Sama przez to przechodzę. Rozumie pan
więc, dlaczego nie chcę znowu rozmawiać o zniknięciu Jeffa.

Broniła się przed oskarżeniem, którego jeszcze nikt nie
sformułował. Jej mąż był zdrajcą... prawdziwym wyznawcą,
zgodnie ze słowami Whita. Towarzyszyła mu na większości
zebrań. Prawdopodobnie powtarzała jego opinie, ale mogła
nie być co do nich głęboko i szczerze przekonana. Miałem na-
dzieję, że nie.

- Czy zaskoczyłoby to panią - rozpocząłem - gdy-
bym powiedział, że pani syn wraz z przyjaciółmi najwyraź-
niej udał się na hadź?

Zamrugła.

- To by mnie z pewnością obraziło. Używanie tego słowa w ten sposób znieważa wiarę muzułmańską, nie wspominając o wielu poważnych młodych ludziach.

- Poważnych młodych ludziach jak Jeff?

- Mam nadzieję, że Jeff jest poważny, ale nie będę przyjmować bezpodstawnych wyjaśnień tego, co mu się stało. Powiem panu szczerze, że sceptycznie odnoszę się do dochodzących ojców, którzy przypominają sobie o dzieciach w momencie kryzysu. Ale cóż, w takim właśnie społeczeństwie żyjemy, prawda? Ludzi, którzy traktują rodzicielstwo jako wymianę genów, a nie święty związek.

- Myśli pani, że Kuin to naprawi? - zagadnął Hitch.

Spojrzała na niego twardo.

- Myślę, że trudno byłoby mu to pogorszyć.

- Wie pani, co to takiego hadź?

- Powiedziałam już, że nie podoba mi się, kiedy to słowo...

- Ale wielu ludzi go używa. W tym sporo młodzieży o idealistycznych poglądach. Spotkałem jej trochę. Ma pani rację, żyjemy w ciężkich czasach, a dzieciom jest szczególnie ciężko. Widziałem je. Widziałem dzieciaki na hadźu zaszlachtowane na poboczu. Dzieci, pani Helvig, zgwałcone i zabite. Oni są młodzi i mają ideały, ale są też bardzo naiwni co do tego, czego trzeba, aby przetrwać poza przedmieściami Minneapolis.

Eleanor Helvig zbladła. (Ja chyba też.)

- Kim pan jest? - zapytała Hitcha.

- Przyjacielem Kaitlin. Spotkała pani w ogóle Kait, pani Helvig?

CHRONOLITY

- Przyszła do nas raz czy dwa, tak mi się wydaje...

- Jestem pewien, że Jeff to silny, młody mężczyzna, ale co z Kaitlin? Jak tam przeżyje, pani Helvig?

- Nie mam...

- Tam, na drodze, pośród tych wszystkich bezdomnych mężczyzn i żołnierzy. Bo jeśli te dzieci naprawdę pojechały na hadź, będą bezpieczniejsze w samochodzie. Nawet Jeff.

- Jeff umie się o siebie zatroszczyć - wyszeptała Eleanor Helvig.

- Nie chciałyby pani, aby podróżował autostopem, co?

- Oczywiście, że nie...

- Gdzie jest samochód pani męża?

- Pojechał nim do pracy. Jeszcze nie wrócił, ale...

- A samochód Jeffa?

- W garażu.

- A pani?

Zawahała się na tyle długo, aby potwierdzić podejrzenia Hitcha.

- W naprawie.

- W którym warsztacie?

Nie odpowiedziała.

- Nie musimy omawiać tego z policją — stwierdził Hitch.

- Jest bezpieczniejszy w samochodzie. Sam pan to powiedział.

Teraz mówiła szeptem.

- Z pewnością ma pani rację.

- Jeff nie mówił o... pielgrzymce, ale kiedy poprosił o samochód, chyba powinnam się domyślić. Jego ojciec zdecydował, że nie powinniśmy mówić o tym policji. To by jedynie

zrobiło z Jeffa przestępcę. Lub z nas, za współudział. On wróci. Na pewno.

- Mogłaby nam pani pomóc... - zaczął Hitch.

- Nie widzi pan, że wszystko stoi na głowie? Czy można obwiniać dzieci?

- Proszę nam dać pani prawo jazdy i sygnaturę GPS wozu.

Nie naprowadzimy na to policji.

Z roztargnieniem sięgnęła do torebki, lecz zawahała się.

- Jeżeli ich znajdziecie, będziecie mili dla Jeifa?

Obiecaliśmy, że będziemy.

Hitch rozmawiał z Morrisem Torrance'em, który śledził samochód aż do El Paso. Jednostka GPS znajdowała się w miejscowym punkcie skupu złomu, a sam wóz zniknął - prawdopodobnie został sprzedany albo oddany w zamian za bezpieczny przejazd przez granicę.

- Kierują się do Portillo - powiedział Hitch. - Prawie na pewno.

- To jedziemy tam - zdecydowałem.

Skinął głową.

- Morris załatwia lot. Musimy wyruszyć jak najszybciej.

Zastanowiłem się.

- To Portillo to nie tylko plotki, co? To znaczy ten chronolit?

- Nie - odpowiedział tępo. - To nie tylko plotki. Musimy szybko tam dotrzeć.

Przy wjeździe do Portillo zawrócili nas żołnierze. Powiedzieli, że w mieście już nie da się mieszkać, bo pełno tam Amerykanów kocujących jak psy na ulicach, hańba. Jakby na potwierdzenie tego gdy czekaliśmy, przepuścili konwój z pomocą Czerwonego Krzyża. Hitch nie kłócił się z żołnierzami, tylko

CHRONOLITY

pojechał kilka kilometrów dalej na południe popękaną i podziurawioną szosą. Twierdził, że do Portillo wiedzie inna droga, nie lepsza niż ścieżka dla kóz, ale przejezdna dla takiego pogruchotanego furgonu, jaki wypożyczyliśmy na lotnisku.

- Boczne drogi są teraz bezpieczniejsze - powiedział. - Dopóki się nie zatrzymamy.

Hitch zawsze wolał boczne drogi.

- Dlaczego tutaj? - zastanawiała się Ashlee, patrząc przez okno na pusty krajobraz Sonory: agawy, żółtą, sztywną trawę i gdzieniegdzie starające się przetrwać ranczo.

Recesja związana z Kuinem dawała się Meksykowi we znaki. Zniweczyła zdobycze administracji Gonsalveza i przywróciła władzę starymu, skorumpowanej Partido Revolucionario Institucional. Wiejska bieda osiągnęła poziom sprzed przełomu tysiącleci. Meksyk był jednocześnie najgęściej zaludnionym i najbardziej zanieczyszczonym oraz nękanym przestępczością miastem na kontynencie. Portillo - przeciwnie - było mniejszym miastem bez jakiegokolwiek strategicznego lub militarnego znaczenia, kolejną biedną, zostawioną samej sobie miejscowością.

- Najwięcej chronolitów jest poza centrami miast - powiedziałem do Ashlee. - Miejsca lądowania wydają się niemal przypadkowe, z wyjątkiem znaków w dużej skali, jak Bangkok czy Jerozolima. Nikt nie wie dlaczego. Może

łatwiej jest zbudować chronolit tam, gdzie jest więcej wolnego miejsca. A może mniejsze monumenty wzniesiono, nim miasta zajęli kuiniści.

Mieliśmy turystyczną lodówkę pełną butelek z wodą i kilka paczek prowiantu. Aż nadto. Sue Chopra, daleko w Baltimore, nadal korelowała dane od swojej nieoficjalnej siatki infor-

matorów z przekazami najnowszej generacji satelitów szpiegowskich. Wiadomości o Portillo nie zostały opublikowane. Urzędnicy bali się, że to jedynie przyciągnie więcej pielgrzymów. Ale mimo oficjalnej zasłony milczenia sprawę załatwiły plotki w Internecie.

Mieliśmy jedzenie i żywność na pięć dni, czyli aż za dużo, gdyż według szacunków Sue do lądowania pozostało niecałe pięćdziesiąt godzin.

„Ścieżka dla kóz” okazała się bruzdą w gęstych zaroślach, zwieńczoną nieskończonym turkusem nieba. Nadal byliśmy kilkanaście kilometrów od miasta, kiedy zobaczyliśmy pierwsze ciało. Ashlee nalegała, aby się zatrzymać, chociaż oczywiste było, że nic nie możemy zrobić. Chciała mieć pewność. To ciało, powiedziała, było wzrostu Adama. Jednak młody mężczyzna, ubrany w zabrudzoną, białą, zgrzebną koszulę i żółte kevlarowe spodnie, nie żył już od jakiegoś czasu. Buty, zegarek i terminal, a z pewnością także portfel, skradziono, ale nie sprawdzaliśmy tego. Czaszkę miał rozbitą jakimś tępym narzędziem. Ciało napęczniało w rozkładzie i najwyraźniej zważyło już drapieżniki, chociaż widoczne były tylko mrówki leniwie wędrujące po wysuszonym słońcem prawym ramieniu.

- Najprawdopodobniej czeka nas więcej takich widoków - powiedział Hitch, przenosząc wzrok z ciała na horyzont. - W tej części kraju jest więcej złodziei niż much, przynajmniej odkąd Partido Revolucionario Institucional unieważniła ostatnie wybory. Kilka tysięcy najwyraźniej łatwowiernych Amerykanów w jednym miejscu to magnes przyciągający wszystkich gnojzków z morderczymi skłonnościami na południe od Juarez, którzy są na dodatek zbyt wygłodniali, żeby mieć skrupuły.

Mógł powiedzieć to łagodniej, ale jaki by to miało sens? Dowód leżał na piaszczystym poboczu i cuchnął. Spojrzałem na Ashlee. Przyglądała się martwemu Amerykaninowi. Twarz jej pobladła, a w oczach płonął niepokój.

Ashlee upierała się, że chce jechać z nami, więc w końcu się zgodziłem. Mogłem wyciągnąć Kaitlin z tego bagna, ale nie miałem sposobu na Adama Millsa. Nawet gdyby udało mi się go odnaleźć, mówiła Ashlee, nie zdołałbym nakłonić go do rezygnacji z hadzu. Może nikt tego nie potrafił, nawet ona, ale musiała spróbować.

Oczywiście było to niebezpieczne, brutalnie niebezpieczne, ale Ashlee była zdeterminowana udać się w tę podróż, z nami czy bez nas. Rozumiałem, jak się czuje. Czasami sumienie stawia warunki, których nie można negocjować. Odwaga nie ma z tym nic wspólnego. Znaleźliśmy się tu nie dlatego, że byliśmy odważni. Znaleźliśmy się tu, bo musieliśmy tu być.

Jednak ten martwy Amerykanin demonstrował prawdę, której wolelibyśmy uniknąć. Prawdę, że nasze dzieci znalazły się w miejscu, gdzie dochodziło do takich rzeczy. Że równie dobrze przy drodze mógł leżeć Adam albo Kaitlin. Że nie każde dziecko znajdujące się w niebezpieczeństwie można uratować.

Hitch usiadł za kierownicą vana. Ja zasiadłem z tyłu, razem z Ash. Położyła mi głowę na ramieniu, okazując zmęczenie po raz pierwszy, odkąd wyjechaliśmy ze Stanów. Pojawiło się więcej dowodów na to, że nie byliśmy jedynymi Amerykanami, którzy wybrali tę trasę do Portillo. Minęliśmy sedana, który wjechał na skarpę i złamał oś, po czym został porzucony. Zżarty przez rdzę edison z tablicami z Oregonu przemknął obok nas nieobliczalnie, wzbijając w popołudniowe powietrze tumany zasadowego pyłu. W końcu

wspięliśmy się na wzgórze i przed nami rozpostarło się Portillo. Przy trasach dojazdowych wyrosły kopulaste namioty przypominające owadzie jaja, a główną drogę okalały garaże z gliny, sterty śmieci wyprodukowane przez hadź, bieda domy i niemal nieprzejezdny labirynt amerykańskich samochodów. Samo miasto, przynajmniej z tej odległości, było smugą kolonialnej architektury ograniczonej z obu końców motelami i stacjami obsługi. Wszystko to, z braku innych możliwości, należało teraz do kuinistów. Młodzież hadźowa wszelkiej maści zebrała się tutaj, w większości z niewystarczającymi zapasami i umiejętnościami przetrwania. Jak mówił Hitch, mieszkańcy z reguły opuścili domy i wyjechali. Zostali chorzy lub starzy, złodzieje albo sprzedawcy wody, oportuniści lub zmuszeni do służby urzędnicy. Poza namiotami międzynarodowych organizacji humanitarnych było bardzo mało żywności. Wojsko przy blokadach zawracało straganiarzy w nadziei, że głód rozgoni pielgrzymów.

Ashlee spoglądała na tę pokrytą pyłem mekkę z jawną rozpaczą.

- Nawet jeżeli tu są - odezwała się - jak ich znajdziemy?
- Pozwolicie, że pochodzę trochę - odparł Hitch. Oto jak.

Ale najpierw musimy się jeszcze zbliżyć.

Pojechaliśmy skalistym gruntem do spękanego asfaltu. Odór hadźu wtargnął przez okna z subtelnością zaciśniętej pięści, a Ashlee zapaliła papierosa, głównie po to, aby go stłumić.

Hitch zaparkował za na wpół spaloną rudera, niecały kilometr od miasta. Van, zamaskowany kępą uschniętych jakarand i klatkami na kury oblepionymi kurzem łajnem, był niewidoczny z głównej drogi. Hitch kupił broń, kiedy przekroczy-

liśmy granicę, i nalegał, że pokaże Ashlee i mnie, jak z niej korzystać. Nie, żebyśmy się opierali. Nigdy w życiu nie strzelałem - wychowałem się w dekadzie, kiedy wstydzono się broni, i nauczyłem się cywilizowanej niechęci do pistoletów - ale Hitch dał mi pistolet z pełnym magazynkiem i upewnił się, że wiem, jak go odbezpieczyć i jak trzymać, bym nie złamał sobie nadgarstka przy strzelaniu.

Ja i Ashlee mieliśmy zostać przy furgonie i pilnować prowiantu, wody oraz środka transportu, podczas gdy Hitch uda się do Portillo, aby odnaleźć hadźzową grupę Adama i zainicjować spotkanie. Ashlee chciała iść prosto do miasta - a ja rozumiałem tę potrzebę - ale Hitch był nieugięty. Van był naszym głównym dobrem i trzeba go było bronić; bez pojazdu nie pomogliśmy ani Kaitlin, ani Adamowi.

Hitch wziął własną broń i ruszył do miasta. Patrzyłem, jak znika w mroku. Potem zamknąłem drzwi i przyłączyłem się do Ashlee na przednim siedzeniu, gdzie przygotowała nam posiłek z batonów, jabłek i letniej kawy z termosu. Jedliśmy w milczeniu, a niebo ciemniało coraz bardziej. Pojawiły się gwiazdy, jasne i wyraźne pomimo mgiełki papierosowego dymu i zakurzonej szyby.

Ashlee oparła o mnie głowę. Żadne z nas nie kąpało się, odkąd wjechaliśmy do tego kraju, i fakt ten stawał się podejrzanie oczywisty, ale nie miało to znaczenia. Znaczenie miały ciepło i kontakt.

- Będziemy musieli spać na zmianę.
- Myślisz, że tak tu niebezpiecznie?
- Tak.
- Chyba nie będę mogła zasnąć.

Ale mówiąc to, stłumiła ziewnięcie.

- Przejdź do tyłu - powiedziałem. - Przykryj się kocem i zamknij na chwilę oczy.

Skinęła głową i rozciągnęła się na jednym z tylnych siedzeń. Ja siedziałem za kierownicą, z pistoletem przy boku, czując się bezsensownie, samotnie i głupio, podczas gdy ciepło dnia uciekało. Nawet z tej odległości słychać było nocne odgłosy Portillo. W zasadzie był to jeden odgłos, jednostajny szum ludzkich głosów, mechanicznej muzyki, trzaskających ognisk, śmiechu, krzyków. Przyszło mi do głowy, że to jest właśnie milenijne szaleństwo, którego uniknęliśmy na przełomie wieków; setki hadzystów korzystało z moralnej *carte blanche* gwarantowanego końca świata. Odkupiciel czy niszczyciel, Kuin miał jutro i pojutrze, wszystkie jutra, przynajmniej w umysłach tych ludzi. I przynajmniej przy tej okazji nie będą oni rozczarowani: chronolit zjawi się tak, jak zapowiadano, Kuin zostawi swój ślad na północnoamerykańskiej ziemi. Prawdopodobnie sporo tych hadzystów zginie na skutek wstrząsu cieplnego albo fali uderzeniowej, ale jeśli o tym wiedzieli, a najpewniej tak, nic ich to nie obchodziło. W końcu była to loteria. Wielkie nagrody, poważne ryzyko. Kuin wynagrodzi wiernych... lub przynajmniej tych z nich, którzy przeżyją.

Zastanawiałem się, w ile z tego szaleństwa uwierzyła Kait. Kaitlin miała bogatą wyobraźnię i zawsze była samotnym dzieckiem. Wyobraźnia i naiwność: niezbyt dobre połączenie, nie na tym świecie. Czy Kait naprawdę wierzyła w Kuina? W jakąś wersję Kuina opartą na własnych tęsknotach i niepewności? Czy może była to tylko przygoda, melodramatyczny skok z domowego klasztoru Whitmana Delahunta?

Problem polegał na tym, że mógł jej nie ucieszyć mój widok. Ale zabiorę ją z tego koszmarnego miejsca, nawet gdybym musiał zrobić to siłą. Nie mogłem zmusić Kaitlin, by mnie kochała, ale mogłem uratować jej życie. A to, jak na razie, powinno wystarczyć.

Noc ciągnęła się. Ryk z Portillo unosił się i opadał w nie dającym się określić, przypadkowym rytmie niczym fale na brzegu. Świerszcz, ukryty w dzikiej szafwii na wschód od vana, do tej kakofonii dodawał własny, wyraźny głos. Wypiłem więcej kawy i wysiadłem na moment, żeby sobie ulżyć, i przeszedłem ponad zardzewiałą ośią i wałem napędowym, które wystawały z chwastów niczym potrzask na zwierzyńcu. Ashlee poruszyła się i zamruczała coś przez sen, kiedy ponownie zamknąłem drzwi.

Na drodze był mały ruch, głównie hadżyści na szalonych przejażdżkach, wrzeszczący z okien samochodów. Nikt nas nie zauważył, nikt się nie zatrzymał. Zaczynałem przysypiać, kiedy Ashlee poklepała mnie w ramię. Zegar na desce rozdzielczej wskazywał 2.30.

- Moja kolej - powiedziała.

Nie spierałem się. Pokazałem jej, gdzie zostawiłem pistolet, i rozciągnąłem się na tylnym siedzeniu. Koc był ciepły od jej ciała. Zasnąłem, gdy tylko zamknąłem oczy.

- Scott? - Potrząsnęła mną lekko, ale zdecydowanie. - Scott!

Usiadłem. Ashlee pochylała się nade mną z siedzenia kierowcy, szarpiąc mnie za ramię.

- Na zewnątrz są jacyś ludzie. Słuchaj!

Odwróciła się do przodu i skuliła, chowając głowę. Ciemność nie była absolutna. Wszedł półksiężyc. Przez chwilę

panowała całkowita cisza. Potem, niezbyt daleko, rozległ się jęk kobiety, a po nim stłumiony śmiech.

- Ashlee... - odezwałem się.

- Przyjechali jakąś minutę temu. Samochodem, drogą. Zatrzymali się i było trochę... wrzasków. A potem... w zasadzie nic nie widziałam, zanim nie odwróciłam bocznej lusterka, chociaż i wtedy drzewo mi przeszkadzało. Ale wygląda na to, że ktoś wypadł z samochodu i pobiegł na pole. Chyba kobieta. A dwóch mężczyzn za nią.

Zastanowiłem się nad tym.

- Która godzina?

- Zaraz będzie czwarta.

- Daj mi pistolet, Ash.

Podawała go niechętnie.

- Co powinniśmy zrobić?

- Co zrobimy...? Wezmę pistolet i wysiądę z vana. Kiedy dam znak, włączysz długie światła i uruchomisz silnik. Będę się starał pozostawać na widoku.

- A jak coś ci się stanie?

- Wtedy zwiewaj stąd, jak możesz najszybciej. Jeżeli coś mi się stanie, będzie to znaczyło, że mają pistolet. Nie zwlekaj, Ash, dobra?

- A dokąd miałabym uciekać?

To było rozsądne pytanie. Do Portillo? Z powrotem do obozu pomocy międzynarodowej, do blokady na drodze? Nie wiedziałem, co jej powiedzieć.

Wtedy jednak kobieta na polu znowu krzyknęła, a ja nie mogłem opędzić się od myśli, że to może być Kaitlin. To nie był jej głos. Jednak nie słyszałem krzyku Kait, odkąd była berbeciem.

Powiedziałem Ashlee, że będę ostrożny, ale jeżeli cokolwiek się zdarzy, najważniejsze, żeby uciekała moźr niech ukryje vana bliżej miasta i patrzy, czy Hitch nie wraca.

Wysiadłem i zamknąłem za sobą drzwi. Kiedy znalazłem się kilka metrów od samochodu, dałem znać Ashlee, aby włączyła reflektory. Długie światła uderzyły w gwiaździstą noc niczym wojskowe szperacze, a w ciszy silnik zaryczał gardłowo jak dzikie zwierzę. Kobieta i dwaj napastnicy zamarli, oświetleni, zaledwie dziesięć metrów ode mnie.

Wszyscy troje byli młodzi, może w wieku Adama. Mężczyźni siłą zmuszali dziewczynę do stosunku. Leżała na plecach w zaroślach podczas gdy jeden z mężczyzn przygniatał jej ramiona, a drugi rozkładał nogi. Dziewczyna odwróciła twarz od światła, tymczasem gwałciciele podnieśli głowy jak priowe psy wyczuwające drapieźnika. Najwyraźniej nie byli uzbrojeni, co wraz z ciężarem pistoletu w dłoni przyprawiło mnie o lekki zawrót głowy.

Uniosłem broń w kierunku oniemiałych twarzy. Chciałem im rozkazać, by zostawili dziewczynę - taki był plan -ale byłem zdenerwowany i palec drgnął mi na spuście. Pistolet wypalił niespodziewanie. Niemal go upuściłem. Nie wiem, gdzie poleciała kula... nikogo nie trafiła. Ale przestraszyło ich to. Nadal byłem na wpół oślepiiony błyskiem z lufy, ale ruszyłem za niedoszłymi gwałcicielami, którzy zbiegli do samochodu. Zastanawiałem się, czy strzelić ponownie, ale bałem się, że i tak to zrobię, bez względu na to, czy chciałem tego czy nie. (Hitch wyjaśnił mi później, że broń została zmodyfikowana, tak aby opór spustu był jak najmniejszy, i prawdopodobnie wykorzystywano ją do celów przestępczych, zanim ją kupiliśmy.)

Dwaj mężczyźni wskoczyli do swojego samochodu z zaskakującą oszczędnością ruchów. Gdyby mieli w wozie broń, miałbym kłopoty - przyszło mi to do głowy niestety za późno - ale nawet jeśli mieli, nie użyli jej. Samochód ożył i z rykiem, przyskając żwirem na kurniki, ruszył w stronę miasta. Pozostała zatem tylko dziewczyna. Odwróciłem się do niej, pamiętając, aby tym razem trzymać lufę skierowaną ku ziemi. Prawy nadgarstek bolał mnie od niespodziewanego szarpnięcia.

Dziewczyna stała w świetle reflektorów i zapinała podarte lewisy. Spojrzała na mnie, ale nie mogłem zgłębić wyrazu jej twarzy - głównie strach i chyba, po części, wstyd. Była młoda. Twarz miała brudną i zapłakaną. Była tak szczupła, że wyglądała prawie jak anorektyczka, a na lewej piersi miała długą, zakrzepniętą ranę.

Odchrząknąłem.

- Pojechali... jesteś już bezpieczna.

Może nie mówiła po angielsku. Albo, co bardziej prawdopodobne, nie wierzyła mi. Odwróciła się i pobiegła w wysokie zarośla rosnące wzdłuż drogi, zupełnie jak spłoszone zwierzę. Zrobiłem kilka kroków, ale nie poszedłem za nią. Noc była zbyt ciemna i nie chciałem zostawiać Ashlee. Miałem nadzieję, że dziewczyna będzie bezpieczna, chociaż wydawało się to niemożliwe.

Po tym wszystkim nie było mowy o śnie. Przyłączyłem się do Ashlee i siedzieliśmy razem, czujni i napompowani adrenaliną. Ash włożyła papierosa do ust i zapaliła gazową zapalniczką. Nie rozmawialiśmy o napadzie, którego byliśmy świadkami, ale niedługo potem, kiedy na wschodzie niebo nabrało lekkiego błękitu, Ashlee odezwała się.

- Nie wolno ci pytać. To znaczy, Kaitlin.

- O co?

Ale to było głupie pytanie.

- Prawdopodobnie nie potrzebujesz tej rady. Nie chodzi o to, że jestem wzorową matką czy coś w tym rodzaju. Ale jak odnajdziesz Kaitlin, nie przesłuchuj jej. Może będzie mówić, a może nie, ale niech sama podejmie tę decyzję.

- Jeśli potrzebuje pomocy...

- Jak będzie jej potrzebować, to sama poprosi.

Zostawiłem ten temat. Nie chciałem spekulować o tym, co mogło lub nie mogło przytrafić się Kait. Ashlee powiedziała to, co chciała powiedzieć, i odwróciła się do okna, a ja zostałem sam z pytaniem, co skłoniło ją do udzielenia mi takiej rady, co sama musiała kiedyś znosić, a o czym nie chciała mówić.

Zdrzemnęliśmy się, kiedy słońce zaczęło ogrzewać świat. Hitch zastukał w okno trochę później, wrywając nas ze snu. Ashlee sięgnęła po pistolet, ale chwyciłem ją za nadgarstek. Otworzyłem okno.

- Imponująca straż — powiedział Hitch. — Mogłem was zabić.

- Znalazłeś ich? - zapytałem.

- Kaitlin tu jest. Adam też. Zechcecie może mnie nakarmić? Czeka nas sporo pracy.

Do Portillo wjechaliśmy powoli, pełnąc wśród pieszych, jednopasmową alejką między zaparkowanymi lub porzuconymi pojazdami hadzystów. Przed świtem główna droga była zatłoczona jak na paradzie karnawałowej i taką też przypominała, chociaż tłumy wyciszyły się po nocnym szaleństwie. Pielgrzymi chodzili bez celu, jak we śnie, albo spali pod postrzępionymi markizami, bezpieczniejsi w świetle dnia niż w

ciemnościach. Sprzedawcy wody przemierzali tłum z pięciolitrowymi plastikowymi dzbanami przerzuconymi przez ramię. Na piętrach z okien budynków zwisały kuinistyczne flagi i symbole. Miejscowe urządzenia sanitarne były oblegane, a okropny odór latryn przenikał wszystko. Większość tych ludzi przybyła w ostatnich trzech dniach, ale w namiotach międzynarodowych organizacji pomocy, jak mówił Hitch, już pojawiły się przypadki dyzenterii.

Adam ze swoim towarzystwem obozował na zachód od głównego tłumu. W nocy Hitch krótko z nim rozmawiał; z Kait nie, chociaż potwierdził jej obecność. Chłopak zgodził się na rozmowę z Ashlee, ale niechętnie przystał na to, by Kait zobaczyła się ze mną. Najwyraźniej mówił w imieniu innych, na co Ashlee zwiesiła głowę i wymruczała coś do siebie.

Na miejscu byli też przedstawiciele prasy, przynajmniej wokół Portillo. Jeździli kuloodpornymi ciężarówkami wyposażonymi w łączność satelitarną i polaryzowane okna. Miałem co do tego mieszane uczucia. W interpretacji chronolitów i metaprzypadkowości, której autorką była Sue, prasa działała jako ważny wzmacniacz w pętli sprzężenia zwrotnego. To właśnie globalnie emitowany obraz tych obiektów służył wypalaniu w zbiorowej wyobraźni wrażenia niezwykłości Kuina. Jednak jaka była alternatywa? Represje, odrzucenie? Na tym polegał geniusz monumentów. Były groteskowo oczywiste, nie sposób było je zignorować.

- Jak tam dotrzemy - powiedział - ja będę mówił i zobaczymy, co się stanie.
- Plan niespecjalny - zauważyłem.
- Tylko taki mamy.

Zaparkowaliśmy jak najbliżej skupiska namiotów, gdzie obozowali Adam i jego przyjaciele, obok dziesiątków innych. Namioty były niemal krzykliwie tandetne na tym suchym terenie — niebieskie, czerwone i żółte nylonowe grzyby wystające z ubitej ziemi parkingu przed kamieniołomem. Ashlee zaczęła niespokojnie wyciągać szyję, szukając Adama. Po Kaitlin nie było ani śladu.

- Zostańcie tutaj — polecił Hitch. - Podejmę negocjacje.
- Negocjacje? - zdziwiła się Ash, nieco oburzona.

Hitch spojrzał na nią ostrzegawczo i zamknął za sobą drzwi. Przeszedł kilka kroków do ośmiokątnego zadaszania ze światłoczułej, srebrnej błony poliestrowej i zawołał coś niewyraźnie. Po chwili błona rozchyliła się i wyszedł Adam Mills. Poznałem, że to Adam, po sposobie, w jaki Ashlee wciągnęła powietrze.

Miał na sobie khaki pokryte skorupą pyłu, ale zasadniczo wyglądał zdrowo. Był szczupły i wysoki, prawie tak wysoki jak Paley. Z ramion zwisał mu plecak. Nawet nie spojrzał na naszego vana, tylko czekał, aż Hitch powie, co ma do powiedzenia. Z tej odległości nie widziałem dokładnie jego twarzy, ale najwyraźniej był rozluźniony, nie bał się.

Ashlee sięgnęła do drzwi, ale odciągnąłem jej rękę.

- Daj im chwilę.

Hitch mówił. Adam mówił. W końcu Paley wyciągnął zwitek banknotów z tylnej kieszeni i odliczył je na dłoń Adama.

- Co to, łapówka? Przekupuje Adama? - spytała Ashlee.
- Odparłem, że tak to wygląda.
- Po co? Żebyś mógł zobaczyć Kait? Albo ja jego?
 - Nie wiem, Ash.

CHRONOLITY

- Boże, to tak... - Nie potrafiła znaleźć słów dla wyrażenia pogardy.

- Nadeszły dziwne czasy — powiedziałem. — Dzieją się dziwne rzeczy.

Zgarbiła się na swoim siedzeniu, poniżona, i milczała, aż Hitch nas przywołał. Uruchomiłem alarm w vanie, jakby to miało nam zapewnić jakąś ochronę. Na zewnątrz powietrze było suche, a smród przytłaczał. Kilka metrów dalej młody człowiek wrzucał szuflą ziemię do rowu latryny.

Ashlee ostrożnie podeszła do Adama. Nie wiem, ale podejrzewałem, że nie chciała go teraz spotkać, kiedy ta długo oczekiwana chwila ostatecznie nadeszła... nie chciała poznać daremności tego spotkania, oporu syna. Położyła mu rękę na ramieniu i spojrzała prosto w oczy. Adam beznamiętnie zwrócił spojrzenie. By młody, ale nie był już dzieckiem. Nie ustępował, tylko czekał, aż Ashlee zacznie mówić, za co mu prawdopodobnie zapłacono. Odeszli kilka kroków ścieżką między namiotami.

- To, kurwa, stracona sprawa - Hitch zwrócił się do mnie. - Tylko ona jeszcze o tym nie wie.

- A co z Kait?

Wskazał mały, żółty jak słońce namiot.

Zacząłem myśleć o przybyciu chronolitu do Kairu, sprzed trzech lat. Sue Chopra otrzymała nagrania z tego wydarzenia, wykonane pod wieloma różnymi kątami i we wszystkich fazach - spokój przed pojawieniem się, uderzenie niskiej temperatury i wiatry termalne, kolumna lodu i pyłu buchająca ku suchemu, niebieskiemu niebu i w końcu sam chronolit, olśniewająco jasny, osadzony w rozlazłych przedmieściach Kairu niczym miecz wbity w skałę.

(A kto wyciągnie ów miecz ze skały? Prawdopodobnie ten, kto ma czyste serce. Rozwiedzeni rodzice i ojcowie, którzy się nie sprawdzili, mogą się nie zgłaszać.)

Myślę, że w Kairze uderzyła mnie ta niestosowność - rozedrgane pustyne powietrze, lód. Warstwy źle poskładanej historii, biura w wieżowcach wzniesionych na ruinach tysiącletniej autarkii i ten najnowszy monument, Kuin potężny i niedostępny jak faraon na niewzruszonym tronie. Nie wiem, dlaczego ten obraz przyszedł do mnie tak wyraźny. Może dlatego, że ta sucha, sonoryjska miejscowość miała wkrótce otrzymać własny lodowy tron, a może w powietrzu czuło się już cień chłodu, dreszcz przecucia, cierpki zapach przyszłości.

- Kaitlin? - wypowiedziałem jej imię.

Zabłąkany powiew uniósł połę namiotu. Przykucnąłem i wsadziłem głowę do środka. Kait była sama, wyplątywała się z barłogu brudnych koców. Zmrużyła oczy przed plamą słońca przeświecającego przez nylon. Twarz miała wychudłą. W jej oczach malowało się zmęczenie. Wyglądała na starszą, niż ją pamiętałem. Tłumaczyłem sobie, że to przez to, co musiała znieść na hadżu, przez głód i niepokój, ale prawda była taka, że oddaliła się ode mnie, wyrosła z obrazu, jaki nosiłem w myślach, zanim jeszcze wyjechałem z Minneapolis.

Patrzyła na mnie długo, a na jej twarzy pojawiły się kolejno niewiara, podejrzliwość, wdzięczność, ulga, poczucie winy.

- Tata? - odezwała się.

Zdołałem jedynie wypowiedzieć jej imię. I chyba tak było lepiej. Tylko tyle musiałem powiedzieć. Wyplątała się z koców i wpadła w moje ramiona. Zauważyłem siniaki na nadgarstkach, głęboką ranę biegnącą od ramienia prawie do łokcia, brązową linię zakrzepłej krwi. Jednak nie spytałem jej o to i

wtedy zrozumiałem mądrość rady Ashlee: nie mogłem cofnąć tych ran. Mogłem ją tylko tulić.

- Przyjechałem zabrać cię do domu — powiedziałem.

- Dziękuję - odparła prawie niesłyszalnie, chociaż nie mogła spojrzeć mi w oczy.

Kolejny powiew wiatru poderwał połę namiotu i Kaitlin zadrżała. Kazałem jej się szybko ubrać. Naciągnęła parę postrzępionych dżinsów i tanie ponczo. Sam się wzdrygnąłem i przyszło mi do głowy, że powietrze jest trochę zbyt chłodne jak na taki zalany słońcem ranek - nienaturalnie chłodne. Z zewnątrz wołał mnie Hitch.

- Dawaj ją do vana - poleciał - i najlepiej się pospiesz. Tego nie było w umowie. Wytargowałem tylko rozmowę, a nie to, że ją zabierzesz. — Odwrócił twarz na wiatr. — Mam wrażenie, że sprawy dzieją się trochę szybciej, niż planowaliśmy.

Kaitlin wgramoliła się na jedno z tylnych siedzeń i owinęła wolnym kocem. Kazałem jej trzymać nisko głowę, jeszcze przez chwilę. Hitch zamknął drzwi i poszedł po Ashlee. Kaitlin pociągnęła nosem, i to nie dlatego, że była bliska łez. Zaraziła się czymś, powiedziała, grypą albo jakimś zapaleniem żołądka, które krążyły po Portillo, odkąd tłumom coraz bardziej doskwierało pragnienie, a sprzedawcy wody byli coraz mniej skrupulatni. Oczy miała szkliste i lekko rozbiegane. Kaszlnęła w dłoń.

Na dworze namioty i brezentowe daszki trzepotały na coraz silniejszym wietrze. Hadżyści zaczęli wypełzać zewsząd, wywabieni gwałtowną zmianą pogody. Dziesiątki skołowanych pielgrzymów z kuinistycznymi atrybutami i w podartych ubraniach zastanawiały się - lub zaczynały się zastanawiać - czy ta wichura może być początkiem świętego wydarzenia,

chronolitu obwieszczającego swe przybycie spadkiem temperatury i nasilającym się wiatrem.

Może rzeczywiście tak było. Kuin z Jeruzalem pojawił się bardziej zdecydowanie niż ten i bez tak wyraźnych zapowiedzi, ale faktem było, że przybycia chronolitów -w zależności od miejsca i czasu - różniły się intensywnością, czasem trwania i niszczycielską siłą. Obliczenia Sue Chopry opierały się na nieco problematycznych danych z satelitów i mogły się wahać o kilka godzin lub nawet więcej. Innymi słowy, mogliśmy się znajdować w śmiertelnym niebezpieczeństwie.

Wiatr targnął samochodem, co zwróciło uwagę Kaitlin. Przywarła twarzą do bocznego okna, ujrzała chmury pyłu Sonory wyrwane pustyni.

- Tato, czy to...?

- Nie wiem - odparłem.

Szukałem wzrokiem Ash, ale zginęła w narastającym tłumie niespokojnych pielgrzymów. Zastanawiałem się, jak daleko na zachód od centrum Portillo jesteśmy, ale nie sposób było to ustalić... kilometr, powiedzmy, w najlepszym razie. I nie można było powiedzieć dokładnie, gdzie się pojawi chronolit, ani w żaden sposób obliczyć parametrów strefy niebezpieczeństwa.

Kazałem Kait zostać pod kocem.

Wtedy tłum ruszył z tego piachu - zupełnie jakby hadżyści osiągnęli porozumienie bez słów - w stronę ulic i do miasta. Zauważyłem kędzierzawą, czarną brodę Hitcha, potem jego samego, Ashlee i Adama. Hitch najwyraźniej spierał się z Ashlee, a Ashlee z synem. Trzymała ręce na ramionach Adama, jakby go błagała. Chłopak stał zdecydowanie, nieruchomo, wytrzymując ten uścisk, a wiatr zrzucał mu blond włosy na oczy.

Jeżeli hadz mu doskwierał, nie okazywał tego. Przeniósł obojętne spojrzenie z twarzy matki na ciemniejące niebo. Wyciągnął z plecaka coś, co przypominało zwiniętą kurtkę termiczną.

Nie wiem, co Ashlee powiedziała synowi - nigdy tego ze mną nie omawiała - ale nawet z tej odległości było widać, że Adam nie wraca z nami. Całe życie frustracji było wypisane w języku gestów tego spotkania. Ashlee nie potrafiła przyznać - ciągnąc syna i błagając go - że Adam po prostu nie dbał o to, czego ona chciała, że już dawno go to nie obchodziło, że może urodził się taki. Ona mu tylko przeszkadzała w bardzo interesującym wydarzeniu, które najwyraźniej się zaczęło, w fizycznej manifestacji Kuina, w idei czy micie, w który zainwestował całą swoją lojalność.

Teraz to Hitch ciągnął Ashlee, chcąc sprowadzić ją do samochodu. Twarz miał wykrzywioną od ostrego wiatru, ale jego ruchy były pełne desperacji. Ashlee ignorowała go, dopóki mogła, dopóki Adam jej się nie wyrwał i jedynie wsparcie Paleya uchroniło ją przed upadkiem na kolana.

Spojrzała na syna i powiedziała coś jeszcze. Chyba jego imię, tak jak ja zawołałem Kaitlin. Nie jestem pewien, ponieważ ryk wiatru i krzyki tłumu gwałtownie przybierały na sile, ale wydaje mi się, że zawodzące imię jej syna przedarło się przez coraz gęstsze powietrze.

Usiadłem za kierownicą. Kaitlin jęczała do koca.

Hitch zaciągnął Ashlee do vana i wepchnął do środka, po czym wspiął się na siedzenie obok. Nieświadomie uruchomiłem już silnik.

- Kurwa, jedź! - wrzasnął.

Jednak ruszyć szybko w fali hadzystów było prawie niemożliwe. Gdyby Adam obozował bliżej Portillo, bylibyśmy odcięci. W tej sytuacji mogliśmy się posuwać wolno do skraju drogi i stopniowo przeć na zachód, gdzie tłum pielgrzymów rzedniał.

Lecz niebo bardzo pociemniało, było zimno, a pył okrył przednią szybę i zmniejszył widoczność do kilku metrów. Nie miałem pojęcia, dokąd ta droga może prowadzić. Nie był to kierunek, z którego przybyliśmy. Zapytałem Hitcha, ale odparł, że nie wie. Mapa była gdzieś z tyłu, a zresztą i tak nie miało to znaczenia; możliwość wyboru stopniała do jednego.

Burza piaskowa okryła przednią szybę nieprzeniknioną warstwą i - na co wskazywał odgłos - zatkała silnik. Zamknąłem okna i podkręciłem ogrzewanie, aż wszyscy się pociliśmy. Nasza bita droga kończyła się ślepo przy drewnianym moście nad płytkim korytem wyschniętego strumienia. Most rozpadał się w drzazgi i kołysał na wznmagającym się wietrze. Najwyraźniej nie utrzymałby ciężaru vana.

- Jedź wzdłuż brzegu, Scotty. Przynajmniej trochę odskoczmy od Portillo.

- Całkiem tu stromo.

- Masz lepszy pomysł?

Zjechałem więc z drogi, przejechałem po szorstkich kępach trawy i dostałem się na krawędź zbocza. Van sporadycznie zwalniał, deska rozdzielcza zapalała się, alarmując o uszkodzeniach, a my z pewnością przewrócilibyśmy się, gdyby nie mój żelazny chwyt na kierownicy... który wynikał z instynktu, nie z umiejętności. Hitch i Ash-lee milczeli, ale Kait wydała z siebie cichy odgłos tej samej wysokości co wiatr. Właśnie dotarłem do płaskiej, kamienistej niecki, kiedy wy-

CHRONOLITY

rwana z korzeniami akacja przeleciała nam nad głowami niczym sztywny, czarny ptak. Nawet Hitchowi zabrakło tchu, kiedy to zobaczył.

- Zimno - zajęczała Kaitlin.

Ashlee rozłożyła ostatnie koce, podała dwa Kait, a jeden rzuciła nam. W środku, czuć było gorące zwoje nagrzewnicy, ale temperatura wzrosła tylko nieznacznie. Doświadczyłem wstrząsu cieplnego w Jerozolimie, z daleka, ale nie domyślałem się, jak to może być bolesne -nagłe odrętwienie z zimna, które promieniowało do środka, do serca.

Skradziona energia, wysączona z najbliższego otoczenia przez nieznaną siłę, która potrafiła przesunąć tak olbrzymi przedmiot w czasie. Nowy wiatr zawodził nad parowem i niebo nabrało koloru rybich łusek. Mieliśmy ubrania termiczne, więc wyciągnęliśmy je; Ashlee pomogła Kait włożyć kurtkę o numer dla niej za dużą.

Nagle przysłała mi do głowy przerażająca myśl. Sięgnąłem do klamki.

- Scotty? - zdziwił się Hitch.

- Muszę spuścić wodę z chłodnicy - powiedziałem. -Jak zamarnie, stracimy środek transportu.

Byliśmy na tyle mądrzy, że wodę do picia zabraliśmy w miękkich torbach, które rozszerzały się w razie konieczności. Wlaliśmy też do chłodnicy odpowiedni płyn, ale nie spodziewaliśmy się, że będziemy tak blisko miejsca lądowania. Nagły atak zimna prawdopodobnie zniszczyłby układ chłodzenia silnika i stalibyśmy się bezradni.

- Może nie być czasu.

- Więc życz mi szczęścia. I podaj skrzynkę z narzędziami.

Wyszedłem na zawieruchę. Wiatr zatrzęsął za mną drzwi. Wiało od strony parowu, z południa, zasilając strome termokliny przybywającego chronolitu. Powietrze nasycone było pyłem i piaskiem. Musiałem zasłonić oczy ręką, aby otworzyć je choćby trochę. Po omacku dotarłem do maski.

Wóz zjechał pod ostrym kątem w piaszczystą łachę i ca ły przód zakopany był aż po zderzak. Kiedy wygrzebałem trochę miejsca, nad głową wybuchła mi aureola światła. Termiczna kurtka trzymała temperaturę - przynajmniej na razie - ale z każdym oddechem powietrze zamieniało się w lód, a palce miałem odrętwiałe do bólu i niezdarne. Za późno, by wracać po rękawice. Udało mi się otworzyć skrzynkę z narzędziami i wyszukać klucz francuski. Chłodnica była tak zaprojektowana, że opróżniało się ją od spodu, przez odkręcenie zaworu. Uchwyciłem śrubę kluczem, ale nie chciała się obrócić.

Dźwignia, pomyślałem, zapierając się nogami o koło i ciągnąc klucz niczym wioślarz wiosło. Ryk wiatru był ogłuszający, ale w tle rozległ się inny dźwięk, grzmot lądowania, a potem fala uderzeniowa przeszła po ziemi jak potężne kopnięcie muła.

Nakrętka drgnęła, a ja padłem w piach. Pocięła stróżka wody i natychmiast zamarzła na ziemi - dość, żeby zmniejszyć ciśnienie w chłodnicy, chociaż jakiś zbłąkany lód mógł zepsuć dowolną liczbę ważnych przewodów, gdybyśmy mieli pecha.

Próbowałem wstać i okazało się, że nie mogę. Przetoczyłem się więc ku skąpemu schronieniu, jakie tworzył kąt między vanem a ziemią. Głowa nagle zrobiła się zbyt ciężka, abym mógł utrzymać ją prosto, wsunąłem odrętwiałe dłonie między uda, zwinąłem się w kłębek w wątłym ciepłe kurtki i natychmiast straciłem świadomość.

Kiedy otworzyłem oczy, powietrze było nieruchome, a ja byłem z powrotem w vanie. Słońce topiło lodowy kokon, który utworzył się na szybie. Dmuchawa pompowała parne, ciepłe powietrze. Usiadłem, drżąc. Ashlee nie spała, pocierała dłonie Kaitlin i ten widok zmartwił mnie.

— Nic jej nie jest - powiedziała natychmiast Ashlee. - Oddycha.

Hitch Paley wciągnął mnie do środka, kiedy minął najgorszy atak cieplny. Teraz był na dworze i zajmował się nakrętką, którą poluzowałem. Wstał, zajrzał przez zaparowane okno i uniósł kciuk w geście pozdrowienia, kiedy zobaczył, że nie śpię.

- Chyba wszystko będzie dobrze - dodała Ashlee.

Głos miała szorstki i zrozumiałem wtedy, że sam mam obolałe gardło, bez wątpienia od bardzo zimnego powietrza, którym przez chwilę oddychaliśmy. Płuca też trochę bolały, a końce palców rąk i nóg nadal były pozbawione czucia. Plamka zakrzepłej krwi na prawej dłoni, gdzie zamarzający klucz zerwał naskórek. Ale Ashlee miała rację. Przeżyliśmy.

Kait znowu zajęczała.

- Przykryjmy ją - powiedziała Ash. - Ona już jest chora, Scott. Musimy podejrzewać zapalenie płuc.

- Trzeba ją zabrać do cywilizowanego świata. - A najpierw pod to zbrocze. Nic pewnego.

Kiedy nabrałem sił, otworzyłem drzwi od strony kierowcy i wysiadłem. Powietrze znowu było względnie ciepłe i zaskakująco świeże, z wyjątkiem mgiełki pyłu, który osiadał wszędzie niczym delikatny śnieg. Wiatr zabrał lodową mgłę na wschód. Lód parował z kamieni i piasku na dnie strumienia. Wspiąłem się na skarpę i spojrzałem na miasto - na to, co z

niego pozostało. Kuina z Portillo ciągle spowijał lód, ale najwyraźniej był to wielki monument. Postać Kuina stała, unosząc jedno ramię w przyzywającym geście.

Portillo leżało u jego olbrzymich stóp, mroczne, ale na pewno zniszczone. Promień wstrząsu cieplnego był wielki. Wszyscy hadżyści, z wyjątkiem nielicznych, musieli zginąć, tak mi się wydawało, chociaż widziałem kilka pojazdów poruszających się po mieście, prawdopodobnie ambulansów Czerwonego Krzyża.

Ashlee weszła za mną po zboczu, dyszała. Wstrzymała oddech, gdy zobaczyła rozmiar zniszczeń. Usta jej drżały. Twarz miała brązową od pyłu, spływały po nim łzy.

- Ale on mógł uciec - wyszeptała; miała na myśli Adama. Powiedziałem, że to możliwe. Wątpiłem jednak w to.

Korzystając z szutrowych dróg i ścieżek dla bydła, zdołaliśmy ominąć parujące ruiny Portillo i dotrzeć w końcu do szosy.

Martwi - bez wątpienia mnóstwo — pozostali w mieście, ale po drodze mijaliśmy grupki uciekinierów. Wielu kulało na skutek odmrożeń. Niektórych oślepiły kryształki lodu. Innych zraniły walące się domy lub inne efekty fali uderzeniowej. Wszelkie zagrożenie, jakim emanowali, zniknęło i Ashlee dwukrotnie uparła się, aby stanąć i rozdać im zbędne koce oraz resztę jedzenia... i żeby zapytać o Adama. Jednak żaden z tych młodych ludzi nie słyszał o nim, a teraz mieli bardziej naglące potrzeby. Błagali nas, byśmy przekazali wiadomości, zadzwonili do rodziców lub mażonków albo rodziny w Los Angeles, Dallas, Seattle... Korowód nieszczęść był wszechogarniający i w końcu nawet Ashlee musiała się od niego odwrócić, chociaż szukała wśród uciekinierów Adama, aż znaleźliśmy się

dalej na północ, gdzie nawet zdrowy pielgrzym nie mógł dojść. Widok ciężarówek z pomocą charytatywną i wojskowych ambulansów sunących sznurem do Portillo uspokoił jej sumienie, ale nie obawy. Opadła na swoje siedzenie i ruszała się tylko od czasu do czasu, by opiekować się Kaitlin.

Coraz bardziej bałem się o Kait. Była poważniej chora, niż sobie to uświadamiałem, a wystawienie na wstrząs ciepły pogorszyło tylko sprawę. Ashlee zmierzyła Kait temperaturę termometrem z apteczki, zmarszczyła brwi, podała jej kilka kapsułek przeciwgorączkowych i dużo płynów. Musieliśmy kilkakrotnie stawać, aby Kaitlin mogła odejść na stronę, a za każdym razem, kiedy zataczając **Kię**, wracała, czuła się coraz słabsza i niewypowiedzianie poniżona.

Musieliśmy koniecznie zawieźć ją do dobrego szpitala. Hitch połączył się z Sue Choprą i zapewnił ją, że przeżyliśmy, chociaż Kait jest chora. Sue poradziła, aby przekroczyć granicę, jeżeli to możliwe, zanim jeszcze zgłosimy się z Kait do lekarza, gdyż młodych Amerykanów bez dokumentów właśnie aresztowano. Przejście graniczne w Nogales było obecnie zatopione - krążyła plotka, tym razem fałszywa, o zbliżającym się lądowaniu w tym mieście -ale Sue powiedziała, że załatwi kogoś z konsulatu, kto będzie nas eskortować. W Tucson miało czekać miejsce w szpitalu.

Ashlee podała Kait antybiotyki o szerokim spektrum działania, dzięki czemu dziewczyna przespała niespokojnie całe gorące popołudnie. Hitch i ja dzieliliśmy obowiązki kierowcy.

Myślałem o Ashlee. Właśnie straciła syna lub tak jej się wydawało. Niezwykle było, że potrafiła zająć się Kait... działać z takim poświęceniem pod ciężarem żałoby. A Kait instynktownie reagowała na ten przejaw dobroci. Z gło-

wą na kolanach Ashlee była spokojna. Nagle zrozumiałem, że kocham je obie.

Posłuchałem przestrogi Ashlee. Ani wtedy, ani później nie pytałem Kait, co działo się podczas hadzu. Może niezupełnie. W pewnym momencie, kiedy siedziałem z Kait w szpitalnym pokoju w Tucson i czekaliśmy, aż lekarz wróci z wynikami badania krwi, nie zdołałem się opanować. Nie pytałem jej bezpośrednio, co zdarzyło się w Portillo; spytałem tylko, dlaczego tam pojechała... co skłoniło ją do opuszczenia domu i zbratania się z takimi ludźmi jak Adam Mills.

Odwróciła ode mnie głowę zażenowana. Włosy rozłożyły się na białej poduszce i zobaczyłem linię szwu po dawno już zagojonej ranie operacyjnej ucha, bardzo delikatny, jasny szew schodzący po szyi.

- Chciałam, żeby było inaczej - powiedziała.

Gdy Kait powracała do zdrowia, Ashlee została ze mną w Tucson. Wynajęliśmy pokój w motelu. Smutek Ash był głęboko osobisty, często nieomal niewidoczny. Były dni, kiedy wydawała się prawie sobą, dni, kiedy uśmiechała się, gdy stawałem w drzwiach z torbą meksykańskich albo chińskich potraw na wynos. Po części może żywiła nadzieję, że Adam przeżył (choć nie chciała mówić o takiej możliwości ani nie tolerowała wypowiedzania jego imienia). Lecz była przygaszona, cicha. Spała podczas popołudniowych upałów i była niespokojna w nocy. Często długo siedziała przed staromodnym kablowym panelem wideo, kiedy ja już zasnąłem. Jednak połączyliśmy się w pewien ważny sposób. Nasza przyszłość się splotła. Nie rozmawialiśmy o tym. Wszystkie nasze rozmowy były z zamierzenia błahe. Tylko raz, kiedy wychodziłem z pokoju, że-

CHRONOLITY

by pobiec do całonocnego sklepu, zapytałem ją, czy czegoś chce.

- Chcę papierosa - odpowiedziała zdecydowanie. - Chcę, żeby mój syn wrócił.

Kait przebywała w szpitalu przez większą część następnego tygodnia, odzyskując siły i znosząc kolejną serię badań. Odwiedzałem ją codziennie, chociaż starałem się, aby odwiedziny były krótkie - najwyraźniej ona tak wolała. Podczas ostatniej wizyty Kaitlin i jej lekarz przekazali mi złą wiadomość.

Nie chciałem tym martwić Ashlee - przynajmniej nie teraz. Kiedy wróciłem do motelu, Ash doszła nieco do siebie i była bardziej rozmowna. Zabrałem ją na obiad, chociaż niezbyt daleko, do motelowej restauracji. Podano nam zrazy z polędwicy i kawę. Imitacje grafik Navajo i dekoracja z bydlęcych czaszek były zdecydowanie bez gustu. Ashlee mówiła (nagle nabrała potrzeby) o swoim dzieciństwie, o czasach sprzed ślubu z Tuckerem Kellogiem; były to wspomnienia zbudowane nie z narracji, ale wycinków, jakie zostały jej w głowie. Suchy, wietrzny dzień w San Diego, zakup pościeli z matką. Szkolna wycieczka do „małego” zoo. Pierwszy rok w Minneapolis, jak zaskoczyły ją zimowe zamiecie, droga do pracy zablokowana zaspami. Stare przedstawienia, na które chodziła, a z których część ja też widziałem: *Someday*, *Blue Horizon*, *Next Week's Family*.

- Rozmawiałam z Czerwonym Krzyżem - oznajmiła przy deserze. - Nadal są w Portillo, spisują nazwiska... liczą martwych. Jeżeli Adam przeżył, to nie zarejestrował się w żadnej organizacji. Z drugiej strony, jeżeli nie żyje... - Powiedziała to z wymuszoną nonszalancją, najwyraźniej sztuczną. - Nie ziden-

tyfikowali ciała, a są w tym bardzo dobrzy. Pozwoliłam im pobrać jego genom z kartoteki medycznej. Niczego nie dopasowali. Nie wiem więc, czy żyje, czy zginął. Ale rozumiałam coś jeszcze. - Oczy jej błyszcząły.

- Nie musimy o tym rozmawiać - powiedziałem.

- Nie, Scott, jest w porządku. Zrozumiałam, że... obojętnie, czy jest żywy, czy martwy... straciłam go. Może go kiedyś zobaczę, może nie, ale to zależy od niego, to znaczy, jeśli żyje. To właśnie próbował powiedzieć mi w Portillo. Nie, żeby mnie nienawidził, ale że już nie należy do mnie w żaden sensowny sposób. Należy do siebie. I chyba zawsze tak było. - Milczała chwilę, potem wypila ostatni łyk kawy i odprawiła kelnerkę, która proponowała więcej. - Dał mi coś.

- Adam ci dał?

- Tak, w Portillo. Powiedział, że dzięki temu będę go pamiętać. Patrz.

Trzymała podarunek w torebce, zawinięty w chusteczkę. Rozwinęła ją i podsunęła w moją stronę. To był naszyjnik, tani łańcuszek z wisiorkiem. Wisiorzek wyglądał jak poznaczona dziurkami bryłka czarnego plastiku z wywierconym oczkiem. Był niemal odrażająco brzydki.

- Powiedział, że dostał go od przekupnia w Portillo. To rodzaj świętego przedmiotu. Ten kamyk to nie kamień, to...

- Relikwia lądowania.

- Tak, Adam to tak nazwał.

Zgliszczą po pojawieniu się chronolitu są dziwne. Niska temperatura i ciśnienie w pobliżu miejsca lądowania mrożą, kruszą, zniekształcają i niszczą zwykłe materiały. Pamiętkarze sprzedają takie przedmioty łatwymiernym, ale rzadko są one autentyczne.

- Ten jest z Jerozolimy - dodała Ashlee. - Prawdopodobnie.

Jeżeli była to prawda, ta zniekształcona bryłka mogła kiedyś być czymś użytecznym: klamką, przyciskiem do papierów, piórem wiecznym, grzebieniem.

- Mam nadzieję, że nie - odparłem.

Ashlee wyglądała na przygnębioną.

- Myślałam, że to cię zainteresuje. Byłeś tam, w Jerozolimie, kiedy to się stało. To jakby zbieg okoliczności.

- Nie podobają mi się takie zbiegi.

Opowiedziałem jej o poglądzie Sue na turbulencję tau.

Powiedziałem, że zbyt często byłem w turbulencji, że wpłynęła na moje życie (jeśli „wpłynęła” to słowo określające związki bezprzyczynowe) w sposób, który mi się nie podoba.

Ashlee była rozczarowana. Powtórzyła bezgłośnie: turbulencja tau.

- Możesz tym się zarazić od czegoś takiego? - zapytała.

- Wątpię. To nie choroba, Ash. Nie jest zakaźne. Nie chcę tylko o tym pamiętać.

Zawinęła wisiołek w chusteczkę i schowała do torebki.

Wróciliśmy do pokoju. Ashlee włączyła panel wideo, ale nie patrzyła. Ja czytałem książkę. Po chwili przyszła do łóżka i pocałowała mnie - nie po raz pierwszy, ale mocniej niż poprzednio.

Dobrze było znów trzymać ją w ramionach, ogarnąć jej drobne ciało.

Później odciągnąłem zasłony i leżeliśmy, niewidoczni w ciemnościach, obserwując przejeżdżającą autostradą samochody — ich światła jak pochodnie na parady, tylne lampy

jak fruujące iskiery. Ashlee zapytała, jak przebiegły odwiedziny w szpitalu.

- Lepiej się czuje - odpowiedziałem. - Jutro przylatuje Janice, żeby zabrać ją do domu.

- Mówiła o hadżu?

- Bardzo mało.

- Dużo przeszła.

- To było przerażające - dodałem.

- Nie wątpię.

- Nie. Miałem na myśli to, że rozmawiałem z jej lekarzem. Doszło do wtórnej infekcji, pochwowej. To coś, czego się nabawiła w Portillo. Wyleczyli ją, ale były komplikacje. Kait nie może mieć dzieci, nie w naturalny sposób, nie bez zastępczej matki. Jest bezpłodna.

Ashlee odsunęła się ode mnie i patrzyła w ciemności na autostradę. Poszukała papierosa na nocnym stoliku.

- Przykro mi - odezwała się. Głos miała spięty.

- Ale żyje. To się liczy.

(W zasadzie Kait milczała, kiedy lekarz przekazywał mi tę złą wiadomość. Obserwowała mnie z łóżka, bez mrugnięcia, najwyraźniej chcąc odgadnąć moją reakcję z twarzy, chcąc dowiedzieć się, czy przestanę jej współczuć i zostawię ją samą w tej nijakiej, białej szpitalnej pościeli.)

- Wiem, jak ona się czuje - powiedziała Ashlee.

- Drżysz.

- Wiem, jak ona się czuje, Scott, bo powiedzieli mi to samo, jak Adam się urodził. Były komplikacje. Nie mogę już mieć dzieci.

Następne wozy przejechały autostradą, słupy świateł przetoczyły się po chropowatym suficie. Siedzieliśmy w mro-

ku, patrząc na siebie jak zagubione dzieci, a potem znowu objęliśmy się.

Rano spakowaliśmy się przed podróżą do Minneapolis. Ashlee wyszła pospiesznie z pokoju, kiedy się goliłem. Myślała, że nie widzę. Patrzyłem z okna, jak idzie przez parking, mija tylny zderzak furgonetki z kwiatami, wyciąga z torebki złożoną chusteczkę, całuje zmięte zawiniątko i wrzuca je do otwartego pojemnika na śmieci. Odpłaciłem jej za tę przysługę tego samego dnia. Zadzwoiłem do Sue Chopry i powiedziałem, że już dla niej nie pracuję.

Część trzecia

TURBULENCJA

Czas ma kierunek, powiedziała mi kiedyś Sue Chopra. Płynie w jedną stronę. Połącz ogień i drewno, otrzymasz popiół. Połącz ogień i popiół, nie otrzymasz drewna. Moralność też ma kierunek. Na przykład puść film o drugiej wojnie światowej od końca, a odwrócisz jego moralną logikę. Alianci podpisują traktat pokojowy z Japonią, a zaraz potem zrzucają bomby na Hiroszimę i Nagasaki. Naziści wyciągają kule z głów wychudzonych Żydów i leczą ich.

Problem z turbulencją tau, mówiła Sue, polega na tym, że miesza te paradoksy, tworząc normalne, codzienne doświadczenie. W pobliżu chronolitu święty mógłby być bardzo niebezpiecznym człowiekiem. Grzesznik jest prawdopodobnie bardziej użyteczny.

Siedem lat po Portillo, kiedy wojsko zmonopolizowało przemysł telekomunikacyjny i komputerowy, używana płyta główna przyzwoitej, konsumenckiej jakości kosztowała na targu dwieście dolarów. Płyta główna Marquis Instruments rocznik 2025 przewyższała nowoczesne konsumenckie odpowiedniki szybkością i niezawodnością; uncja do uncji, była droższa od złota. Miałem takich pięć w bagażniku.

Wybrałem się samochodem z pięcioma płytami oraz kolekcją nadprogramowych kabli, monitorów, talerzy, codemów i akcesoriów peryferyjnych na targ przy centrum handlowym Nicollet. Był piękny, jasny letni poranek i nawet puste okna Halprin Tower - budowy zarzuconej w połowie, po tym jak w

styczniu wycofano finansowe wsparcie - wydawały się radosne, tam w górze, we względnie czystym powietrzu.

W moim zwyczajowym miejscu przy fontannie jakiś bezdomny rozwinął sobie koc, ale nie opierał się, kiedy poprosiłem go, aby się przesunął. Rozumiał zasady. Punkty handlowe były zazdrośnie strzeżone, starszeństwo wśród handlujących skrupulatnie przestrzegane. Wielu straganiarzy spod Nicollet było tu od początku ekonomicznego zastoju, kiedy miejscowa policja rugowała handel obnosny groźbą użycia broni. Tego rodzaju trudności rodzą solidarność. Zналиśmy się wszyscy i chociaż do konfliktów dochodziło niezmiernie rzadko, kupcy z zasady honorowali i chronili miejsca kolegów. Wieloletni weterani zajmowali najlepsze. Nowi dostawali resztki i często musieli czekać miesiącami albo latami na wolne miejsce.

Ja plasowałem się gdzieś między weteranami a nowymi. Miejsce przy fontannie znajdowało się daleko od głównych alei, ale było na tyle obszerne, że mogłem zaparkować samochód, wyładować składany stolik i towar bez używania wózka — jeżeli tylko dotarłem tu wcześniej i rozstawiłem się, zanim napłynęły tłumy.

Tego ranka było już trochę późno. Handlujący obok mnie, mężczyzna nazwiskiem Duplessy, który szył i sprzedawał ubrania, zdążył rozstawić warsztat. Podeszedł do mnie, kiedy się rozpakowywałem. Łypnął okiem na świeży towar.

- Uaaa, płyty główne — powiedział. — Autentyczne?
- Taaa.
- Wyglądają na markowe. Masz dojścia do dostawcy?
- Po prostu miałem fart. — Po prawdzie kupiłem je od amatorskiego likwidatora mebli biurowych i sprzę-

tu oświeceniowego, który nie miał pojęcia o ich wartości. Szkoda tylko, że była to jednorazowa okazja.

- Chcesz coś za jedną z nich? Mógłbym cię ubrać w elegancki wyjściowy garnitur.

- Na co mi garnitur, Dupe?

Wzruszył ramionami.

- Tylko pytam. Może zjawia się dzisiaj jacyś klienci. Mimo parady.

Zmarszczyłem brwi.

- Znowu parada? - Powinienem zwrócić uwagę na wiadomości.

- Kolejna parada A&P. Tylko flagi i dupki, żadnego konfetti. Żadnych klaunów... w ograniczonym znaczeniu tego słowa.

Adaptuj się i Prosperuj, mimo okazjonalnie ugodowej retoryki, była konserwatywną frakcją kuinistyczną i za każdym razem, kiedy jej członkowie nieśli swój niebiesko--czerwony sztandar przez miasto, musiały być kontrademonstracje i trochę fotogenicznego rozwalania głów. W dni parad cywile woleli zostawać w domach. Domyślałem się, że zdrajcy nadal mieli prawo głosić swoje poglądy. Nikt nie anulował konstytucji. Ale szkoda, że musieli wybrać dzień taki jak ten - błękitne niebo i chłodny wiatr, idealna pogoda na zakupy.

Kiedy Dupe pobiegł do wózka po śniadanie, popilnowałem mu towaru. Zanim wrócił, sprzedałem jedną z moich płyt innemu handlującemu, a do lunchu, chociaż tłumy nie były wielkie, jeszcze dwie, wszystkie z zyskiem. Tego dnia zarobiłem przyzwoicie i kiedy ulice pustoszały około pierwszej, spakowałem się.

CHRONOLITY

- Boisz się małej bijatyki na ulicach? - zawołał Dupę spośród stert bawełny i dzinsu.

- Boję się korków.

Blokady policyjne z pewnością pojawią się w całym centrum. Już kiedy rzedły tłumy, widziałem na chodnikach ponurych młodzieńców w przepaskach z literami A&P albo grupki z wytatuowanym K+.

Martwił mnie jednak nie brak ruchu na ulicach czy groźba przemocy, ale chudy mężczyzna z brodą, który dwa razy przeszedł obok mojego stolika i ciągle kręcił się w pobliżu, odwracając głowę z jawnie fałszywą obojętnością, gdy tylko spojrzałem w jego stronę. Spotkałem już w życiu swoją działkę wstydliwych i niezdecydowanych klientów, ale ten dżentelmen nazbyt pobieżnie i powierzchownie oglądał towar, a bardziej interesowało go wielokrotne sprawdzanie godziny. Prawdopodobnie był to niewinny wariat, ale mnie denerwował. Nauczyłem się ufać instynktowi.

Udało mi się wydostać z centrum, nim zaczęły się poważne zamieszki. Bijatyki pro-K i anty-K stały się ostatnio niemal rutyną i policja nauczyła się je opanowywać. Jednak resztki gazu pacyfikacyjnego (który pachnie jak połączenie mokrego łąjna kociego i sfermentowanego czosnku) wisiły w powietrzu całymi dniami, a zeskrobywanie z ulic utleniającej się piany zaporowej kosztowało miasto małą fortunę.

Dużo się zmieniło w ciągu tych siedmiu lat od zjawienia się chronolitu z Portillo. Policzcie te lata: siedem nerwowych lat przedwojennych, lat pesymistycznych. Lat, podczas których nic nie wydawało się właściwe dla kraju, nawet zażegnanie kryzysu ekonomicznego, lat kuinistycznego ruchu młodzieżowego, złych wieści zza granicy. Katastrofa Missisipi-

Atchafalaya ciągnęła się nadal. Za Baton Rouge Missisipi wybrała nową drogę do morza. Przemysł i handel rzeczny zostały zniszczone, całe miasta zatopione albo pozbawione wody pitnej. Nie było w tym nic złowieszczonego, tylko przyroda, która wygrała rundę z jednostkami inżynieryjnymi. Osady zmieniają spadek rzeki, a siła ciężenia robi resztę. Ale wtedy wydawało się to dziwnie symboliczne. Kontrast był nie do uniknięcia. Kuin opanował sam czas, natomiast nas pokonała woda.

Siedem lat temu nie mógłbym sobie wyobrazić siebie jako wspaniałego handlarza złomem. Dzisiaj czułem się szczęśliwy, że mam taką pozycję. Zazwyczaj wyciągałem w miesiącu dosyć, aby zapłacić czynsz i postawić jedzenie na stole. Inni nie mieli tyle szczęścia. Wielu było zmuszonych stać w kolejkach po zasiłek i zakupę, wspaniały teren do rekrutacji w szeregi ulicznych armii pro-K i anty-K.

Próbowałem zadzwonić do Janice z samochodu. Po kilku falstartach dostałem połączenie na jakiejś śmiesznie zmniejszonej częstotliwości, przez co słyszeć ją było, jakby krzyczała przez rolkę papieru toaletowego. Powiedziałem, że chciałem zabrać Kait i Davida na obiad.

- To ostatni wieczór Davida - odparła Janice.

- Wiem. Dlatego chcielibyśmy się z nimi zobaczyć. Wiem, że dzwonię późno, ale nie byłem pewien, czy na czas skończę w mieście. - Ani czy będę miał gotówkę na ufundowanie choćby domowego posiłku dla czterech osób, ale tego Janice nie wyznałem. Płyty Marquis zapewniły tę odrobinę luksusu.

- W porządku - zgodziła się. - Ale nie odwieź ich zbyt późno. David wyrusza jutro bardzo wcześnie.

David otrzymał w czerwcu wezwanie do wojska i był na podstawowym przeszkoleniu w obozie Unisil w Arkansas. On i

Kaitlin pobrali się zaledwie pół roku temu, ale komisji rekrutacyjnej nic to nie obchodziło. Chińska interwencja pożerała wojska lądowe całymi transportami.

- Powiedz Kait, że będę przed piątą - poprosiłem, gdy połączenie zatrzeszczało i zniknęło. Potem zadzwoniłem do Ashlee i poinformowałem ją, że będziemy mieli gości na obiedzie. Podjąłem się zrobienia zakupów.

- Szkoda, że nie stać nas na mięso - rozmarzyła się.

- Stać.

- Żartujesz. Co... te płyty?

- Tak.

Zamilkła.

- Te pieniądze możemy wydać na wiele rzeczy, Scott.

Tak, wiele było takich spraw, ale zdecydowałem się położyć je na ladzie u rzeźnika w zamian za cztery małe steki z poledwicy. A w spożywym wybrałem ryż basmati, świeże szparagi i prawdziwe masło. Nie ma sensu żyć, jeżeli przynajmniej od czasu do czasu nie można pożyć.

Kait i David urządzili sobie mieszkanie na stryszku garażu Janice i Whita. Choć brzmi to przerażająco, udało im się zamienić chłodny strych o stromym dachu we względnie ciepłe i wygodne gniazdko, umeblować je starą kanapą Whita i wielkim żelaznym łóżkiem, które David odziedziczył po rodzicach. To miejsce gwarantowało im także nieco dystansu od samego Whitmana, którego dobroczynności nie mogli odrzucać. Whit był szacownym zdrajcą i nie pochwalał walk ulicznych, ale swoją politykę traktował poważnie i można było liczyć na mały wykład oportunistyczny, kiedy tylko rozmowa się nie kleiła.

Podjechałem po Kait i Dawida i zabrałem ich do małego mieszkania, które dzieliłem z Ashlee. Kait milczała w samo-

chodzie, starając się zachować dzielną minę, ale wyraźnie martwiła się o męża. Rekompensował to David, który opowiadał jak najęty o wiadomościach (wyeliminowaniu Partii Federalnej, walkach w San Salvador), ale po jego głosie i gestach widać było, że też się denerwuje. To oczywiste. Nikt z nas nie wspominał o Chinach, nawet mimochodem.

David Courtney nie wywarł na mnie większego wrażenia, gdy Kait przedstawiła mi go w zeszłym roku, ale bardzo go potem polubiłem. Miał zaledwie dwadzieścia lat i cechowała go emocjonalna obojętność - psycholodzy nazywają to „brakiem afektacji” - taki jest styl jego pokolenia, wychowanego w cieniu Kuina. Pod spodem jednak David okazał się ciepłym i troskliwym młodzieńcem, którego uczucie do Kait było oczywiste.

Nie był szczególnie przystojny - w trakcie pożarów Lowertown w 2028 poparzył sobie twarz - i zdecydowanie nie był zamożny ani nie miał koneksji. Ale miał pracę (przynajmniej do momentu otrzymania wezwania do wojska) przy obsłudze ładowarki na lotnisku, był bystry i ugodowy, a to zasadnicze wartości w tych ponurych czasach ponurego wieku.

Ich ślub był małym wydarzeniem sponsorowanym przez Whita i odprawionym w kościele w parafii Whita, gdzie połowa diakonów prawdopodobnie należała potajemnie do zdrajców. Kait włożyła starą sukienkę ślubną Janice, która przywołała trochę niezręcznych wspomnień, ale według nowych standardów wydarzenie było przyzwoite i ceremonia wzruszyła Janice i Ashlee do łez.

Kaitlin poszła na górę, do mieszkania, a David i ja ustawiliśmy alarmy i programy zabezpieczające w samochodzie. Zapytałem go, jak Kait radzi sobie z nadchodzącym rozstaniem.

- Czasami płacze. Nie podoba jej się to. Myślę, że jej przejdzie.

- A ty?

Odgarnął włosy z oczu, odsłaniając na moment szpecącą czoło bliznę po oparzeniu. Wzruszył ramionami.

- Jak na razie, w porządku - powiedział.

Zaproponowałem, że przyrządę steki, ale Ashlee się nie zgodziła. Nie widzieliśmy steków prawie rok, więc nie zamierzała powierzyć ich mojej opiece. Mogłem pokroić cebulę, zasugerowała, albo lepiej jeszcze, dotrzymać towarzystwa Kait i Davidowi i wynieść się z kuchni do diabła. Może steki to był zły pomysł. To jedzenie na specjalną okazję, a tego wieczoru nie było się z czego cieszyć. Kait i David spoglądali na siebie smutno i najwyraźniej usiłowali być ponad tym niepokojem, choć ich starania spełzły na niczym. Zanim Ash podała obiad, wszyscy podjęliśmy już grę wzajemnego odrzucania się.

Ashlee i ja wynajęliśmy to mieszkanie na czwartym piętrze wkrótce po naszym ślubie, w lipcu, sześć lat temu. Czynniki regulowała Ustawa Stopparda, ale utrzymanie budynku było niedbałe, żeby nie powiedzieć niechlujne. Rury wodociągowe sąsiada z góry przeciekały przez nasze szafki kuchenne, aż Ashlee i ja poszliśmy do niego z narzędziami i PCW i sami rozwiązaliśmy problem. Jednak nasze okna wychodziły na południowy zachód, na niskie przedmieścia - gonty, baterie słoneczne, drzewa - a dzisiaj księżyc w pełni przemierzał horyzont i świecił tak jasno, że można było przy nim czytać.

- Trudno uwierzyć - powiedziała Kait, także zauroczona księżycem - że kiedyś żyli tam ludzie.

W wiele rzeczy z przeszłości trudno było uwierzyć. Rok temu wyglądałem przez to okno, kiedy orbitalna fabryka Coring-Gentell runęła, płonąc w atmosferze i tryskając stopionym metalem jak fajerwerki na Święto Niepodległości. Dziesięć lat temu na orbicie okołozemskiej lub nawet dalej żyło siedemdziesiąt pięć osób. Dzisiaj nikt.

Jeszcze chwilę stałem przy rozsuniętych zasłonach. Wtedy właśnie zauważyłem starego, małowraźowego GM zaparkowanego przed zakratowanymi drzwiami sklepu *Okazja za dolara* Mukerjee i męską twarz z brodą w szybie samochodu, oświetloną siarkowym światłem latarni. Odwróciła się. Nie byłem do końca pewien, czy to ten sam świr, który kręcił się przy moim stoliku pod Nicollet, ale wolałbym się nie zakładać.

Nic nie powiedziałem rodzinie, tylko usiadłem i uśmiechałem się - tego wieczoru wszyscy zmuszaliśmy się do śmiechu. David przy kawie opowiadał trochę więcej o tym, co go czeka w Unisłach w czasie służby. Jeżeli nie będzie miał tyle szczęścia, by dostać pracę biurową albo techniczną, wyląduje w Chinach w piechocie. Ale walki nie mogą się toczyć długo, powiedział do Kait, więc wszystko jest w porządku; a my wszyscy wierzyliśmy w tę absurdalną nieprawdę.

David dostałby oczywiście odroczenie, gdyby Kaitlin była w ciąży, ale nie było takiej możliwości. Infekcja, której nabawiła się w Portillo, zostawiła blizny w pochwie i ubezpłodniła ją. Ona i David mogli jeszcze mieć dzieci, ale musiały być poczęte *in vitro*, na co nikogo z nas nie było stać. O ile było mi wiadomo, David nigdy nawet nie poruszył tego tematu z Kait - możliwości odroczenia służby z powodu narodzin dziecka. Kocha ją, wierzyłem, bardzo szczerze. Małżeństwa dla odrocze-

nia wojska były powszechne w tych czasach, ale to nie interesowało Davida i Kaitlin.

Ashlee podała kawę i prowadziła ożywioną rozmowę, podczas gdy ja próbowałem nie myśleć o mężczyźnie z ulicy. Bezwiednie obserwowałem Kait, jak bez słowa przygląda się Davidowi, i poczułem się z niej bardzo dumny. Kait nie miała prostego życia (nikt z nas nie miał, skoro żyliśmy w epoce chronolitów), ale wyrobiła w sobie potężną, osobistą szlachetność, która czasami zdawała się promieniować przez jej skórę jasnym światłem. To był cud, którym zaowocował nasz krótki wspólny czas z Janice -potężna, pełna życia ludzka dusza. Stworzyliśmy dobro, pomimo nas samych.

Kait i David ostatnie godziny chcieli spędzić razem. Poprosiłem Ashlee, żeby ich odwiozła. Była zaskoczona; spojrzała na mnie ostro i podejrzliwie, ale zgodziła się. Ciepło uścisnąłem dłoń Davidowi i życzyłem mu wszystkiego najlepszego. Kait długo przytulałem. A kiedy wyszli we troje, poszedłem do sypialni i z górnej półki bieliźniarki wzięłem pistolet. Odbezpieczyłem go.

Chyba już wspomniałem, że wychowywałem się podczas rewolucji przeciw broni na początku wieku. (Tego wieku, który unosi się, kiedy piszę te słowa, na krawędzi ostatniego ćwierćwiecza - ale nie zamierzam wyprzedzać samego siebie.) Moda na broń ręczną wróciła w trakcie zamieszek. Nie miałem ochoty na pistolet... ale przekonałem się, że to konieczne. Przeszedłem więc wymagane kursy, wypełniłem wszystkie formularze, zarejestrowałem broń i własny genom w ATF, po czym kupiłem pistolet małego kalibru, który rozpoznawał moje odciski palców (i niczyje inne). Miałem go od kilku lat i nigdy nie używałem poza strzelnicą.

Wsadziłem broń do kieszeni i zszedłem cztery piętra do holu budynku, a potem przekroczyłem ulicę, kierując się w stronę zaparkowanego wozu. Mężczyzna z brodą za kierownicą nie okazał zaniepokojenia. Uśmiechnął się do mnie - w sztuczny, wymuszony sposób - kiedy się zbliżyłem.

- Musi pan wyjaśnić, co tutaj robi - usłyszałem własne słowa, kiedy zbliżyłem się wystarczająco.

Mężczyzna uśmiechnął się szerzej.

- Naprawdę mnie nie poznajesz, co? Nie masz najmniejszego pojęcia.

Nie tego się spodziewałem. Głos rzeczywiście brzmiał znajomo, ale nie potrafiłem go skojarzyć.

Wysunął rękę przez okno.

- To ja, Scott... Ray Mosely. Kiedyś byłem jakieś dwadzieścia pięć kilo cięższy. Broda jest nowa.

Ray Mosely. Zastępca Sue Chopry i beznadziejny jej adorator. Nie widziałem go od przygody Kait w Portillo... odkąd wycofałem się z całego tego interesu, aby rozpocząć nowe życie z Ashlee.

- Cholera. Tyle tylko udało mi się powiedzieć.

- Ty się wcale nie zmieniłeś - stwierdził. - Dzięki temu łatwiej było mi ciebie znaleźć.

Po stracie kilogramów wyglądał niemal na wychudzonego, nawet z tą brodą. Jak duch samego siebie.

- Nie musiałeś mnie śledzić, Ray. Mogłeś podejść do stolika i się przywitać.

- Hm, ludzie się zmieniają. Z tego, co wiem, mógłbyś być teraz zdrajcą ziejącym ogniem.

- Spierdalaj.

CHRONOLITY

- To ważne. Potrzebujemy twojej pomocy.
- Jacy „my”?
- Na przykład Sue. Musiałaby się gdzieś zatrzymać na chwilę.

Ciągle próbowałem przyswoić sobie tę informację, kiedy tylna szyba opadła i Sue wystawiła z ciemności wielką, toporną głowę. Uśmiechnęła się.

- Cześć, Scotty - przywitała się. - Znowu się spotykamy.

Przez ostatnie siedem lat opowiedziałem Ashlee sporo o Sue Choprze i jej przyjaciółach. To nie znaczyło, że Ash była zachwycona, kiedy po powrocie do domu zastała te dwie osobistości zajmujące kanapę w dużym pokoju.

Po Portillo stało się dla mnie oczywiste, że będę musiał wybrać między życiem z Ashlee a pracą dla Sue. Sue trwała w przekonaniu, że atak chronolitów można powstrzymać dzięki właściwej technice lub nawet odpowiedniemu poziomowi zrozumienia. Wątpiłem w to. Rozważmy samo słowo „chronolit” - brzydki słowotwór ukuty przez głuchego dziennikarza wkrótce po Chumphon. Słowo, którego nigdy nie lubiłem, ale które doceniałem za jego stosowność. *Chronos*, czas i *lithos*, kamień - i czyż nie było to sedno sprawy? Czas twardy jak skała. Strefa absolutnej determinacji otoczona efemeryczną pianą (ludzkim życiem, na przykład), która deformowała się, aby dopasować do własnych konturów.

Nie chciałem być zniekształcony. Życie, jakiego pragnąłem z Ashlee, to życie, które skradły mi chronolity. Ash i ja wróciliśmy z Tucson, aby wylizać się z ran i czerpać od siebie siłę, którą mogliśmy sobie dać. Nie mógłbym dać Ashlee dużo, gdybym nie przestał pracować dla Sulamith Chopry, gdybym dalej zanurzał się w turbulencji tau, gdybym trwał przy sta-

waniu się narzędziem w rękach losu. Nie, żebyśmy całkowicie stracili kontakt. Sue nadal dzwoniła do mnie czasami po konsultacje, chociaż od strony zawodowej mało mogłem zrobić bez dostępu do jej superdokładnych inkubatorów kodów. Częściej dzwoniła, aby po prostu być w kontakcie, podzielić się optymistycznymi lub pesymistycznymi nastrojami, poplotkować. Myślę, że czerpała zastępczą przyjemność z życia,

jakie sobie urządziłem - jakby było egzotyczne, jakby nie było milionów rodzin podobnych do mojej, które starały się przeżyć ciężkie czasy. Z pewnością nie spodziewałem się, że stanie na moim progu, jakby urwała się z serialu pod znakiem płaszcza i szpady.

Ash zamieniła parę słów z Sue przez telefon, ale nigdy nie zostały formalnie sobie przedstawione, Ray zaś był jej zupełnie obcy. Przedstawiłem ich sobie z zapałem chyba w zbyt oczywisty sposób nieszczerym. Ashlee skinęła głową i podała rękę, a potem wycofała się do kuchni „zrobić kawę”, to znaczy wyrobić sobie zdanie na temat ich obecności tutaj.

To tylko odwiedziny, upierał się Ray. Sue nadal utrzymywała siatkę znajomości pośród badaczy chronolitów i kontaktowała się z nimi podczas tego wyjazdu na zachód. Przypływy i odpływy funduszy federalnych, uzależnione od innych, znowu zwróciły się w jej stronę, chociaż wciąż miała przeciwników w Kongresie. Teraz, mówiła, pracuje ukradkiem, na poły w ukryciu, chowa się przed jedną agencją za pomocą drugiej, zajęta biurokratycznymi sporami, których w ogóle nie rozumie. Tak, w Minneapolis była w interesach, ale zasadniczo chciała znaleźć przyjazne miejsce, w którym mogłaby się zatrzymać na kilka wieczorów.

- Mogłaś wpierw zadzwonić.

CHRONOLITY

- Może tak, Scotty, ale nigdy nie wiadomo, kto słu-
cha. Między utajonymi zdrajcami w Kongresie i tymi wariata-
mi na ulicach... - Wzruszyła ramionami. - Jeżeli to wam prze-
szkadza, weźmiemy pokój w hotelu.

- Zostaniecie tutaj - zdecydowałem. - Jestem tyl-
ko ciekawski.

Najwyraźniej chodziło tu o coś więcej niż tylko spotkanie
przyjaciół po latach. Jednak ani ona, ani Ray nie oferowali się
ze szczegółami, przynajmniej dzisiaj. Entuzjastyczna, owład-
nięta obsesją Sue wydawała się tak odległa. Wiele rzeczy
zmieniło się od Portillo.

Och, nadal oglądałem wiadomości o postępach Kuina, gdy
pasma na to pozwalało, i zastanawiałem się czasami, co może
oznaczać „turbulencja tau” i jak może na mnie wpłynąć. Lecz
to były nocne strachy, rzeczy, o których myślisz, kiedy nie mo-
żesz spać, a deszcz stuka w okno jak niechciany gość. Zrezy-
gnowałem z prób zrozumienia tego w kategoriach Sue - jej
rozmowy z Rayem zawsze zbyt szybko skręcały w stronę
geometrii C-Y, czarnych kwarków i podobnych ezoterycznych
zjawisk. A jeżeli chodzi o same chronolity... czy mam się wsty-
dzić, że osiągnąłem spokój w tej kwestii? Że poddałem się
własnej niemożliwości wpłynięcia na te niepojęte i tajemnicze
sprawy? Może była to mała zdrada. Ale czułem, że to zdrowy
rozsądek.

Niepokojące było więc znowu znaleźć się obok Sue Cho-
ptry, której obsesje nadal płonęły żarliwie. Sue była uprzejma,
kiedy rozmawialiśmy o starych czasach i znajomych twarzach.
Ale oczy jej zapłonęły, a głos podniósł się o decybel, gdy tylko
rozmowa zeszła na niedawne pojawienie się chronolitu we
Freetown lub wejście armii kuinistów do Nigerii. Obserwowa-

łem ją, kiedy mówiła. Ta zachwycająco niekontrolowana korona kręconych włosów posiwała na końcach. Kiedy się uśmiechała, skóra w kącikach oczu całkowicie się marszczyła. Była szczupła i wyglądała na trochę przygnębioną, gdy uchoodził z niej zapach.

A Ray Mosely, nie do wiary, nadal ją kochał. Oczywiście nie przyznał się do tego. Podejrzewam, że doświadczał tej miłości do Sulamith Chopry jako osobistego poniżenia, niewidzialnego dla osób z zewnątrz. Ale nie było ono niewidzialne. A może znalazł na to własny sposób: lepiej żywić daremne uczucie, niż przyznać się do braku miłości. Z brodą, wychudły do granic anoreksji, z włosami rzednącymi jak wspomnienie dzieciństwa Ray wciąż rzucał Sue te spojrzenia pełne uwielbienia, wciąż uśmiechał się, kiedy ona się uśmiechała oraz stawał w jej obronie przy najłżejszym cieniu krytyki.

A kiedy Sue wskazała głową Ashlee w kuchni i powiedziała: „Zazdroszczę ci, Scotty. Zawsze chciałam osiąść z dobrą kobietą”, Ray posłusznie zachichotał, a potem się obruszył.

Zanim poszedłem spać, rozłożyłem kanapę i wyciągnąłem zapasowe koce. Cierpieć będzie tylko Ray, śpiąc obok Sue w absolutnej i niekwestionowanej czystości, tne zainteresowanie jej osobą, na zmianę to pomagając, to opóźniając jej pracę. Ale teraz nie to stanowiło problem. Prawdziwy problem, mówiła, polega na tym, że coraz bardziej zdesperowany rząd chiński dawno temu uruchomił intensywny program zajmujący się praktyczną stroną naginania tau i odizolował swe ośrodki badawcze od międzynarodowej społeczności.

A dlaczego był to problem?

Ponieważ podzielony rząd Chin ostatecznie rozpadł się pod ciężarem własnej niewydolności, a te ośrodki badawcze znajdowały się prawdopodobnie pod kontrolą kuinistycznych anarchistów.

- Wszystko więc dokładnie pasuje - powiedziała. - Gdzieś w Azji jest Kuin i ma w rękach odpowiednią technologię. Od podbicia Chumphon dzieli nas tylko kilka lat, a wygląda to na zupełnie prawdopodobne wydarzenie. Na dodatek nic z tym nie możemy zrobić. Cała Azja Południowo-Wschodnia jest pod wpływem najrozmaitszych ruchów kuinistycznych i trzeba by dużej armii, żeby zająć wzgórza wokół Chumphon, co oznaczałoby ponowne odwołanie się do wojsk i zasobów z Chin, a tego nikt nie chce. Zatem wszystko składa się bardzo, bardzo zgrabnie, można by rzec nieodwracalnie.

- Oto cienie rzeczy, które muszą nadejść.

- Tak.

- I nie możemy tego powstrzymać.

- No, nie wiem, Scotty. Chyba jest coś, co mogę zrobić. - Jej uśmiech był zarazem zwodniczy i smutny.

Jednak cały ten temat zakłopotał mnie i próbowałem go zmienić. Spytałem, czy miała ostatnio wiadomości od Hitcha Paleya. (Ja nie miałem od czasu Portillo.)

- Ciągłe jesteśmy w kontakcie - powiedziała. - Za parę dni będzie tędy przejeżdżać.

Myślę, że to dowód na wrodzony (choć niezdarny) urok Sue, iż już następnego wieczoru Ashlee siedziała obok niej na kanapie, zasłuchana w jej interpretację ery chronolitów.

- Nadal nie rozumiem - mówiła Ash, kiedy się do nich przyłączyłem - dlaczego twoim zdaniem koniecznie trzeba któryś zniszczyć.

Sue, rozważając odpowiedź, wyglądała na tak skupioną, jak może być tylko fanatyk religijny. I może rzeczywiście nim była, przynajmniej według własnej definicji. Podczas seminarium z popularnej fizyki na Cornell lubiła porównywać swoje zoo cząsteczek (hadrony, fermiony i całą różnorodność składających się na nie kwarków) do bóstw z hinduskiego panteonu - wszystkie ważne, ale wszystkie stanowiące część jednego, wszechogarniającego Boga). Sue nie była religijna w konwencjonalnym znaczeniu tego słowa i nigdy nawet nie odwiedziła Madrasu, skąd pochodzili jej rodzice. Używała tej metafory swobodnie i często komicznie. Ja jednak przypomniałem sobie jej opis Siwy o dwóch twarzach: niszczyciela i dawcy życia, ascetycznego młodzieńca i wywijającego fallusem boga płodności - Sue dopatrywała się obecności Siwy w każdej dwoistości, w każdej kwantowej symetrii.

Złączyła koniuszki palców.

- Ashlee, powiedz mi, jak byś zdefiniowała słowo „monument”.

- Hm - zaczęła ostrożnie Ash - to rzecz, budowla, na przykład budynek. No wiesz, architektura.

- Więc czym się różni od domu czy świątyni?

- Chyba nie korzysta się z monumentu tak samo jak z domu czy z kościoła. On po prostu stoi i pokazuje się.

- Ale ma jakiś cel, prawda? Tak jak dom ma jakieś przeznaczenie.

- Nie wiem. Nie powiedziałabym, że jest użyteczny... ale chyba ma jakieś przeznaczenie. Tylko niezbyt praktyczne.

- Właśnie. To budowla z przeznaczeniem, ale przeznaczenie to nie jest praktyczne, tylko duchowe... lub przynajmniej symboliczne. Głosi potęgę i wyższość lub upamiętnia ja-

kieś wydarzenie społeczne. To rzeczywista budowla, ale całe jej znaczenie, cała użyteczność jest zainwestowana w nią przez ludzki umysł.

- Dotyczy to także chronolitów?

- W tym rzecz. Jako destrukcyjna broń chronolit jest względnie trywialny. Sam w sobie nie osiąga nic szczególnego. To martwy przedmiot. Cały jego sens leży w sferze interpretacji i znaczenia. I tu się toczy walka, Ashlee. - Postukała się w czoło. - Najdziwniejsza architektura jest właśnie tu, na górze. Nic w fizycznym świecie nie wytrzymuje porównania z tymi monumentami i katedrami, jakie wznosimy we własnych głowach. Czasami ta architektura jest prosta i prawdziwa, a czasami barokowa, czasami piękna, a czasami brzydka i zgubnie niesolidna. Jednak ta architektura znaczy więcej niż jakakolwiek inna, ponieważ my stwarzamy z niej przyszłość. Historia to skamieniały zapis tego, co ludzie budują z zawartości własnych umysłów. Rozumiesz? Geniusz Kuina nie ma nic wspólnego z chronolitami. Chronolity to tylko technika, po prostu ludzie sprawiają, że przyroda skacze przez obręcze. Geniusz Kuina polega na tym, że używa ich do skolonizowania świata umysłu, zbudowania własnej architektury bezpośrednio w naszych głowach.

- Zmusza ludzi, aby wierzyli w niego.

- W niego, w jego władzę, chwałę, dobroć. Ale przede wszystkim w jego nieuniknioną. I to właśnie chcę zmienić. Ponieważ nic w Kuinie nie jest nieuniknione, absolutnie nic. Budujemy Kuina codziennie, produkujemy go z naszych nadziei i obaw. On należy do nas. To cień, jaki rzucamy.

Nie było to nic nowego. Politykę oczekiwania rozpatrywano nawet w prasie. Ale coś w tej przemowie sprawiło, że zjeżyły mi się włosy na rękach. Jej przekonanie, jej nonszalancka elokwencja. Ale sądzę, że było coś jeszcze. Chyba po raz pierwszy zrozumiałem, że Sue wypowiedziała prywatną i bardzo osobistą wojnę Kuinowi. Więcej: wierzyła, że teraz znalazła się w samym środku konfliktu - namaszczona turbulencją tau, wyniesiona bezpośrednio do boskości.

W niedzielę umówiłem się z Kaitlin na obiad, jedynie fast food, na które poszła reszta trafionych w weekend pieniędzy. Kait zeszła z mieszkania nad garażem Whita dzielna, ale niepokieszona. Spędziła właśnie kilka pierwszych nocy bez Davida, i było to widać. Oczy miała podkrążone, cerę żółtą z braku snu. Uśmiechnęła się do mnie niemal ukradkiem, jakby nie mogła się uśmiechać, skoro David pojechał na wojnę.

Zamówiliśmy kanapki z pastą fasolową w niegdyś jaskrawej, ale ostatnio ohydnej Peoples Kitchen. Kait wiedziała o przyjeździe Sue Chopry i Raya Mosely'ego i przez chwilę rozmawialiśmy o tym, ale najwyraźniej nie obchodziły jej, jak to nazywała, „stare czasy”. Ma koszmary, powiedziała. W snach wraca do Portillo, ale tym razem z Davidem, i to on jest w jakimś śmiertelnym niebezpieczeństwie, przed którym nie może go uratować. Stoi we śnie po kolana w piachu, Kuin z Portillo wisi nad nią prawie żywy, powykręcany i pełen złości.

Słuchałem cierpliwie, żeby się rozluźniła. Sen nietrudno było zinterpretować.

- Miałaś wiadomości od Davida? - spytałem w końcu.

- Zadzwoił, kiedy autobus dojechał do Little Rock. Od tamtej pory nic. Ale tak jest na obozie szkoleniowym, jest mało czasu.

Chyba tak. Potem zapytałem, jak sobie z tym radzą mama i Whit.

- Mama mnie wspiera. A Whit... - Machnęła ręką. -Wiesz, jaki jest. Nie pochwała wojny i czasami zachowuje się tak, jakby sam David był za nią odpowiedzialny... jakby miał wybór po otrzymaniu powołania. Dla Whita liczą się tylko wielkie sprawy, ludzi nie ma, chyba że stanowią przeszkody albo złe przykłady.

- Wojna to nic dobrego, Kait. Gdyby David chciał uciec przed wojskiem, sam bym mu w tym pomógł.

Kait uśmiechnęła się smutno.

- Wiem. David też to wiedział. Dziwne tylko, że Whit nie chciał o tym słyszeć. Nie lubi wojny, ale nie potrafiłby sankcjonować łamania prawa, narażania rodziny na konsekwencje prawne i całe to gówno. Chodzi o to, że David domyślił się, iż Whit prawdopodobnie doniósłby na niego, gdyby próbował uniknąć wojska.

- Myślisz, że to prawda?

Zawahała się.

- Nie nienawidzę Whita...

- Wiem.

- Ale tak, mógłby być do tego zdolny.

Nic dziwnego, że nękały ją koszmary.

- Janice musi chyba częściej bywać w domu, odkąd straciła pracę.

- Jest w domu i to pomaga. Wiem, że jej też brakuje Davida, ale nie mówi o wojnie, Ruinie ani o opiniach Whita. To zakazane terytorium.

Lojalność Janice wobec drugiego męża była wyjątkowa i godna podziwu, ale ciężko mi było na to patrzeć. Kie-

dy lojalność staje się męczeństwem i jak niebezpieczny był Whitman Delahunt? Ale tych pytań nie mogłem zadać Kait. Kait nie mogła na nie odpowiedzieć, nie bardziej niż ja.

Zanim wróciłem do domu, Ashlee poszła już spać. Sue i Ray siedzieli przy stole w kuchni i rozmawiali ściszo-nym głosem pochyleni nad mapą zachodnich stanów. Ray ucichł, kiedy przechodziłem, ale Sue poprosiła, abym usiadł z nimi. Grzecznie odmówiłem, co Ray przyjął z ulgą, poszedłem do Ashlee, zwiniętej na swojej lewej połowie z kołdrą stłamszoną w nogach i gęsią skórką na udzie od nocnego chłodu.

Czy powinienem czuć się winny, bo w końcu nie szukałem i nie znalazłem prywatnego męczeństwa... jak Janice, związana z Whitem poczuciem obowiązku; jak David, skierowany do Chin niczym pocisk i podobnie jak on do wyrzucenia po użyciu. Lub jak mój ojciec, dla przykładu, który usprawiedliwiał swoje życie w męczeństwie? (Byłem z nią, Scotty.)

Kiedy położyłem się do łóżka, Ashlee drgnęła, zamruczała coś i przytuliła się do mnie, ciepła w chłodzie nocy.

Próbowałem wyobrazić sobie męczeństwo biegnące wstecz jak zepsuty zegar. Jak słodko jest porzucić boskość, zejść z krzyża i podróżować od przemienienia do prostej mądrości, a w końcu osiągnąć niewinność.

Przyjechał Hitch - bez dwóch palców u lewej ręki i na dodatek kulejąc. Wydawało mi się, że nie uśmiecha się tak chętnie jak kiedyś, chociaż uśmiechnął się do Sue, a mnie rzucił uprzejme spojrzenie, które było wystarczająco przyjazne. Ashlee zdecydowanie mu tego nie odwzajemniła.

Ash pracowała w miejskiej stacji uzdatniania wody, gdzie pisała sprawozdania wymagane przez państwo i przepi-

sy federalne oraz przygotowywała rachunki dla kierownika działu finansów. Wróciła do domu zmęczona i niemal zemdląca na widok Hitcha Paleya, chociaż był w przyzwoitym garniturze i nawet ośmielił się włożyć krawat. Hitch źle się zapisał w pamięci Ashlee - był z nią, kiedy straciła Adama. Oczywiście nie poznała byłego funkcjonariusza FBI Morrisa Torrance'a, teraz nawet bardziej łysego niż Ray. On także przyjechał, a wielki wóz techniczny zaparkował przed domem. Podjąłem się przedstawiania.

- Nie możemy przenocować wszystkich tych ludzi, Scott
- powiedziała Ashlee beznamiętnym głosem. - Nawet jedną noc.

Jej głos zdradzał trochę strachu i sporo niechęci.

- Nie ma potrzeby - wtrącił pospiesznie Hitch. - Wynająłem kilka pokoi w Marriocie. Miło cię widzieć, Ashlee.

- Ciebie też - odpowiedziała.

- I dziękuję za przenocowanie nas - dodała Sue Chopra. - Wiem, że było wam niewygodnie.

Ashlee skinęła głową, chyba uspokojona widokiem Sue ze spakowaną torbą.

- Do Marriotta?

- Los się do nas uśmiechnął - odparła Sue.

Wyszedłem z Hitchem do vana, podczas gdy Sue i Ray kończyli się pakować. Hitch wepchnął torbę Sue do przedziału bagażowego i położył mi rękę na ramieniu.

- Scotty, przydałaby mi się jutro pomoc, jeżeli będziesz miał czas.

- Pomoc... przy czym?

- Wydawaniu pieniędzy na ciężki sprzęt. Generatory spalinowe i takie tam.

- Nie znam się na maszynach, Hitch.
- Głównie chodzi mi o twoje towarzystwo.
- Jutro jest dzień roboczy.
- Stoisz przy stoliku na pchlim targu? Weź sobie wolne.
- Nie stać mnie.
- Owszem, stać cię. Mamy na to fundusze.

Wymienił godzinową stawkę za ośmiogodzinny dzień pracy. Pokażna suma za samą jazdę w jego towarzystwie, szczególnie od człowieka, którego przyjaciele ledwie kilka dni temu błagali mnie o miejsce na kanapie. Hitch najwyraźniej przyjechał z pieniędzmi, a oferta była kusząca. Jednak nie byłem skłonny jej przyjąć.

- Pomyśl - mówił. - Mamy otwarte konto w Departamencie Obrony, przynajmniej na razie. Gotówka jest w zasięgu ręki i wiem, że nie możesz tak nagle rezygnować ze swojego zajęcia. Ale naprawdę musimy omówić kilka spraw.

- Hitch...

- A co to szkodzi?

To było dosadne pytanie.

- Czuję, że nie wszystko mi powiedziałaś.

- No cóż, tak. Jest coś jeszcze. Możemy pomówić o tym jutro. Zadzwoń z hotelu i zaplanujemy wszystko.

- Dlaczego ja? - spytałem.

- Ponieważ strzałka wskazuje ciebie, przyjacielu. - Wspiął się na siedzenie kierowcy i skrzywił się z bólu, kiedy wciągnął chorą nogę. - A przynajmniej tak myśli Sue.

A zatem w słoneczny poranek wjechałem z Hitchem Pa-leyem do zrujnowanej dzielnicy fabrycznej na zachód od rzeki. Klimatyzacja w vanie była zepsuta. (Tego można się było spodziewać: części zapasowe były drogie, gdyż większość szła na

potrzeby wojska.) Powietrze na zewnątrz było suche i nabierało temperatury pieca, a Hitch jechał z podciągniętymi barwionymi szybami i z otwartymi wywietrznikami. Zanim dotarliśmy do celu, wewnątrz cuchnęło gorącym winylem, olejem silnikowym i potem.

Hitch umówił się z kierownikiem działu sprzedaży dystrybutora maszyn i części pod nazwą Tyson Brothers. Poszedłem za Paleyem przez recepcję i usiadłem w biurze tego człowieka, gdzie przyglądałem się uschniętemu fikusowi i typowej sztuce ściennej, podczas gdy Hitch negocjował bezpośredni zakup dwóch małych spychaczy i takiej liczby przenośnych generatorów, że można by zasilić małe miasto, oraz mnóstwa części zapasowych. Gość od sprzedaży był oczywiście ciekawski - zapytał dwa razy, czy jesteśmy niezależnymi kontrahentami, i był zaniepokojony, kiedy Paley zbył pytanie. Jednak pomimo to był zachwycony, mogąc wypisać zamówienie. Z tego, co wiem, Hitch mógł uratować Tyson Brothers przed bankructwem lub przynajmniej odsunąć tę nieuniknioną godzinę.

W każdym razie wydał więcej pieniędzy w ciągu kilku godzin, niż ja zarobiłem przez cały miniony rok. Zostawił numer dystrybutorowi, powiedział, że ktoś skontaktuje się z nim w sprawie dostawy, pomachał prawą ręką na pożegnanie recepcjonistce i spacerkiem wyszedł na słońce.

- Co wy właściwie robicie...? Kopiecie dół i podświetlacie go? - spytałem, gdy wróciliśmy do vana.

- Jesteśmy trochę bardziej ambitni, Scotty. Zamierzamy zwalić jeden z tych kamieni Kuina.

- Kilkoma spychaczami?

CHRONOLITY

- To tylko uzupełnianie sprzętu. Mamy prawie batalion wojskowych inżynierów i sprzęt gotowy ruszyć, gdy Sue powie jedno słowo.

- Naprawdę chcecie zniszczyć chronolit?
- Sue mówi, że możemy. Tak uważa.
- Który chcecie przewrócić?
- Ten w Wyoming.
- W Wyoming nie ma chronolitu.
- Jeszcze nie ma.

Hitch wyjaśnił mi wszystko tak, jak to rozumiał. Sue dodała szczegóły później. Sulamith Chopra pracowicie spędziła ostatnie kilka lat.

- Ty zostawiłeś to - powiedział Hitch - urządziłeś sobie życie z Ashlee, i chwala ci, Scotty, ale cała reszta nie stała z rękami w kieszeniach tylko dlatego, że ty przestałeś budować nasz kod.

Nie rozumiałem wtedy i nadal nie rozumiem fizyki chronolitów, może z wyjątkiem jej popularnonaukowej wersji. Wiem, że technologia zakłada manipulowanie przestrzeniami Calabi-Yau, które są najmniejszymi częściami składowymi materii i energii, i że używa się techniki zwanej powolną fermioniczną dekohezją, by tego dokonać na praktycznych poziomach energetycznych. Co do tego, co naprawdę zachodzi w gmatwaninie origami czasoprzestrzeni, pozostaję takim samym ignorantem jak noworodek. Mówią, że dziewięciowymiarowa geometria to samoistny język. Ja akurat nim nie mówię.

Ale Sue mówi i myślę, że głębia jej rozumowania była niedoceniana. Rząd federalny traktował ją i jako sprzymierzeńca, i jako przeszkodę, ale jednocześnie nieustannie jej nie

doceniał. Z tak wielką łatwością zajmowała się geometrią Calabi-Yau, że aż zacząłem wierzyć, iż po części żyje w tamtym świecie - zamieszkiwała w tych abstrakcjach tak, jak astronauta mógłby mieszkać na obcej i odległej planecie. Nie ma czegoś takiego jak paradoks, powiedziała mi kiedyś Sue. Paradoks, stwierdziła, to iluzja powstająca, kiedy patrzysz na n-wymiarowy problem przez trójwymiarowe okno.

- Wszystkie części się łączą, Scotty, nawet jeżeli nie widzimy pętli i węzłów. Przeszłość i przyszłość, dobro i zło, tu i tam. Wszystko jest jednym.

W bardziej szczegółowych kategoriach, współpracownikom Sue udało się już stworzyć wydarzenia w turbulencji tau na małą skalę. Ziarenka piasku w porównaniu z chronolitami Kuina oczywiście, ale zasada ta sama. Teraz Sue wierzyła, że zdoła przerwać pojawianie się chronolitu dzięki tej samej manipulacji w fizycznej przestrzeni tam, gdzie chronolit miał się manifestować.

Próbowwała przeprowadzić tę akcję prawie rok, ale globalne systemy monitorujące i przepowiadające lądowania były ściśle tajne albo nieuporządkowane, albo jedno i drugie, trzeba więc było czasu, aby wojskowa biurokracja zbadała jej propozycje i zatwierdziła je. Wyoming był pierwszą okazją... i może ostatnią. A nawet Wyoming nie był wolny od niebezpieczeństw; stał się mekką milicji najrozmaitszych (często nie zgadzających się ze sobą) politycznych frakcji. Dobra wiadomość to szczodre, trzytygodniowe ostrzeżenie o nadejściu plus pełne wojskowe wsparcie. Wysiłków tych nie upubliczniano z obawy przed ściągnięciem jeszcze większej liczby kuinistów; będą utajnione, ale nie pozbawione serca.

Wszystko ładnie i pięknie, powiedziałem Hitchowi, ale to nie wyjaśnia, dlaczego siedzę w tej ciężarówce i słucham czegoś, co brzmi, jak oferta komiwojażera.

- Scotty - rzekł Hitch, poważniejąc. - To żadne naciąganie. Przynajmniej nie z mojej strony. Lubię cię, ale nie jestem przekonany, że przydasz się na coś w tej właśnie ekspedycji. Doceniam wszystko, co tu osiągnąłeś, i Bóg jeden wie, jak trudno jest utrzymać rodzinę w tych czasach, ale potrzebujemy techników i inżynierów, którzy potrafią obsługiwać ciężki sprzęt, a nie kogoś, kto sprzedaje używane rupiecie na pchlim targu.

- Jejku, dzięki.

- Bez urazy. A może się mylę?

- Nie, nie mylisz się.

- To Sue chce, żebyś był z nami, z powodów, o których tylko napomyka.

- Wspomniałeś o strzałce.

- Hmm, to raczej coś w rodzaju zabawy w łączenie kropek na obrazku. Mogę opowiedzieć ci historię?

- Jeżeli będziesz patrzył na drogę. - Połowa ulic w Minneapolis powróciła do stanu sprzed wprowadzenia monitoringu, więc przed kolizją nie chroni nic z wyjątkiem wbudowanego urządzenia w samochodzie. Hitch zbliżył się na tyle do wózka domokrażcy, że rozwrzeszczały się wszystkie alarmy.

- Nie cierpię ruchu - powiedział.

Pół roku temu był w El Paso i pracował dla Sue - śledził groźby zabójstwa, które przychodziły na jej domowy terminal, adres znany jedynie kilku współpracownikom. Teoretycznie za bezpieczeństwo Sue odpowiadał Morris Torrance, ale fi-

zyczną robotę zawsze odwalał Hitch. Miał dobre kontakty w kręgach kuinistycznych i był wystarczająco wiarygodny, by wyrzucić wrażenie na dowolnej liczbie uliczników. Potrafił się bić i bez wątplenia umiał się posługiwać wszelką bronią, chociaż nie pytałem o to.

Morris dotarł do źródła gróźb, jednej z dużych komórek kuinistów działających poza Teksasem, więc Hitch pojechał do El Paso, by wmieszać się w miejscowe armie uliczne.

- Ale popełniłem oczywisty błąd - powiedział. - Zadawałem zbyt szybko zbyt wiele pytań. Ujdzie ci to, jeżeli nastrój jest właściwy. Ale ci Teksasczycy mają, kurwa, paranoję. W jakimś momencie ktoś zdecydował, że stanowią poważne zagrożenie.

W końcu pięciu żołnierzy z oddziałów szturmowych zaciągnęło go na tyły warsztatu samochodowego i przeszukało za pomocą maczety z ząbkami. Hitch podniósł lewą rękę i pokazał mi kikuty kciuka i palca wskazującego. Oba były ucięte poniżej knykcia. Oba starannie zaszyto, ale rana musiała być szarpana. Pomyślałem o tym. Pomyślałem o bólu.

- Niech cię nie skręca - powiedział. - Mogło być gorzej. Udało mi się uciec.

- To wtedy zacząłeś kuleć?

- Kula małego kalibru w tkance mięśniowej. Gdy uciekałem z miejsca zdarzenia. Mieli starodawny pistolet, jakiś dwudziestowieczny złom z przerdzewiałym mechanizmem spustowym. Chodzi jednak o to, Scotty, że poznałem tego, który do mnie strzelał.

- Poznałeś?

- I on mnie też, lub przynajmniej wyglądałem mu znajomo. Gdyby nie był tym trochę wstrząśnięty, mógłby celniej strzelić. To był Adam Mills.

Odskokczyłem od niego niemal instynktownie, przywarłem do drzwi i mimo panującego gorąca oblał mnie zimny pot.

- Niemożliwe - wyszeptałem.

- Niech mnie diabli, jeśli to nie on. Nie zginął w Portillo... musiał uciec z uchodźcami.

- I wpadłeś na niego w El Paso? Tak po prostu?

- To nie jest zbieg okoliczności, jak mówi Sue. To turbulencja tau. Znacząca synchronizacja. Przez Adama dochodzimy do ciebie, Scotty. Adam Mills to strzałka i wskazuje wprost na ciebie.

- Nie przyjmuję tego do wiadomości.

- Nie musisz, jeżeli o mnie chodzi. Też nie chciałem dostać tej kuli w nogę. Jeżeli to ma znaczenie, musiałem zabić paru ludzi, aby przekazać Sue tę informację. Co ona z tego zrozumie, co ty zrozumiesz, to już nie moja sprawa.

- Zabiłeś paru ludzi?

- A co ja właściwie twoim zdaniem robię, Scotty? Podróżuję po kraju i używam moralnej perswazji? Tak, zabijałem. - Potrząsnął głową. - To właśnie mnie denerwuje. Patrzysz na mnie i widzisz wielkiego, barwnego przyjaciela, z którym trzymałeś się w Chumphon. Ale ja już zabiłem człowieka, zanim cię poznałem, Scotty. Sue wie o tym. Handlowałem tam narkotykami, nie sprzętem pływackim. W różnych sytuacjach człowiek się znajduje. Nie miałem i nie mam twojego sumienia. Wiem, że uważasz się za jakiegoś moralnego trędowatego, bo spieprzyłeś sprawę z Janice i Kait, ale w głębi, Scotty, jesteś domatorem. To wszystko.

- To czego Sue chce ode mnie?
- Sam chciałbym wiedzieć.

Marriott nie przyciągał wielu gości w tych czasach zastoju. Sue była sama na basenie, ale Morris Torrance stał na warcie przed wejściem. Spojrzała na mnie z kotłującej się wody w jacuzzi. Miała na sobie ognistoczerwony, jednoczęściowy kostium i żółty, elastyczny czepek. Żaden z tych elementów nie schlebiał jej, ale Sue zawsze była obojętna na modę. Nawet w kąpeli miała na nosie wielkie, staromodne okulary w oprawkach z porysowanego czarnego bakelitu.

- Powinieneś spróbować, Scotty - powiedziała. - To bardzo relaksuje.

- Nie jestem w nastroju.
- Co, Hitch z tobą rozmawiał?
- Tak.

Westchnęła.

- Daj mi chwilę.

Wynurzyła swe gruszkowate ciało z jacuzzi i ściągnęła czepek, a wtedy włosy wyskoczyły jak zwierzę z klatki.

- Może te leżaki pod oknem - zaproponowała - jeżeli nie będzie ci za gorąco w tym ubraniu.

- Nie, jest w porządku - odparłem, mimo że powietrze było jak w tropikach, a do tego cuchnęło chlorem. Ta niewygodność w jakimś stopniu wydawała się stosowna.

Sue rozciągnęła ręcznik kąpielowy i usadowiła się po królewsku.

- Hitch powiedział ci o Adamie Millsie?
- Tak. Jeszcze nie mówiłem o tym Ashlee.
- Nie mów, Scotty.

CHRONOLITY

- Nie mówić Ashlee? Dlaczego? Zamierzasz sama jej to powiedzieć?

- Z pewnością nie i mam nadzieję, że ty też nie powiesz.

- Ash myśli, że on nie żyje. Ma prawo wiedzieć, że to nieprawda.

- Adam żyje, co do tego nie ma wątpliwości. Ale musisz zapytać sam siebie: Czemu miałyby to służyć? Czy rzeczywiście będzie lepiej, gdy Ash dowie się, że Adam żyje i że jest mordercą?

- Mordercą? On?

- Tak. Ustaliliśmy to ponad wszelką wątpliwość. Adam Mills jest oddanym, twardogłowym kuinistą i wielokrotnym mordercą. To zawodowy zabójca pracujący dla jednego z najbardziej zawistnych gangów pro-K w kraju. Myślisz, że Ashlee chciałaby to wiedzieć? Chcesz powiedzieć jej, że jej syn prowadzi życie, przez które zginie albo w niedalekiej przyszłości trafi do więzienia? A jeśli do tego dojdzie, chcesz znowu patrzeć na jej smutek?

Zawahałem się. Stawiałem się na miejscu Ashlee. Gdybym zastanawiał się przez siedem lat, czy Kait przeżyła Portillo, chciałbym usłyszeć każdą wiadomość. Ale Adam to nie Kaitlin.

- Popatrz, co zyskała od czasu Portillo. Pracę, rodzinę, prawdziwe życie... równowagę, Scotty, w świecie, w którym rzadko się to zdarza. Oczywiście ty znasz ją lepiej niż ja. Ale zastanów się dobrze, zanim odbierzesz jej to wszystko.

Postanowiłem odłożyć to na później. Nie to spowodowało mnie tutaj, nie przede wszystkim.

- Odbiorę jej to, jeżeli pojedę z wami na zachód... a Hitch twierdzi, że tego właśnie chcesz.

- Tak, ale tylko na krótko. Scotty, proszę, czy mógłbyś usiąść? Nie lubię mówić, patrząc do góry. Denerwuje mnie to.

Przyciągnąłem drugi leżak i usiadłem przed nią. Za pokrytymi parą szybami miasto piekło się w popołudniowym słońcu. Słońce odbijało się od okien, dachów, naszpikowanych miłą chodników.

- Posłuchaj mnie - powiedziała. - To ważne, więc otwórz umysł, chociaż może być ciężko w tych okolicznościach. Wiem, że wiele przed tobą zatailiśmy, ale proszę, zrozum, musieliśmy uważać. Musieliśmy się upewnić, że nie zmieniłeś stosunku do Kuina... nie, nie obrażaj się, dziwniejsze rzeczy się działy... albo że nie wpadłeś w kręgi zdrajców jak mąż Janice, jak mu tam, Whitman. Morris upiera się, że nikomu nie możemy ufać, ale powiedziałam mu, że ty jesteś w porządku. Ponieważ znam ciebie, Scotty. Jesteś w turbulencji tau prawie od początku. Oboje jesteście.

- Jesteśmy połączeni sekretnym węzłem. Bzdury, Sue.

- To nie bzdury. Nie jest to też bezpodstawne. Przyznaję, że ja to interpretuję, ale zgodnie z matematyką...

- Naprawdę nie obchodzi mnie matematyka.

- To posłuchaj mnie, a powiem ci, co według mnie jest prawdą.

Odwróciła spojrzenie i skupiła wzrok gdzieś w oddali. Nie podobała mi się ta jej mina. Poważna i obojętna, prawie nie-ludzka.

- Scotty - odezwała się - nie wierzę w przeznaczenie. To archaiczne pojęcie. Ludzkie życie jest niemożliwie skomplikowanym zjawiskiem, o wiele mniej przewidywalnym niż życie gwiazd. Jednak wiem także, że turbulencja tau chłapie przypadkowością to tu, to tam po linii czasu. Czy to naprawdę

zbieg okoliczności, że ty i Hitch skończyliście, pracując dla mnie, albo że Adam Mills dzielił z nami turbulencję w Portillo? W każdym razie możesz skonstruować logiczną sekwencję wydarzeń, która jest prawie, ale nie do końca, satysfakcjonującym wyjaśnieniem. Nawiązałam kontakt z Hitchem Paleyem przez wydarzenia w Chumphon, niezupełnie przypadkowo. Poznałeś Ashlee, ponieważ oboje mieliście dzieci zamieszane w ten sam hadź, w porządku. Ale, Scotty, cofnij się i przyjrzyj temu uważniej. To splata się trochę zbyt ładnie. Poprzedzające przyczyny są niewystarczające. Musi istnieć przyczyna następująca.

Na przykład konflikt Hitcha z Adamem. To coś więcej niż zbieg okoliczności. Ale także nie do zinterpretowania.

- To sprawa wiary - powiedziałem cicho.

- Więc popatrz na mnie, Scotty! Popatrz, jaką władzę mam w tych rękach! - Odwróciła dłonie do góry. - Władzę pozwalającą obalić pieprzony chronolit! Dzięki temu jestem ważna. Jestem graczem w rozwiązywaniu tych wydarzeń. Scotty, jestem następującą przyczyną!

- Istnieje coś takiego jak megalomania - zauważyłem.

- Tylko ja tego nie wymyśliłam, żadnego szczegółu! To nie fantazja, że akurat ja rozumiem fizykę chronolitów lepiej niż kogokolwiek na tej planecie... Nie, nie jestem też próżna. To nie fantazja, że ty i Hitch byliście w Chumphon i Portillo ani że ty i ja byliśmy w Jerozolimie. To są fakty, Scotty, i wymagają interpretacji, która sięga poza przypadkowe wydarzenie i ślepy los.

- Po co ci jestem potrzebny w Wyoming?
Zamrugła.

- Ależ nie. Nie potrzebuję cię tam. Prawdopodobnie jesteś bezpieczniejszy tutaj. Ale nie mogę też ignorować faktów. Wierzę - i tak, to intuicja, mało to naukowe, ale nic mnie to nie obchodzi - wierzę, że masz rolę do odegrania w ostatecznej rozgrywce z chronolitami. Na dobre czy na złe, naprawdę nie wiem, chociaż jestem pewna, że nie skrzywdziłyś mnie ani nie przysłużył się interesom Ruina. Chyba byłoby lepiej, gdybyś pojechał z nami, ponieważ masz przy sobie coś specjalnego. Przypadek Adama Millsa jest jak billboard. Chumphon, Jerozolima, Portillo, Wyoming. T y. Może ci się to nie podobać, Scotty, ale odgrywasz ważną rolę. - Wzruszyła ramionami. - W to właśnie wierzę, a wierzę żarliwie. Jeżeli nie zdołam cię przekonać, żebyś pojechał z nami, to nie pojedziesz i może tym właśnie jest nasze przeznaczenie, może tak właśnie jesteśmy powiązani, przez twoją odmowę.

- Nie możesz zrzucić na mnie tego ciężaru.

- Nie, Scotty, nie mogę. - Spojrzała ze smutkiem. - Ale też nie mogę go wziąć na siebie.

Nic z tego nie miało dla mnie sensu. Bez wątpienia za sprawą mojej matki wyrobiłem w sobie zdolność wyłapywania tego, co irracjonalne. Już jako dziecko wiedziałem od razu, kiedy mama zaczynała popadać w obłąd. Rozpoznawałem przesadne zapewnienia, wyolbrzymione mniemanie o sobie, znaki nadchodzącego niebezpieczeństwa.

I to zawsze wywoływało we mnie taką samą reakcję, ucieczkę z tendencją do odrazy, gwałtowne emocjonalne zamrożenie.

- Pamiętasz Jerozolimę? - zapytała Sue. - Pamiętasz tych młodych ludzi, którzy zostali zabici? Często o nich myślę, Scotty. Myślę o tej dziewczynie, która podeszła do mnie w momen-

cie przybycia chronolitu, kiedy turbulencja była najwyższa. Miała na imię Cassie. Pamiętasz, co powiedziała?

- Podziękowała ci.

- Podziękowała mi za coś, czego nie zrobiłam, a potem umarła. Uważam, że mogła być tak głęboko w turbulencji tau, jak każdy może być, że fakt śmierci rozlał się po ostatnich minutach jej życia. Nie wiem dokładnie, dlaczego mi podziękowała, i ona sama też chyba nie wiedziała. Ale musiała coś wyczuć, coś... potężnego. - Odwróciła ode mnie oczy niemal zawstydzona, z takim wyrazem twarzy, który czyni z nas zwykłych ludzi. - Muszę na to zasłużyć - dodała. - Przynajmniej muszę spróbować.

Każda para, która kiedykolwiek się zakochała, ma jakieś specjalne miejsce. Plażę, ogród, ławkę w parku niedaleko biblioteki. Ashlee i ja mieliśmy park kilka przecznic na wschód od naszego mieszkania, zwykły podmiejski park z okolonym betonem stawem dla kaczek, boiskiem i polem do gry w softball. Często tu przychodziliśmy po Portillo, kiedy Ash dochodziła do siebie po stracie Adama, a ja po zerwaniu kontaktów z Sue i jej towarzystwem. Tutaj zaproponowałem jej małżeństwo. Kupiliśmy jedzenie na piknik, ale na horyzoncie pojawiły się nagle chmury burzowe i zaczęło lać, mocno i gwałtownie. Pobiegliśmy aż na boisko do softballu i schroniliśmy się na zadaszonych trybunach. Temperatura spadła, a wilgotny wiatr skłonił Ashlee, aby wtuliła się w moje ramiona. Wielkie wiązki w parku uginały się od wiatru, gałęzie splatały się jak dłonie, a ja wybrałem ten moment, aby poprosić Ashlee, żeby została moją żoną. Pocałowała mnie i powiedziała „tak”. Było tak właśnie, prosto i wspaniale.

Zabrałem ją tam znowu. Miasto stworzyło chyba za dużo takich parków w manii poprawiania urbanistyki na początku wieku. Kilka ponownie zagospodarowano z przeznaczeniem pod tanie budownictwo albo ostatecznie zdewastowano. Ten stanowił wyjątek: ciągle z uporem dopominały się o niego miejscowe rodziny, chroniło go całe mnóstwo lokalnych ordynacji, patrolowali go po zmroku ochotnicy. Przyjechaliśmy tam późnym popołudniem, kiedy zrobiło się chłodniej niż poprzedniego upalnego dnia, w taką porę, którą chcesz złożyć i schować do kieszeni. Nad stawem ludzie urządzali sobie pikniki, maluchy oblegały niedawno odmalowane huśtawki i drabinki.

Usiedliśmy na trybunach boiska do softballu, które nikt nie interesował. W drodze do parku kupiliśmy jedzenie, żyłaste kawałki kurczaka zapiekane w cieście. Ashlee skubała swoje danie apatycznie. Niepokój było widać w każdym jej geście. W moim też. Pierwotnie planowałem (przynajmniej), że powiem jej dzisiaj o Adamie. Ostatnio jednak zrozumiałem, że tego nie zrobię. Była to decyzja podjęta zaocznie, zdecydowanie wynikająca z braku odwagi. Nadal wierzyłem, że Ash zasługuje na to, by wiedzieć, że Adam żyje. Ale Sue też miała rację. Ta wiadomość bardziej by zaszkodziła, niż pomogła. Nie mógłbym zranić Ashlee tak mocno, moje sumienie bardzo protestowało.

Przypuszczam, że los składa się z takich właśnie decyzji, z desek i gwoździ, jak szubienica.

— Pamiętasz tego chłopca? — spytała Ashlee, osuszając usta serwetką. - Tego małego w czasie meczu.

Przyszliśmy tu w pewną sobotę, wkrótce po ślubie. Właśnie rozgrywano mecz małej ligi baseballu; dwóch trenerów i

kilkoro rodziców dzieliło z nami trybuny. Pałkarzem był chłopiec, który wyglądał, jakby odchowano go na stekach i sterydach, taki typ jedenastolatek, który musi się golić przed wyjściem do szkoły. Miotacz, wręcz przeciwnie, był biedaczyną o blond włosach z talentem do rzucania podkręconych piłek, które spadały ostro. Niestety, jedną posłał w górę, poza bazę. Piłka odbiła się od kija i wróciła w stronę miotacza na kopczyku, nim maluch zdążył podnieść rękawicę - coś przy pierwszej bazie przytrzymało jego uwagę - i kiedy odwrócił głowę, został trafiony prosto w skroń. Cisza, potem trochę krzyków i westchnień. Miotacz spojrział na ziemię i upadł, bezwładnie i nagle. Leżał nieruchomo na placku gołej ziemi służącej za kopic miotacza.

A oto dziwna część tej historii. Nie byliśmy ani rodzicami, ani uczestnikami, jedynie przypadkowymi obserwatorami, którzy przyszedli w wolny dzień, ale zadzwoniłem na pogotowie, zanim ktokolwiek z trybun pomyślał, żeby sięgnąć do kieszeni, Ashlee zaś, która przeszła szkolenie pielęgniarstwa, dobiegła na boisko przed trenerem.

Rana nie była poważna. Ash przytrzymała chłopca nieruchomo i uspokajała przerażoną matkę, aż przyjechali sanitariusze. Nic w tym wydarzeniu nie było nadzwyczajnego poza tym, że Ash i ja zareagowaliśmy tak szybko.

- Pamiętam - powiedziałem.

- Czegoś się wtedy nauczyłam - stwierdziła Ashlee. - Nauczyłam się, że oboje jesteśmy przygotowani na najgorsze. Zawsze. Może, na jakimś poziomie, spodziewamy się tego. Ja chyba z powodu mojego ojca. - Ojciec Ashlee był alkoholikiem, co dość często zmusza dziecko do przedwczesnego dojrzewania, i zmarł na raka wątroby, kiedy Ashlee miała ledwie pięć-

naście lat. - Ty z powodu twojej matki. - Oczekiwanie najgorszego... cóż, tak, oczywiście. (Jej głos zabrzmiał na moment w mojej głowie: „Scotty, przestań tak na mnie patrzeć!”)

- Wnioskuje z tego - mówiła Ashlee, starannie dobierając słowa i unikając mojego wzroku - że jesteśmy silnymi ludźmi. Przeszliśmy ciężkie chwile.

Ciężkie jak dziecko-morderca powstałe z grobu?

- Więc jest w porządku - dodała Ashlee. - Ufam ci, Scott. Rób to, co uważasz za słuszne. Nie musisz mi tego przekazywać ogólnie. Wyjeżdżasz z nimi, tak?

- Tylko na krótko - odparłem.

Przejechaliśmy granicę Wyoming w dniu abdykacji gubernatora. Jedna z tak zwanych milicji Omega okupowała legislaturę prawie tydzień, trzymając gubernatora Athertona pośród sześćdziesięciorga zakładników. Gwardia Narodowa ostatecznie oczyściła budynek, jednak Atherton złożył rezygnację, gdy tylko został uwolniony, powołując się na kłopoty zdrowotne. (I to poważne: otrzymał postrzał w lędźwie i doszło do zakażenia.)

Innymi słowy, emocje sięgały wysoko, tutaj, w kraju bezkresnego nieba, ale cały ten polityczny ferment był niewidoczny z drogi. W miejscu, w którym przekroczyliśmy granicę, w szosie pojawiły się dziury, a rozległe rancza po obu stronach zdziczały i wyschły w ślad za cofającym się zbiornikiem Oglalla. Stada szpaków obsiadły zardzewiałe żebra rur irygacyjnych.

- Problem częściowo polega na tym - mówiła Sue - że ludzie postrzegają chronolity jako rodzaj czarów... Ale tak nie jest, to tylko technika, chronolity zachowują się zgodnie z jej zasadami.

Mówiła o nich przynajmniej pięć godzin, chociaż nie tylko do mnie. Uparła się, że będzie prowadzić ostatnią ciężarówkę w konwoju, w której były nasze rzeczy osobiste oraz jej notatki i plany. My - Hitch, Ray i ja - zmienialiśmy się na siedzeniu pasażera. Do swojego moralnego, obsesyjnego zachowania dodała nerwową gadatliwość. Trzeba jej było przypominać, aby jadła.

- Magia jest nieograniczona - powiedziała - albo ograniczona jedynie umiejętnościami tego, który ją praktykuje, czy też zachciankami ponadnaturalnego świata. Za to chronolitom ograniczenia narzuca przyroda, a są one bardzo surowe i idealnie obliczalne. Kuin wysyła swoje monumenty mniej więcej dwadzieścia lat w przeszłość, ponieważ jest to punkt, w którym praktyczne bariery stają się nie do pokonania - choćby trochę dalej wstecz, a wymagania dotyczące energii rosną logarytmicznie, wystrzeliwując w nieskończoność nawet przy bardzo małej masie.

Nasz konwój składał się z ośmiu dużych, zamkniętych ciężarówek wojskowych i szesnastu vanów oraz transporterów piechoty. Przez lata Sue zebrała małą armię osobników o podobnych przekonaniach - zwłaszcza naukowców i absolwentów, którzy zgromadzili sprzęt niezbędny do interwencji w tau - a w tej ekspedycji wspierała ich grupa wojskowych. Wszystkie pojazdy pomalowano na niebieski kolor Unisił, byśmy przypominali zwykły konwój wojskowy, dość powszechny widok nawet na tych wyludnionych zachodnich drogach.

Kilka kilometrów za granicą na sygnał z pierwszej ciężarówki zjechaliśmy na pobocze i ustawiliśmy się w kolejce po benzynę przy samotnej, małej stacji koncernu Słoneczne Paliwa. Sue wyłączyła klimatyzację, a ja otworzyłem okno. Niebo

było bezkresnie błękitne, poznaczone gdzieniegdzie kosmykami wysokich chmur. Słońce sięgało zenitu. Na brunatnej łące wróble wirowały przy starym, przerdzewiałym żurawiu naftowym. W powietrzu czuć było gorąco i kurz.

- Chronolity są ograniczone na wiele sposobów - kontynuowała Sue monotonnym, usypiającym głosem. - Na przykład masa, albo dokładniej, równowartość masy, zważywszy na to, że materiał, z którego są wykonane, nie jest konwencjonalną materią. Wiesz, że żaden chronolit nie miał równowartości masy większej niż dwieście ton metrycznych? Nie z braku ambicji Kuina, na pewno. Zbudowałyby je wielkie do Księżyca, gdyby tylko mógł. Ale znowu, poza pewnym punktem, rachunek za energię rośnie lawinowo. Cierpi na tym także stabilność. Efekty uboczne są bardziej widoczne. Wiesz, Scotty, co stałoby się z chronolitem, gdyby choć o ułamek przekroczył granicę masy?

Odpowiedziałem, że nie wiem.

- Stałby się niestabilny i zniszczyłby siebie. Prawdopodobnie w widowiskowy sposób. Jego geometria Calabi--Yau w pewnym sensie złożyłaby się. Praktycznie rzecz biorąc, byłaby to katastrofa.

Jednak Kuin nie był tak niemądry, aby na to pozwolić. Kuin, rozmyślałem, cały czas był przebiegły. A to nie wróżyło dobrze naszej donkiszotowskiej wyprawie na spalonych słońcem ziemiach zachodnich.

- Napiałabym się coli - powiedziała nagle Sue. - Wyszłam na kość. Przyniósłbyś mi colę ze stacji, jeśli mają jakąś?

Skinąłem głową i wysiadłem z vana na kamieniste pobocze. Ruszyłem wzdłuż rzędu ciężarówek, stojących na jałowym biegu, w stronę stacji Słonecznych Paliw. Samotny posterunek

stacji, stary budynek w kształcie połowy kopuły, chronił mały sklepik i rząd przerdzewiałych zbiorników. Asfalt był oznaczony miniaturowymi pęknięciami. W drzwiach stał staruszek. Zasłaniał oczy dłonią i patrzył na rząd samochodów. Tyłu klientów nie widział chyba przez ostatnie dwa tygodnie, ale nie wyglądał na specjalnie uszczęśliwionego.

Zautomatyzowane moduły obsługujące pracowały pod pierwszą ciężarówką, czyszcząc ją i napełniając paliwem. Kwota do uiszczenia wyświetlana była na wielkim, wiszącym u góry panelu, którego soczewki zmatowiały od słońca, deszczu i piachu.

- Hej - odezwałem się. - Wygląda na to, że nie padało u was od jakiegoś czasu.

Pracownik stacji opuścił rękę i przyjrzał mi się spode łba.

- Od maja - powiedział.
- Macie coś zimnego do picia?

Wzruszył ramionami.

- Wodę sodową. Jakaś tam jest.
- Mogę popatrzeć?

Usunął się z przejścia.

- Twoje pieniądze.

Po upale dnia zacienione wewnątrz wydało mi się niemal zimne. Na półkach nie było specjalnie dużo towaru. W chłodziarce stało kilka puszek coli, piwa imbirowego, oranżady. Na chybił trafił wybrałem trzy napoje. Sprzedawca nabił sprzedaż w kasie, spoglądając na moje czoło tak uważnie, że poczułem, iż mam tam jakiś znak.

- Coś nie tak? - zapytałem.
- Szukam numeru.
- Numeru?

CHRONOLITY

- Numeru Bestii - odparł i wskazał nalepkę na kasie: JESTEM GOTOWY NA EKSTAZĘ! A TY?

- Jestem gotowy co najwyżej na zimne picie.

- Tak myślałem.

Wyszedł za mną ze sklepu i spojrzał spod opuszczonych powiek na rząd ciężarówek.

- Wygląda na to, że cyrk zwałił się do miasta. - Splunął bezwiednie w pył drogi.

- Jest gdzieś klucz do ubikacji?

- Na haczyku z boku. - Wskazał kciukiem w lewo. - Okaż łaskę i spuść wodę, jak skończysz.

Miejsce kolejnego przybycia chronolitu - określone przez system satelitów i potwierdzone terenowymi pomiarami promieniowania - było tak enigmatyczne i tak niepojęte jak wiele innych miejsc lądowań chronolitów. Wiejskie, małomiasteczkowe lub powodujące względnie mało zniszczeń chronolity zasadniczo określano mianem „strategicznych”, natomiast te niszczące miasta, jak monumenty z Bangkoku czy Jerozolimy, były „taktyczne”. Można dyskutować, czy takie rozróżnienie miało znaczenie, czy było przypadkowe.

Monument z Wyoming najwyraźniej należał do kategorii „strategicznych”. Wyoming to zasadniczo jałowa wyżyna przecinana górami - „kraj dużych wysokości i małego zaludnienia”, jak nazywał go gubernator z dwudziestego wieku. Jego przemysł naftowy i hodowla bydła właściwie nie były zagrożone przez Kuina, a w każdym razie miejsce zapowiadanego przybycia nie obejmowało żadnej z tych dziedzin - zupełnie niczego nie obejmowało, poza zabudowaniami gospodarskimi i norami piesków preriowych. Najbliższa miejscina to wioska z urzędem pocztowym, Modesty Creek, dwadzieścia pięć kilo-

metrów dwupasmową asfaltówką biegnącą przez brązowe łąki, poznaczone bazaltowymi skałami i grupami balsamicznych topoli. Przemierzaliśmy tę podrzędną drogę z bezpieczną prędkością, a Sue darowała sobie swój monolog, aby podziwiać falujące bylice i pokrzywy.

Zapytałem ją, jaki sens miałyby chronolit w takim miejscu.

- Nie wiem - odpowiedziała. - Ale to dobre i sensowne pytanie. Musi coś oznaczać. To tak, jakby podczas partii szachów przeciwnik nagle wycofał swojego gońca na samą krawędź, bez wyraźnego powodu. Albo jest to niezrozumiale głupi błąd, albo fortel.

Zatem fortel - odwrócenie uwagi, fałszywe zagrożenie, prowokacja, wabik. Jednak nie miało to znaczenia, twierdziła Sue. Bez względu na cel, jakiemu miał służyć chronolit, my i tak powstrzymamy jego przybycie.

- Ale przypadkowość jest niezmiernie pogmatwana - przyznała. - Mocno zasupłana i wtórnie skomplikowana. Kuin ma przewagę, gdyż zna przeszłość. Może działać przeciwko nam na sposoby, których nie potrafimy przewidzieć. Bardzo mało wiemy o nim, za to on może wiedzieć dużo o nas.

Przed nocą wszystkie pojazdy zjechały z drogi. Zwiad znalazł już miejsce lądowania i oznaczył je palikami oraz żółtą taśmą. Było jeszcze na tyle jasno, że Sue poprowadziła kilku z nas na pobliskie wzniesienie i stamtąd spojrzeliśmy na łąkę, tak prozaiczną jak grunt pod centrum handlowe. Teren był dziki - pierwotnie była to prywatna działka, nigdy nie uprawiana i rzadko odwiedzana. Po zmierzchu miejsce stawało się ponure, pagórkowata preria ograniczona na wschodzie stromym urwiskiem. Gleba była kamienista, bylice szare pod koniec suchego lata. Panowałyby tu całkowita cisza, gdyby nie

zespół techniczny pompujący powietrze do kilkunastu ram nadmuchiwanych baraków.

Na skraju urwiska, na tle blednącego błękitu nieba, stała antylopa. Uniosła łeb, wyczuła nas i oddaliła się truchtem.

Ray Mosely podszedł od tyłu do Sue i chwycił ją za ramię.

Czuć to jakby, prawda? - zagadnął.

Miał na myśli turbulencję tau. Jeżeli tak było, to ja byłem na nią uodporniony. Może w powietrzu delikatnie pachniało ozonem, ale to, co odbierałem na pewno, to chłodny wiatr wiejący mi w plecy.

- To ładne miejsce - odezwała się Sue. - Ale surowe.

Rano zapełniliśmy je spychaczami i równiarkami i usunęliśmy cały ten czar.

Publiczna sieć telekomunikacyjna, jak wiele innych elementów cywilnej infrastruktury, została ostatnio zaniedbana. Satelity spadały z orbit i nie zastępowano ich nowymi. Światłowody starzały się i pękały. Stare kable miedziane były podatne na działanie czynników atmosferycznych. Pomimo to następnego wieczoru miałem dosyć szczęścia i połączyłem się z Ashlee.

Nasz pierwszy dzień na tym wykopalisku był bardzo pracowity, ale zaskakująco produktywny. Obsługa techniczna wyznaczyła środek miejsca lądowania, a wojskowe siły inżynierskie wyrównały tam teren i wylały betonową płytę, która miała służyć jako fundament dla urządzenia zmieniającego tau, nazwanego w skrócie „rdzeniem”. Nie był to oczywiście rdzeń nuklearny w konwencjonalnym znaczeniu, ale ten fragment egzotycznego materiału, z którego go zrobiono, miał stworzyć podobną osłonę, cieplną i magnetyczną.

Mniejsze fundamenty wylano pod kilkanaście zapasowych generatorów spalinowych, które zasilaly nasze oświetlenie i sprzęt elektroniczny. Przed drugim zachodem słońca zmieniliśmy nasz zapomniany masyw w teren przemysłowy, niemal tak ponury jak w epoce wiktoriańskiej, wystraszyliśmy zaskakującą liczbę zajęcy, piesków preriowych i węży. Nasze lampy płonęły w ciemnościach niczym starożytne ogniska strażnicze Kruków lub Czarnych Stóp, Siuksów lub Czejenów; w powietrzu czuć było ropę i plastik.

Sue nakazała mi trzymać wartę, ale tylko po to, żebym miał jakieś zajęcie, które zamieniłem na mniej chwalebne, za to nieskończenie bardziej użyteczne kopanie latryn i przywożenie wapna. Tuż przed zachodem słońca, odrętwiały z wyczerpania, zabrałem mój przenośny terminal na wzniesienie ponad urwiskiem i nawiązałem łączność z Ashlee. Pasma wystarczało na kontakt głosowy, bez wizji, ale to nic. Musiałem usłyszeć jej głos.

Powiedziała, że wszystko jest w porządku. Zaliczka od Hitcha wystarczyła na część rachunków, które dawno trzeba było zapłacić. Zabrała nawet Kaitlin na kilka filmów. Nie rozumiała, dlaczego koniecznie Morris Torrance musiał zostać i jej pilnować - siedział w samochodzie przed domem. W niczym nie przeszkadzał, mówiła, ale przez to czuła się, jakby była pod nadzorem.

Bo była. Sue martwiła się, że kuinistyczne elementy mogły ją wysledzić w Minneapolis, toteż uparłem się przy ochronie dla Ash - co przyjęło formę szacownego, ale dobrze wyszkolonego Morrisa Torrance'a, który niechętnie wykonywał te obowiązki. Nie chciałem zostawić Ashlee bez opieki, jeżeli istniał choćby cień zagrożenia; Sue wybrała Morrisa.

CHRONOLITY

- Fajny z niego gość - powiedziała Ash - ale to trochę denerwujące, kiedy mnie śledzi.

- Tylko do mojego powrotu - odparłem.
- To za długo.
- Pomyśl, że to zapewni mi spokój umysłu.
- Pomyśl, że to powód, abyś jak najszybciej wrócił.
- Jak tylko będę mógł, Ash.
- No to jak jest w... Wyoming?

Nie dosłyszałem sylaby czy dwóch, ale zrozumiałem sens.

- Szkoda, że tego nie widzisz. Słońce właśnie zaszło. Powietrze pachnie bylicą. - Czuć było ropą, wapnem i rozgrzanym metalem, ale wołałem skłamać. - Niebo jest prawie takie śliczne jak ty.

- ...Gównno.
- Spędziłem dzień na kopaniu latryn.
- To bardziej prawdopodobne.
- Tęsknię za tobą, Ashlee.

- Ja za tobą też. - Przerwała. Rozległ się odgłos, jakby dzwonek alarmu gdzieś w domu. Ash dodała: - Chyba ktoś jest przy drzwiach.

- Zadzwońię do ciebie jutro.
- ...Jutro - powtórzyła jak echo i połączenie zerwało się.

Jednak następnego dnia nie mogłem się do niej dodzwonić. Nie mieliśmy połączenia na wschód od Dakoty, pomimo całego tego sprzętu funkcjonującego jeszcze w sieci. Musiały się zepsuć węzły serwerów, powiedział mi Ray Mosely, może w wyniku kolejnego kuinistycznego sabotażu.

To właśnie ze względu na problemy z komunikacją guru od mediów w Departamencie Obrony postanowił zawiadomić prasę dzień wcześniej, niż planowaliśmy. Sporo reporterów

sieci wizyjnej ciągle zajmowało się niepokojami w Cheyenne, ale dotarcie do Modesty Creek - gdzie ich potrzebowano - zajęło im przynajmniej dwadzieścia cztery godziny.

Następnej nocy technicy ustawili krąg jasnych do bólu siarkowych punktowców. Pracowaliśmy, aż powietrze zrobiło się zimne i Wzeszedł księżyc. W suchej ziemi, półtora kilometra od miejsca lądowania, kopaliśmy schron, zakopywaliśmy kable i rozwijaliśmy olbrzymie ilości ogrodzenia. Siatka miała zatrzymać zarówno gapiów, jak i kuinistów, na wypadek gdyby któryś się rozochocił. Hitch uważał, że zatrzyma najwyżej antylopy, żadnych większych ssaków, jeżeli nie postawi się przed nią uzbrojonych strażu. Ale to też mieliśmy.

O świcie, z krwawiącymi dłońmi, wczołgałem się na pryczę. Oblężenie miało się zacząć.

Do tej pory okolica należała do nas. Już wkrótce będzie z nami cały świat. I wszystko, co to oznaczało. Nie tylko dziennikarzy, ale i wszelkiej maści kuinistów - chociaż mieliśmy nadzieję, że odizolowane miejsce i brak wcześniejszego powiadomienia wstrzyma gigantyczny hadź. (- To nasz hadź - powtarzała Sue. - Należy do nas.)

Tak więc nasi żołnierze z Unisił rozstawili się wokół ogrodzonego miejsca i wzdłuż urwiska, a my powiadomiliśmy władze stanowe i patrole drogowe, które bardzo unieszczęśliwiło ujawnienie naszej pracy. Nie mieli jednak władzy, by nas zamknąć. Ray Mosely obliczył, że zostało nam najwyżej dwanaście godzin, nim zaczną się zjawiać pierwsi przybysze. Udało się nam już wznieść wielką, podobną do dźwigu konstrukcję nad wylanym fundamentem, która przytrzyma rdzeń tau.

Umocowaliśmy i sprawdziliśmy dodatkowy sprzęt, ale jeszcze nie skończyliśmy.

Sue kręciła się przy wielkiej platformie z samym rdzeniem, nadzorując techników, aż Ray i ja odwołaliśmy ją na lunch. Połykaliśmy wojskowy prowiant pod namiotem, a Ray czytał nam plan. Prace wyprzedzały harmonogram, co częściowo uspokoiło obawy Sue. Przynajmniej na krótko. Sue była, jak nazywają to lekarze, „pobudzona”. Właściwie miała wszelkie objawy zbliżającego się załamania nerwowego. Poruszała się niespokojnie i bez celu, bębniła palcami, mrugała, przyznała się do braku snu. Nawet podczas rozmowy odwracała spojrzenie w stronę miejsca instalacji rdzenia i połyskującej stali rusztowania. Bez przerwy mówiła o projekcie. Najbardziej bała się, że możemy nie zdążyć albo że chronolit przybędzie przedwcześnie.

- Nie chodzi o to, co robimy tutaj - mówiła - ale o to, jak nas zobaczą. Nie odniesiemy sukcesu, dopóki świat nie zobaczy, że go odnieśliśmy.

(Pomyślałem, jaka to krucha trzcina. Mieliśmy jedynie zapewnienie Sue, że zniszczenie chronolitu w momencie przybycia może przeważać szalę w tej nieoficjalnej wojnie - zdestabilizować pętlę sprzężenia zwrotnego, na której najprawdopodobniej polegał Kuin. Ale ile z tego było kalkulacją, ile zaś pobożnym życzeniem? Dzięki swej pozycji i sile perswazji Sue potrafiła porwać nas, pełna matematycznego autorytetu i dogłębnego zrozumienia turbulencji tau. Jednak to nie znaczyło, że koniecznie ma rację. Czy nawet, że jest przy zdrowych zmysłach.)

Po lunchu patrzyliśmy, jak grupa tragarzy i operator dźwigu podnoszą rdzeń tau ze skrzyni i osadzają go delikatnie,

jakby to był sprasowany dynamit. Rdzeń był kulą o średnicy trzech metrów, anodyzowany na czarno i nafaszerowany elektronicznymi złączami oraz gniazdkami na kable. Z tego, co powiedziała mi Sue, w zasadzie była to magnetyczna butla zawierająca niezwykłą formę zimnej plazmy. Po aktywacji rdzenia zestaw wewnętrznych urządzeń wysokoenergetycznych zainicjuje fermionową dekohezję i powstanie kilka prawie całkowicie pozbawionych masy cząstek materii nieokreślonego tau.

Ten materiał, twierdziła Sue, wystarczy, by zdestabilizować przybywający chronolit, który będzie chciał zająć swoje miejsce. Co to oznaczało, nadal było niejasne, przynajmniej dla mnie. Sue powiedziała, że interakcja współzawodniczących przestrzeni tau będzie gwałtowna, ale nie „nadmiernie silna”, to znaczy prawdopodobnie nie zmiecie całego hrabstwa Modesty i nas razem z nim. Prawdopodobnie.

Przed zachodem słońca rdzeń znalazł się na miejscu i został połączony z naszą elektroniką wiązką światłowodów oraz przewodników w osłonie z ciekłym azotem. Nadal mieliśmy wiele do zrobienia, ale ciężkie prace ziemne były zasadniczo skończone. Cywile uczcili to stekami z grilla i szczodrymi racjami butelkowanego piwa. Grupa starszych inżynierów zebrała się po obiedzie na poboczu drogi, rozmawiając o lepszych dniach i śpiewając stare piosenki

Lux Ebone (ku sporej irytacji młodych żołnierzy z Unisił). Przyłączałem się do chórków.

Tej nocy ponieśliśmy pierwsze straty. Byliśmy rzeczywiście odizolowani, ale trafiał się jakiś ruch na wiejskiej dwupasmówce, którą tu dotarliśmy. Wzdłuż drogi, na północ i południe, byli nasi ludzie, żołnierze z pomarańczowymi opaskami

na rękach, jak robotnicy drogowi. Trzymali pochodnie i machali na każdego, kto okazywał bardziej niż przypadkowe zainteresowanie naszymi ciężarówkami i sprzętem. Ta strategia jak dotąd dobrze się sprawdzała.

Jednak wkrótce po wschodzie księżyca na północnym wzniesieniu jakiś człowiek wyłączył światła i silnik w swoim zielonkowym landau i zjechał bezgłośnie w nasz rozgardiasz. Był zaledwie piętnaście metrów od głównej ciężarówki, w cieniu, gdzie obozowe światła zaczynały przygasać. Wsiadł na żwirowe pobocze, tyłem do dwóch zbliżających się strażników, a kiedy się odwrócił, odsłonił ciężki, nieokreślony kształt, który okazał się strzelbą starożytnej proweniencji. Wystrzelił do ludzi z Unisił, zabijając jednego, a drugiego oślepiając.

Szczęściem, szefem ochrony była tej nocy bystra i dobrze wyszkolona Marybeth Pearlstein, która widziała wszystko ze stanowiska obserwacyjnego dwadzieścia metrów w górę drogi. Ledwie kilka sekund później wyszła zza zderzaka najbliższej ciężarówki z wycelowanym karabinem i jednym strzałem zdjęła napastnika. Okazał się nim kuinistyczny narwaniec dobrze znany miejscowej policji. Okręgowy koroner przyjechał po dwóch godzinach i zabrał ciała; ocalały pojechał karetką do ośrodka zdrowia. Moim zdaniem mogło skończyć się śledztwem, gdyby wydarzenia potoczyły się inaczej.

Nie wiedziałem natomiast, że... To znaczy, dowiedziałem się później... Przepraszam, do diabła z tymi głupimi i nieefektywnymi słowami. Słyszycie, jak wściekłość wyrwana z ziemi po zbyt wielu latach chrześci pod zadrukowaną stroną? Nie wiedziałem, że kilku ludzi z teksaskiej milicji pro-K - tych, którzy obcięli Hitchowi dwa palce -

- Chyba nie. Ale ten sposób, w jaki mówi. Wiesz, o co mi chodzi. Robi się nieugięta. Można by się zastanawiać...

- Czy jest przy zdrowych zmysłach?

- Czy logika, która nas tu sprowadziła, nie ma słabych punktów, jak ona uważa.

Ray zdawał się to rozpatrywać. Schował ręce do kieszeni i uśmiechnął się żałośnie.

- Możesz zaufać matematyce.

- Nie martwię się matematyką. Nie dla matematyki tu przyjechaliśmy, Ray. Minęliśmy ją dziesięć albo piętnaście okrążeń wiary temu.

- Chcesz powiedzieć, że jej nie ufasz?

- A jakie to ma znaczenie? Czy uważam, że jest z nami szczerą? Tak. Czy uważam, że chce dobrze? Oczywiście, że tak. Ale czy ufam jej osądowi? W tym momencie nie jestem pewien.

- Zgodziłeś się przyjechać tu z nami.

- Ona potrafi być przekonująca.

Ray zamilkł i spoglądał w ciemność, poza rdzeń tau w stalowym rusztowaniu, na krzewy, trawy i gwiazdy.

- Pomyśl o tym, z czego zrezygnowała, Scott. Pomyśl, jak mogłaby żyć. Mogłaby być kochana. - Uśmiechnął się nieznaicznie. - Wiem, że widać, co do niej czuję. I wiem, jakie to śmieszne. Jak kurewsko pajacowate. Jakie głupie. Ona nawet nie jest heteroseksualna. Ale gdyby nie ja, mógłby to być ktoś inny. Jedna z tych kobiet, z którymi się umawia, a potem je ignoruje, które pojawiają się i znikają z jej życia jak zużyta rolka filmu. Ale ona odpychała te kobiety, bo praca była dla niej ważna, a im ciężiej pracowała, tym praca stawała się ważniejsza. Teraz oddała się jej całkowicie, to jest jej miejsce. Każdy

krok, jaki kiedykolwiek zrobiła, przybliżał ją do tego miejsca. Na pewno właśnie się zastanawia, czy się nie pomyliła.

- Więc jesteśmy jej winni kredyt zaufania?

- Nie - odparł Ray. - Jesteśmy jej winni coś więcej. Naszą lojalność.

Zadowolony jak zawsze, że miał ostatnie słowo, zawrócił i ruszył do obozu. Zostałem w tyle. Stałem oniemiały między księżycem a reflektorami. Z daleka rdzeń tau wydawał się mały. Bardzo mały, jak na taki wielki wynik.

Kiedy wreszcie zasnąłem, spałem dobrze i długo. Obudziłem się w południe, pod przezroczystym dachem nadmuchiwanego namiotu, sam, jeśli nie liczyć kilku członków ochrony wyczerpanych nocną służbą. Nikt nie pomyślał, aby mnie obudzić. Wszyscy byli zbyt zajęci.

Wyszedłem z cienia namiotu na prażące słońce. Niebo było oślepiająco jasne, pasemko błękitu między prerią a słońcem. Jednak natychmiast uderzył mnie hałas. Jeżeli kiedykolwiek byliście w pobliżu stadionu podczas meczu, znacie ten odgłos, ten ryk zmasowanych ludzkich głosów.

Przy namiocie z prowiantem znalazłem Hitcha Paleya.

- Więcej prasy, niż potrzebujemy do szczęścia, Scotty - przywitał mnie. - Jest ich cały tłum, blokują drogę. Zawołaliśmy drogówkę, żeby usunęła ich z jezdni. Wiesz, że już potępiono nas w Kongresie? Ludzie chowają tyłki, na wypadek gdyby nam się nie udało.

- Myślisz, że mamy szansę?

- Może. Jeżeli dadzą nam czas.

Jednak nikt nie chciał dać nam czasu. Milicje kuinistów przybywały ciężarówkami, a następnego ranka strzelanina rozpoczęła się na dobre.

Wiem, jak pachnie przyszłość. To znaczy przyszłość narzucona przeszłości; przeszłość i przyszłość pomieszane niczym dwie nieszkodliwe substancje, z których po połączeniu powstaje trucizna. Przyszłość pachnie jak zasadowy pył i zjonizowane powietrze, jak gorący metal i lodowiec. A nie jak kordyt.

Noc była względnie spokojna. W dzień przybycia obudziłem się po męczącym śnie na dźwięk sporadycznych strzałów. Były na tyle bliskie, że ubrałem się pospiesznie. Hitch znowu siedział w namiocie z prowiantem, gdzie spokojnie jadł zimną fasolę z papierowego talerza.

- Siadaj - powiedział. - Wszystko jest pod kontrolą.

- Nie wygląda na to.

Przeciągnął się i ziewnął.

- To co słyhać, to banda kuinistów na drodze na południu. Rozmawia z naszą ochroną. Niektórzy z nich są uzbrojeni, ale chcą jedynie postrzelać w powietrze i pogrozić pięścią. Zasadniczo to gapie. Mamy też jednak równie dużo dziennikarzy, którzy chcą podejść bliżej niż do ogrodzenia. Unisiły próbują się z nimi uporać. Sue chce, żeby byli blisko miejsca lądowania, ale nie za blisko.

- Więc jak blisko jest za blisko?

- To interesujące pytanie. Studenci i inżynierowie skupili się przy bunkrze. Prasa usadowiła się trochę dalej na wschód.

Tak zwany bunkier był okopem z drewnianym zadaszaniem, półtora kilometra od rdzenia. Sue ustawiła w nim sprzęt do monitorowania i zainicjowania wydarzenia tau. Okop wyposażono w grzejniki, by chociaż trochę ochronić się przed

uderzeniem zimna, a po uwzględnieniu najgorszego scenariusza bunkier był też odporny na ogień z broni małego kalibru.

Sam rdzeń pozostawał absurdalnie odsłonięty, ale Unisiły poprzysięgły bronić go, dopóki utrzymają nasze stanowisko. Dobra wiadomość była taka, że ta zbieranina kuinistów na drodze (według Hitcha) nie miała przewagi.

- Może nam się udać, Scotty - powiedział. - Przy odrobinie szczęścia.

- Jak się czuje Sue?

- Nie widziałem jej od wschodu słońca, ale... Jak się czuje? Podniecona jak diabli, tak się czuje. Nie zdziwiłbym się, gdyby jej żyła pękła. - Spojrzał na mnie dziwnie. - Powiedz mi coś. Jak dobrze ją znasz?

- Znam ją, odkąd byłem studentem.

- Tak, ale jak dobrze? Ja też długo dla niej pracuję, ale nie mogę z ręką na sercu powiedzieć, że ją znam. Mówi o swojej pracy... i tylko o tym, przynajmniej ze mną. Czy ona jest kiedykolwiek samotna, przestraszona, zła?

Ta rozmowa wydała mi się niezręczna, zwłaszcza przy grzechocie wystrzałów karabinowych.

- O co ci chodzi?

- Nic o niej nie wiemy, ale jesteśmy tutaj i robimy to, co nam każe. To mnie uderza, kiedy o tym myślę.

Też mnie to uderzyło, przynajmniej w tym momencie. Co ja tu robię? Nic, tylko ryzykuję życie, zdecydowanie nic pożytecznego. Ale Sue nie powiedziała by tego. Czekasz na swój czas, to by powiedziała. Czekasz na turbulencję.

Pomyślałem o tym, co Hitch powiedział mi w Minneapolis, o jego beznamietnej deklaracji, że zabijał ludzi.

- Jak dobrze my się znamy?

- Zimniej jest dzisiaj rano - stwierdził Hitch. — Nawet w słońcu. Zauważyłeś?

Kilka dni wcześniej Adam Mills zjawił się pod drzwiami swojej matki z pięcioma podejrzanymi typami i ukrytym arsenałem. Nie będę się tym zajmował. Adam oczywiście cierpiał na psychozę. Psychozę kliniczną. Widoczne były wszystkie symptomy. Nie był towarzyski, kłócił się, lecz w pewien perwersyjny sposób był naturalnym przywódcą. Jego umysłowy wszechświat przypominał zagracony strych zużytej ideologii i krzykliwej fantastyki, a wszystko skupiało się wokół Kuina lub jego wyobrażenia Kuina. Nigdy nie stworzył naturalnych, ludzkich więzów z rodziną lub przyjaciółmi. Z tego, co było widać, nie miał sumienia.

Ashlee, w posepniejszym nastroju, obwiniała się za to, kim stał się Adam, ale on był wytworem chemii własnego mózgu, nie wychowania. Genom i proste badania krwi określiłyby problem we wczesnym stadium. Można nawet było go leczyć, przynajmniej w ograniczonym stopniu. Ashlee jednak nigdy nie miała pieniędzy na tego rodzaju kosztowną interwencję.

Nie potrafię sobie wyobrazić, ani nawet nie próbuję, co Ashlee musiała znieść przez te kilka godzin z Adamem. W końcu ujawniła miejsce lądowania w Wyoming i to, że byłem tam z Hitchem Paleyem i Sue Choprą... oraz to, że głównym wydarzeniem miała być próba unicestwienia chronolitu.

Nie trzeba jej za to winić.

W rezultacie Adam otrzymał sprawdzoną informację o kamieniu Kuina i o naszych próbach zniszczenia go czterdzieści osiem godzin przed tym, jak wiadomość dotarła do prasy.

Natychmiast ruszył na zachód, ale zostawił dwóch swoich ludzi, aby powstrzymali Ashlee przed wykonaniem niestosownych telefonów. Mógł ją po prostu zabić, lecz zdecydował się trzymać w rezerwie, może jako zakładniczkę. Chociaż źle się stało, nie było najgorzej. Najgorsze, że Kaitlin przyszła tam niedługo po wyjeździe Adama, nadal nie wiedząc, co się stało z Janice, i chcąc wybrać się z Ashlee na lunch albo do kina.

Statystyczne pomiary promieniowania o niskich poziomach udoskonalono od czasów Jerozolimy i Portillo. Ludzie Sue potrafili znacznie dokładniej określić moment lądowania. Jednak nie musieliśmy odliczać, by wyczuć to w powietrzu.

Oto, jaka była sytuacja, kiedy wygramoliłem się z bunkra, by po raz ostatni zaczerpnąć świeżego powietrza, jakieś dwadzieścia minut przed aktywacją rdzenia. Na południu, na szosie, nadal trwała wymiana ognia, sporadycznie strzelano także w różnych punktach przy ogrodzeniu. Jak dotąd miejscowej i federalnej policji udawało się powstrzymywać kuinistów - w Wyoming sporo było antykuinistycznych sentymentów od czasu ataku na Dom Stanowy, tak wśród cywili, jak i policjantów. Jednego z żołnierzy Unisił postrzelił milicjant z Omegi, który próbował pokonać ogrodzenie wozem terenowym, a czterech uzbrojonych kuinistów z nieznannej organizacji zabito podczas próby szturmowania na północny punkt kontrolny tego popołudnia. Od tej pory były tylko gesty i nieliczne aresztowania - chociaż tłum ciągle się powiększał.

Sue pozwoliła grupie dziennikarzy rozstawić sprzęt nagrywający spory kawałek za bunkrem, a ja widziałem ich z miejsca, gdzie stałem - sznur ciężarówek i trójnogów, mniej więcej w odległości boiska piłkarskiego na wschód. Dużo było tam ludzi, w większości skierowanych tu z Cheyenne. Repre-

zentowali wszystkie główne agencje informacyjne i sporo, bardziej szacownych, niezależnych. Choć było ich tak wielu, zdawali się ginać w brązowej przestrzeni. Drugi kontyngent niezależnych dziennikarzy rozstawił sprzęt na urwisku, ponad miejscem lądowania, trochę bliżej, niż się to podobało Sue, ale nasz łącznik z mediami nazwał tych ludzi „bardzo oddanymi i stanowczymi” - czyli upartymi i głupimi. Widziałem też krawędź skały najeżoną ich kamerami.

Wielu naszych robotników i operatorów maszyn opuściło już to miejsce. Pozostali inżynierowie i naukowcy byli stłoczeni w bunkrze albo przyglądali się wszystkiemu spoza linii dziennikarzy. Rdzeń tau wisiał na stalowej ramie ponad betonowym fundamentem niczym wielkie czarne jajo. Obłok kurzu w niedużej odległości to Hitch Paley w ostatniej ciężarówce pierwotnego konwoju, zmierzający wyrównanym dojazdem od szosy do bunkra. Wszystkie wozy były zabezpieczone przed zimnem.

Dawało się także odczuć chłód tau, ostrzegawcze zimno w powietrzu - i nie tylko zimno powietrza, ale wszystkiego: ziemi, powietrza, ciała, krwi i kości. W tej fazie straciliśmy jedynie ułamek stopnia. Wstrząs cieplny dopiero się zbliżał, ale był już wyczuwalny, delikatne mrowienie na skórze.

Wyjąłem telefon i po raz kolejny spróbowałem dodzwonić się do Ashlee. Nie uzyskałem połączenia, tak jak w większości wypadków w minionym tygodniu. Czasami ogólnie system nie przekazywał wiadomości, a czasami (jak teraz) był jedynie pusty ekran i szept zniekształconej fonii. Schowałem telefon.

Zdziwiłem się, kiedy Sue Chopra otworzyła stalowe drzwi bunkra i stanęła za mną. Twarz miała bladą i najwyraźniej drżała. Zasłoniła oczy przed słońcem.

- Nie powinnaś być tam, na dole? - zapytałem.
- Wszystko dzieje się już mechanicznie - odparła. - Samoczynnie.

Potknęła się o korzeń, a ja złapałem ją pod ramię. Było zimne.

- Scotty - powiedziała, jakby właśnie mnie rozpoznała.
- Weź głęboki wdech - powiedziałem. - Dobrze się czujesz?

- Jestem tylko zmęczona. I nic nie jadłam. - Potrząsnęła dziwnie głową. - Ciągłe przychodzi mi do głowy to pytanie... Czy coś mnie tutaj sprowadziło, czy może sama przyjechałam? To jest dziwne w turbulencji tau. Daje nam przeznaczenie. Ale to przeznaczenie bez boga. Przeznaczenie, za które nikt nie jest odpowiedzialny.

- Chyba że jest to Kuin.

Zmarszczyła brwi.

- Och, nie, Scotty. Nie mów tego.
- Już niedługo. Jak to wygląda na dole?
- Jak mówiłam. Niczym w maszynie. Dobrze, solidnie. Masz rację, muszę wracać... ale pójdziesz ze mną?
- Dlaczego?

- Bo na zewnątrz jest dość wysokie promieniowanie jonizujące. Jakbyś robił sobie prześwietlenie płuc co dwadzieścia minut. - I wtedy się uśmiechnęła. - Ale głównie dlatego, że twoja obecność mnie uspokaja.

To był wystarczająco dobry powód i poszedłbym z nią, ale wtedy poczułem grzmot odległej eksplozji. Znowu rozpo-

częła się strzelanina, tym razem jednak o wiele bliżej, niż powinna.

Sue instynktownie padła na kolana. Ja stałem jak idiota. Strzały zaczęły się staccato, ale natychmiast przeszły w prawie nieprzerwany potok. Ogrodzenie (i duża brama) było kilka metrów za nami. Spojrzałem tam i zobaczyłem, jak żołnierze Unisił kryją się i unoszą karabiny, ale źródło ognia nie od razu było widoczne.

Sue skupiła wzrok na urwisku. Podążyłem tam spojrzeniem. Z punktu obserwacyjnego Unisił unosiła się smużka dymu.

- Dziennikarze - wyszeptała Sue.

Oczywiście nie byli to dziennikarze. Byli to kuiniści - grupa milicjantów na tyle bystrych, że porwali wóz telewizyjny przed Modesty Creek, i na tyle inteligentnych, że wzięto ich przy bramie za reporterów. (Pięciu prawdziwych dziennikarzy znaleziono później pobitych i uduszonych w krzakach trzydzieści kilometrów w dół drogi.) Kilkunastu gorzej prezentujących się kuinistów przemyciono w nie oznakowanych wozach jako techników. Broń skutecznie ukryli pośród obiektów, aparatury nadawczej i innego sprzętu.

Ludzie ci zainstalowali się na skarpie ponad rdzeniem tau, obok punktu obserwacyjnego Unisił. Kiedy zobaczyli, że Hitch sprowadził ostatnią ciężarówkę do bunkra, zrozumieli, że nadejście jest bliskie. Zniszczyli posterunek Unisił materiałem wybuchowym, pozdejmowali tych, którzy przeżyli, a potem skupili wysiłki na rdzeniu.

Widziałem chmurki dymu z ich karabinów, słabe na tle niebieskiego nieba. Byli zbyt daleko od rdzenia, aby dokładnie wycelować, ale tam, gdzie ich kule odbijały się od stalowego

rusztowania, leciały iskry. Za nami żołnierze Unisił pilnujący bramy zaczęli odpowiadać ogniem i wezwali pomoc przez radio. Niestety, większe siły skoncentrowane były przy południowej bramie i te właśnie motłoch kuinistów zaczął zawzięcie ostrzeliwać. Kucnąłem przy Sue, chociaż zrobiłem to późno.

- Rdzeń ma dużo tarcz...

- Rdzeń tak, ale przewody i złącza są odsłonięte... instrumenty, Scotty!

Wstała i pobiegła do bunkra. Nie miałem wyboru - musiałem biec za nią. Wpierw jednak dałem znak Hitchowi, który właśnie się zjawił i musiał pomylić ogień z urwiska z zamieszkami na południu od nas. Ale kiedy zobaczył, jak Sue niezdarnie rzuciła się przed siebie, zrozumiał powagę sytuacji.

Powietrze nagle zrobiło się dużo zimniejsze i wiatr uderzył od strony suchej prerii, a wiry powietrzne maszerowały niczym pielgrzymi w serce wydarzenia tau.

Nawet wylany betonem ogrzewany bunkier zrobił się chłodniejszy, niż przewidywała Sue, gdy zaczął się wstrząs cieplny. Wprawiał kończyny w odrętwienie, chłodził krew, narzucał dziwną, senną powolność sekwencji przerażających wydarzeń. Z trudem wdzialiśmy czapki i adaptujące się termicznie kurtki, gdy Hitch zablokował za sobą drzwi.

Proces inicjacyjny rdzenia tau postępował jak w maszynie i jak w maszynie w tym momencie nie podlegał już ludzkiej interwencji. Technicy siedzieli przed monitorami z zaciśniętymi pięściami; pozostała tylko nadzieja, że zbłąkana kula nie przeszkodzi w przepływie danych. Widziałem wcześniej przewody i złącza rdzenia, izolowane teflonem, w kevlarowych osłonach, jak węże strażackie. Pomimo obaw Sue nie

uważałem, aby konwencjonalne kule wystrzelone z dużej odległości stwarzały większe niebezpieczeństwo. Jednak milicjanci przynieśli coś więcej niż karabiny.

Zegar odliczający minął punkt pięciu minut, kiedy rozległ się grzmot odległej detonacji. Z deskowania sufitu posypał się pył, a światła w bunkrze zamrugały i zgasły.

- Trafili w generator - usłyszałem Hitcha, a ktoś inny zawył:

- Mamy, kurwa, przesrane!

Nie widziałem Sue - w ogóle nic nie widziałem. Ciemności były absolutne. Było nas prawie czterdzieścioro stłoczonych w bunkrze pod nasypami ziemnymi.

Nasz generator najwyraźniej nie działał. Zapasowe akumulatory zasiliły pilotowe lampy na sprzęcie elektronicznym, ale nie dawały użytecznego światła. Czterdzieścioro ludzi w ciemnej, zamkniętej przestrzeni. Wyobraziłem sobie wyjście, stalowe drzwi osadzone na górze stromych schodów, może metr od miejsca, w którym stałem, określając kierunek w myślach.

I wtedy... przybycie. Chronolit sięgnął głęboko w skałę macierzystą. Chronolit absorbuje materię i jej nie usuwa. Jednak wstrząs cieplny sprawił, że popękały ukryte żyłki wilgoci, co wywołało falę uderzeniową, która rozprzestrzeniła się przez ziemię. Wydawało się, że podłoga unosi się i opada. Ci z nas, którzy nie zdążyli się czegoś złapać, upadli. Chyba wszyscy krzyczeli. To był okropny głos, o wiele gorszy niż szkody fizyczne.

Robiło się coraz zimniej. Czucie uciekało mi z koniuszków palców.

To jeden z naszych inżynierów spanikował i przepchał się do wjazdu. Podejrzewam, że potrzebował jedynie światła słonecznego - i to tak bardzo, że potrzeba ta przeważyła nad rozumem. Byłem wystarczająco blisko, by dostrzec go w mrocznym świetle konsol. Odnalazł schody, rzucił się w górę na czworakach, dotknął klamki. Dźwignia musiała być szokująco zimna, bo krzyczał nawet wtedy, kiedy naparł na nią całym ciężarem. Klamka ze zgrzytem i spazmem ustąpiła, drzwi odskoczyły.

Nie było błękitu nieba, zastąpiły go kurtyny wyjącego piachu. Inżynier rzucił się na zewnątrz. Wiatr, piasek i granulki lodu wtargnęły do środka. Czy Sue przewidziała tak gwałtowne lądowanie? Chyba nie... Dziennikarze ustawieni na wschód od nas musieli już być zasypani. Wątpiłem, by ktoś jeszcze strzelał z urwiska, już nie.

Wstrząs cieplny osiągnął szczyt, ale temperatura naszych ciał wciąż się obniżała. To dziwne uczucie. Zimno, tak, nieopisane zimno, ale jednocześnie leniwe, zwodnicze, narkotyczne. Poczułem, że trzęsę się w środku, pomimo stroju ochronnego. To drżenie było jak zaproszenie do snu.

- Zostać w bunkrze! - krzyknęła Sue gdzieś z głębi okopu, za mną. - Będziecie bezpieczniejsi tutaj! Scotty, zamknij drzwi!

Jednak tylko nieliczni technicy posłuchali jej rady. Rzucili się obok mnie na zawodzący wiatr, biegli - tak jak pozwalało im na to zimno, bardziej jakby kuleli w walcu - ku rzędowi zaparkowanych samochodów.

Niektórym nawet udało się wsiąść i uruchomić silniki. Pojazdy były zabezpieczone przed zimnem, ale wyły jak ranne bestie, gdy tłoki tarły o cylindry. Wiatry lądowania rozniosły

ogrodzenie i cywilna grupa naszego konwoju zaczęła znikać w burzy.

Na zachód od nas musiał być chronolit, ale nie widziałem nic poza mgłą i pyłem. Przepchnąłem się w górę po schodach i zatrzasnąłem właz. Pierwszy inżynier zostawił na lodowatej kłamce strzęp skóry. Ja zostawiłem trochę swojej.

Sue miała akumulatorowe lampy i włączała je teraz. Zostało nas w bunkrze może tuzin. Gdy tylko zrobiło się jaśniej, Sulamith osunęła się na jedno z nieczynnych urządzeń telemetrycznych. Zatoczyłem się i przyłączyłem do niej. Nieomal na nią upadłem. Dotknęliśmy się ramionami, jej skóra była niesamowicie zimna (chyba tak jak moja). Ray był obok, ale zamknął oczy i odzyskiwał przytomność tylko chwilami. Hitch kucnął przy drzwiach, z uporem zachowując czujność. Sue położyła mi głowę na ramieniu.

- Nie sprawdziło się, Scotty - wyszeptała.
- Pomyślimy o tym później.
- Ale to nie zadziało. A gdyby się sprawdziło...
- Ciii.

Chronolit wylądował. Pierwszy na amerykańskiej ziemi... i to nie mały, sądząc po skutkach ubocznych. Sue miała rację. Nie udało się nam.

- Ale Scotty - powiedziała głosem nieskończenie zmęczonym i wstrząśniętym - skoro to nie zadziało... to co ja tu robię? Po co tu jestem?

Pomyślałem, że to retoryczne pytanie, ale nigdy nie była poważniejsza.

Kiedy historia zezwoli na pewien stopień obiektywizmu, ktoś napisze estetyczną ocenę chronolitów. Chociaż pomysł może się wydać obraźliwy, monumenty te są bez wątpienia

przykładami sztuki, każdy z osobna niepowtarzalny, nie ma dwóch takich samych. Niektóre są toporne, jak Kuin z Chumphon - względnie małe, pozbawione szczegółów niczym odlewana biżuteria; dzieło nowicjusza. Inne są rzeźbione starannie (choć zasadniczo pozostają ponure jak dzieła radzieckiego realizmu) i dokładniej rozważone. Na przykład Kuin z Islamabadu czy Kuin z Kapsztadu - Kuin jako łagodny gigant, dobrotliwie męski.

Jednak najbardziej rozpoznawalne chronolity to potwory, niszczyciele miast. Kuin z Bangkoku, stojący nad brązową wodą Chao Phraya; odziany w szaty Kuin z Bombaju; surowy i patriarchalny Kuin z Jeruzalem, zdający się obejmować wiary świata, gdy religijne relikty leżą rozbite u jego stóp.

Kuin z Wyoming prześcigał je wszystkie. Sue miała rację co do znaczenia tego monumentu. To był pierwszy amerykański chronolit, proklamacja zwycięstwa w sercu największej potęgi Zachodu, a jeśli jego manifestacja na tym wiejskim ugorze była aktem szacunku wobec wielkich amerykańskich miast, symbolizm ten był jednocześnie bezwstydnym i nieomylnym.

Wściekłe zimno wreszcie ustąpiło. Wyrwaliśmy się powoli z odrętwienia i docierało do nas coraz wyraźniej to, co się tutaj stało i czego nie udało nam się osiągnąć. Co charakterystyczne, Hitch pierwszy pomyślał o utrzymaniu się przy życiu.

- Pobudka - odezwał się chropowatym głosem. - Musimy stąd uciekać, zanim kuiniści przyjdą nas szukać, a to może być zaraz. Musimy też unikać głównej drogi.

Sue wahała się, patrząc na zasilany akumulatorami sprzęt pod ścianą bunkra. Instrumenty mrugały niespójnie, prosiły o energię.

CHRONOLITY

- Ty też - powiedział Hitch.
- To może być ważne - odparła Sue. - Niektóre wskaźniki są strasznie wysoko.
- Pieprzyć wskaźniki. - Podprowadził nas, potykających się, do drzwi.

Sue wydała przeciągły okrzyk na widok chronolitu dominującego na niebie. Ray szedł za nią, ja za Hitchem. Jeden z naszych inżynierów, siwy mężczyzna nazwiskiem MacGruder, wyszedł i natychmiast padł na kolana w akcie czystego, może mimowolnego zachwyty.

Kuin był... cóż, zasługuje na opis.

Był olbrzymi i naprawdę piękny. Wznosił się nad najbliższym wielkim elementem terenu, kamiennym urwiskiem, gdzie sabotażyści znaleźli sobie miejsce. Z rdzenia tau i towarzyszącej struktury nie zostało oczywiście nic. Lodowa skóra na chronolicie już odpadała - powietrze nie zawierało zbyt wiele wilgoci - a szczegóły monumentu przesłaniała jedynie mgła powstająca na jego powierzchni. Odziany we własną chmurę, był majestatyczny, potężny, wysoki jak góra. Widziana pod tym kątem twarz Kuina była niewyraźna, ale sugerowała zadowolenie z siebie, spokój i pewność zdecydowanego zwycięzcy.

Kryształki lodu topniały i spadały wokół nas delikatną, zimną mgłą. Wiatr zmieniał kierunek nieprzewidywalnie, to ciepły, to znowu zimny.

Główna grupa kuinistów zbierała się na południe od miejsca lądowania. Wielu z nich musiało ucierpieć podczas wstrząsu cieplnego. Ogrodzenie kilka kilometrów od miejsca lądowania biegło w innym kierunku i sądząc po odgłosach strzałów, tam kuiniści doszli na tyle do siebie, że znowu anga-

żowali Unisiły. Żołnierze bliżej nas przetrwali w odzieży termicznej, ale byli wyraźnie zdezorientowani i niepewni. Sprzęt komunikacyjny wyłączył się, a oni zmierzali do spłaszczonych ruin wschodniej bramy.

Po milicjantach, którzy unieszkodliwili rdzeń tau, nie było ani śladu.

Pozostałym inżynierom i technikom, którzy wyczołgiwali się z bunkra, Ray kazał się trzymać z Unisiłami. Dziennikarze schowani za bunkrem musieli myśleć inaczej. Przemknęli przez zwalone ogrodzenie w swoich kuloodpornych vanach. Zdobyli i bez wątpienia nadawali właśnie ten szokujący obraz wielkiego, nowego Kuina z Wyoming. Nasza przegrana stała się faktem.

- Pomóż mi doprowadzić Sue do vana - polecił mi Ray.

Sue przestała płakać, ale za to wbijała wzrok w chronolit. Ray stał obok i wspierał ją.

- To nie tak... - szeptała Sue.

- Oczywiście, że nie tak. No chodź, Sue. Musimy uciekać. Strzepnęła dłoń Raya.

- Nie, chodzi mi o to, że coś jest nie tak. Liczniki podskoczyły wysoko. Potrzebny mi sekstans i mapa. W vanie jest mapa topograficzna, ale... Hitch!

Hitch odwrócił się.

- Muszę mieć sekstans! Zapytaj któregoś z inżynierów!

- Po cholere? - odparł Hitch.

- Sekstans!

Hitch kazał Rayowi uruchomić samochód, a sam przybiegł z cyfrowym sekstansem i trójnogiem z wozu geodetów. Sue ustawiła przyrządy mimo porywistego wiatru i zapisywała w notesie liczby.

- Teraz to chyba nie ma znaczenia - powiedział łagodnie, ale stanowczo Ray.

- Co?

- Robienie pomiarów.

- Nie robię tego dla zabawy - odpowiedziała ostro, ale kiedy próbowała rozstawić trójnog, zemdłała wprost w ramiona Raya, więc zanieśliśmy ją do samochodu.

Podniosłem jej notes z lodowatego błota. Hitch prowadził, a Ray podłożył Sue poduszkę pod głowę i przykrył ją kocem. Unisily próbowały nas osłaniać. Jakiś żołnierz z karabinem i nerwową miną pochylił się do okna i spojrzał na Hitcha.

- Nie mogę zagwarantować wam bezpieczeństwa...

- Tak, wiem - mruknął Hitch i dodał gazu.

Będziemy bezpieczniejsi - Sue będzie bezpieczna - jak najdalej stąd. Hitch przemierzał płaski teren jedną z miejscowych dróg. Były to trasy szutrowe, w większości ślepe - kończyły się przy rozsypujących się ranczach albo wyschniętych wodopojach dla bydła. Niezbyt obiecująca wycieczka. Ale Hitch zawsze wolał podrzędne drogi.

Mimo starannego zabezpieczenia przed niskimi temperaturami nasz silnik został uszkodzony podczas wstrząsu cieplnego. Przed zmierzchem van szarpał i gasł; w końcu dojechaliśmy do szopy z żuźlowych bloczków przykrytej blaszonym dachem. Zatrzymaliśmy się tutaj nie dlatego, że budynek zapraszał w jakiś szczególny sposób - wiele deszczowych pór przestało się przez otwarte okna, pokolenia polnych myszy budowały i porzucały gniazda w środku - ale ze względu na to, że mogliśmy się tu schować i ukryć vana przed ludzkim wzrokiem. Przynajmniej zrobiliśmy już parę kilometrów.

Jako że nie mieliśmy nic do roboty, a słońce zachodziło za odległą już, ale nadal dominującą figurą Kuina, podczas gdy ostry wiatr cesał dzikie trawy, skupiliśmy się w samochodzie i próbowaliśmy zasnąć. Nie trzeba było mocno próbować. Wszyscy byliśmy wyczerpani. Zasnęła nawet Sue, chociaż szybko wyszła z omdlenia i była na tyle przytomna, aby jechać na wschód. Przespała noc i wstała o świcie.

Z nadejściem poranka Hitch otworzył maskę i pobieżnie obejrzał silnik. Ray Mosely obruszył się na hałas, ale przewrócił się na drugi bok i spał dalej. Ja obudziłem się głodny i taki pozostałem (mieliśmy tylko racje awaryjne); poszedłem obok zagrzybionej ściany na pastwisko, gdzie Sue raz jeszcze rozstawiła trójnog i sekstans.

Instrument mierniczy wycelowany był w odległy chronolit. Sue otworzyła mapę i położyła ją sobie u stóp, przyniatając rogi kamieniami. Ostry wiatr targał jej kręcone włosy. Ubranie miała brudne, a wielkie okulary pomazane, ale - nie do wiary - zdołała się uśmiechnąć na mój widok.

- Dzień dobry, Scotty - przywitała mnie.

Chronolit był lodowym słupem odcinającym się na tle zamglonego błękitu horyzontu. Przyciągał wzrok jak każda niestosowna lub szokująca rzecz. Kuin z Wyoming spoglądał na wschód ze swego piedestału, prawie wprost na nas. Celował w nas, pomyślałem, jak strzała.

- Czego się dowiedziałaś? - zapytałem, usiłując opanować ironię.

- Dużo. - Spojrzała na mnie. Uśmiechała się szczególnie. Radośnie i smutno zarazem. Oczy miała szeroko otwarte i wilgotne. - Zbyt dużo. O wiele za dużo.

- Sue...

CHRONOLITY

- Nie, nie mów nic praktycznego. Mogę ci zadać pytanie?
Wzruszyłem ramionami.

- Gdybyś pakował się w podróż w przyszłość, Scotty, co byś zabrał?

- Co bym zabrał? Nie wiem. A co ty byś zabrała?

- Zabrałabym... sekret. Potrafisz dochować tajemnicy?

Pytanie było niepokojące. O to pytała mnie mama, kiedy zaczynała popadać w obłąd. Wisiała nade mną jak złowieszczy cień i pytała: „Umiesz dochować tajemnicy, Scotty?”

Tajemnicą było przeważnie jakieś paranoiczne przekonanie - że koty potrafią czytać w jej myślach, że mój ojciec podszysywa się pod kogoś, że rząd próbuje ją otruć.

- No, Scotty - ponaglała Sue - nie patrz tak na mnie.

- Jeżeli mi powiesz, to już nie będzie tajemnica - odparłem

- Hmm, to prawda. Ale muszę komuś powiedzieć. Nie mogę powiedzieć Rayowi, bo jest we mnie zakochany. I nie mogę powiedzieć Hitchowi, bo on nikogo nie kocha.

- To ciekawe.

- Tak, nic na to nie poradzę - Zerknęła na odległy, błękitny słup Kuina. - Możemy nie mieć czasu.

- Czasu na co?

- Chodzi o to, że on nie przetrwa. Ten chronolit. Nie jest stabilny. Jest zbyt masywny. Popatrz na niego, Scotty. Widzisz, że on jakby drży?

- To ciepło bijące od prerii. Złudzenie optyczne.

- Częściowo, ale nie tylko. Przeliczyłam to kilkakrotnie. Wskazania, które tak urosły w bunkrze. Te liczby. -Jej notes. - Zmierzyłam jego wysokość i promień, przynajmniej pobieżnie. I jakkolwiek to liczyć, wychodzi, że przekracza limit.

- Limit?

- Pamiętajasz? Jeżeli chronolit ma za dużą masę, jest niestabilny... Gdyby udało mi się opublikować pracę, mogliby to nazwać limitem Chopry. - Dziwny uśmiech zniknął i odwróciła wzrok. - Może jestem zbyt próżna, Scotty. Nie mogę na to pozwolić. Muszę być pokorna. Bo, Bóg jeden wie, że zostanę upokorzona.

- Chcesz powiedzieć, że według ciebie chronolit sam siebie zniszczy.

- Tak. W ciągu dnia.

- To już nie będzie tajemnica.

- Oczywiście, że nie, ale przyczyna tego pozostanie. Limit Chopry to moja praca. Z nikim się nią nie podzieliłam i wątpię, by ktokolwiek teraz wykonywał obliczenia. Ten Kuin nie przetrwa, by go dokładnie zmierzyć.

To mnie zaczynało denerwować.

- Sue, nawet jeżeli to wszystko prawda, ludzie się dowiedzą...

- Czego? Będą wiedzieć tylko, że chronolit uległ zniszczeniu i że my próbowaliśmy tego dokonać. Wyciągną oczywisty wniosek, że odnieśliśmy sukces, choć trochę późno. Prawda będzie naszą tajemnicą.

- Dlaczego tajemnicą?

- Ponieważ nie mogę tego powiedzieć, Scotty. Tobie także. Musisz zachować tajemnicę przynajmniej dwadzieścia lat i trzy miesiące, bo inaczej to nie zadziała.

- Cholera, Sue... co nie zadziała?

Zamrugła.

- Biedny Scotty. Pogubiłeś się. Wyjaśnię ci to.

Nie potrafiłem nadążyć za wszystkimi szczegółami, ale oto, czego się dowiedziałem. Nie zostaliśmy pokonani. Cała prasa bez wątpienia donosiła jeszcze o przybyciu, a tymczasem w ciągu kilku godzin, jeżeli nie minut, doświadczamy spektakularnego runięcia chronolitu. Wyemitowany obraz (jak twierdziła Sue) przerwie pętlę sprzężenia zwrotnego i zniszczy aurę niezwyyczężoności Ruina. Tak czy owak, Ruin nie będzie już przeznaczeniem. Zostanie zredukowany do statusu wroga.

I świat musi się dowiedzieć, że się nam udało. Limit Chopry musi pozostać najbardziej strzeżoną tajemnicą... Gdyż, jak wierzyła Sue, nie przypadkiem ten chronolit przekroczył granicę stabilności. Sue twierdziła, że najwyraźniej był to sabotaż.

Zastanów się... celowy sabotaż chronolitu. Kto zrobiłby coś takiego? Zdecydowanie ktoś ze środka. Najwyraźniej ktoś, kto rozumiał nie tylko podstawy fizyki chronolitów, ale też najdrobniejsze niuanse. Ktoś, kto rozumiał fizyczne ograniczenia i wiedział, jak je pchnąć.

- Ta strzałka - powiedziała Sue niemal zawstydzona, zszokowana śmiałością własnych słów i bardzo przestraszona.
- Ta strzałka wskazuje na mnie.

Oczywiście był to obłąd. Megalomania. Sue wywyższyła się do rangi Siwy. Stwórca, niszczyciela. Ale po części chciałem, aby to była prawda. Chyba pragnąłem końca długiego i zakłócanego dramatu chronolitów - nie ze względu na siebie, ale ze względu na Ashlee, na Kaitlin. Chciałem też zaufać Sue. Po całym życiu pełnym wątpiwości potrzebowałem tego, by obdarzyć ją zaufaniem. Pragnąłem, aby jej szaleństwo stało się za sprawą cudu... boskie.

Hitch nadał pracował przy ramie, kiedy na drodze dojazdowej, w tumanie szarego pyłu, zjawiło się dwanaście motocykli. Przyjechały od strony chronolitu. Sue i ja czmychnęliśmy do szopy, gdy tylko je zauważyliśmy. W tym czasie Ray zawiadomił Hitcha. Hitch wyszedł spod silnika, załadował i rozdał nam cztery pistolety.

Przyjąłem swój z wdzięcznością, ale nie podobało mi się jego dotknięcie - był zimny, lekko naoliwiony. Bardziej od widoku zbliżających się intruzów, którzy prawie na pewno byli kuinistami, chociaż mogli być kimkolwiek, przerażał mnie pistolet. Broń ma wzmacniać pewność siebie, ale w moim wypadku podkreślała tylko, jak bardzo jesteśmy bezbronni, jak okropnie samotni.

Ray Mosely wsunął sobie pistolet za pas i zaczął wściekle wystukiwać coś na klawiaturze telefonu. Jednak połączenia nie mogliśmy nawiązać od kilku dni i jemu też nie dopisywało szczęście. Ta próba dawała do myślenia i wydawała się nieomal godna pożałowania. Hitch podał pistolet Sue, ale ona przycisnęła dłonie do boków.

- Nie, dziękuję - powiedziała.
- Nie bądź głupia.

Teraz już słyszałem silniki motocykli, głos szarańczy, nadciągającą zarazę.

- Zatrzymaj go - dodała Sue. - Nie wiedziałabym, co z nim zrobić. Chyba zabiłabym niewłaściwą osobę.

Kiedy to mówiła, spojrzała na mnie, a ja, co dziwne, przypomniałem sobie młodą dziewczynę z Jerozolimy, która podziękowała Sue przed śmiercią. W jej oczach, w jej głosie kryła się ta sama konieczność.

- Nie mamy czasu się kłócić.

Hitch przejął dowodzenie. Był czujny i skupiony, marszczył brwi niczym szachista w obliczu utalentowanego przeciwnika. Szopa miała jedne drzwi i trzy wąskie okna -miejsce łatwe do obrony, ale także potencjalna śmiertelna pułapka, gdybyśmy zostali pokonani. W vanie jednak wcale nie byłibyśmy bezpieczniejsi.

- Może nie wiedzą, że tu jesteśmy - zasugerował Ray. -
Może pojedą dalej.

- Może - odparł Hitch. - Ale nie liczyłbym na to.

Ray położył dłoń na chwycie. Spojrzał na drzwi i na

Hitcha, jakby próbował rozwiązać jakieś skomplikowane, matematyczne zadanie.

- Scotty - powiedziała Sue - liczę na ciebie.

Nie wiedziałem, o co jej chodzi.

- Zwalniają - zauważył Hitch.

- Może to nie kuiniści - zastanawiał się Ray.

- Może to zakonnice na wycieczce. Ale nie licz na to.

Niekorzystny dla nich był brak osłony. Teren był tutaj płaski i porośnięty bylicami. Motocykliści, najwyraźniej świadomi tego, zatrzymali się w pewnej odległości od szopy, poza naszym zasięgiem.

Kiedy obserwowałem to przez szczelinę między bloczkami, która miała uchodzić za zachodnie okno, uderzyła mnie niestosowność tego wszystkiego. Dzień był ładny i chłodny, niebo bezchmurne jak kryształ. Nawet rzekomo niestabilny chronolit zdawał się spokojny i mocno osadzony na horyzoncie. Ciche ćwierkanie wróbli i cykanie świerszczy wisiało w powietrzu. A jednak dwunastu uzbrojonych mężczyzn blokowało drogę, a w promieniu wielu kilometrów nie było pomocy.

Jeden z motocyklistów zdjął kask, potrząsnął brudnymi blond włosami i niemal leniwie zaczął iść w naszą stronę. I...

- Kurwa, niech mnie diabli - powiedział Hitch - jeżeli to nie Adam Mills!

Znajdowaliśmy się głęboko w turbulencji tau, tak chyba powiedziała Sue - w miejscu, w którym strzałka czasu wskazuje samą siebie i obraca się jeszcze raz; w miejscu, w którym nie ma zbiegu okoliczności.

- Chcemy tylko tę panią! - zawołał Mills z pewnej odległości.

Głos miał szorstki i wysoki. W pewnym sensie była to parodia głosu Ashlee. To znaczy odarta z wszelkiego ciepła i subtelności.

(„Mamy wspólną historię, powiedziała kiedyś Ash. Twoja szalona matka. Mój szalony syn”.)

- Jaka miała by to być pani? - odkrzyknął Hitch.

- Sulamith Chopra.

- Jestem tutaj sam.

- Chyba poznaję ten głos. Pan Paley, prawda? Tak, słyszałem już ten głos. Ostatnim razem chyba pan krzyczał.

Hitch nie odpowiedział, ale zobaczyłem, jak zaciska palce - to, co z nich zostało - lewej dłoni.

- Proszę ją przysłać i znikamy stąd. Słyszysz mnie pani, pani Chopra? Nie chcemy pani skrzywdzić.

- Zastrzel go - szepnął Ray. - Po prostu zastrzel gnojka.

- Ray, jeżeli go zabiję, oni po prostu poślą w to okno raketę. Oczywiście, mogą to zrobić i teraz.

- W porządku - spokojnie odezwała się Sue. - Nie jest to konieczne. Pójdę.

Zaskoczyło to Hitcha i Raya, jeśli nie mnie. Powoli zaczął do mnie docierać sens jej intencji.

- Teraz to jest, kurwa, śmieszne - powiedział Hitch. - Nie masz pojęcia... ci ludzie to najemnicy. Gorzej, mają kanał prosto do Azji. Z radością sprzedadzą cię jakiemuś niby-Kuinowi. Z ich punktu widzenia jesteś towarem.

- Wiem, Hitch.

- Kosztownym towarem i są ku temu powody. Naprawdę chcesz oddać całą wiedzę jakiemuś chińskiemu wodzowi? Sam bym cię zabił, gdybyś miała to zrobić.

Sue była spokojna, przynajmniej pozornie, jak męczennik na średniowiecznym malowidle.

- Ale to właśnie muszę zrobić.

Hitch odwrócił się. Jego głowa malowała się wyraźnie na tle okna. Adam Mills, gdyby tylko chciał, mógłby go zdjąć jednym strzałem.

- Sue, nie - przeraził się Ray i scena zawisła na jeden kruchy moment: Hitch z rozdziawionymi ustami, Ray bliski paniki. Sue rzuciła mi krótkie, pełne znaczenia spojrzenie. „Nasz sekret, Scotty. Dochowaj naszej tajemnicy”.

- Naprawdę chcesz to zrobić - powiedział Hitch.

- Tak.

Zabrał pistolet od okna.

Budynek, w którym byliśmy uwięzieni, prawdopodobnie postawiono w trakcie któregoś z cyklicznych boomów naftowych w tym stanie, może by chować sprzęt przed deszczem - nie żeby tu za dużo padało. Betonowa podłoga była pokryta wszystkim, co wiatr naniósł przez drzwi w ciągu ostatnich pięćdziesięciu lub siedemdziesięciu pięciu lat: pyłem, pia-

skiem, fragmentami roślin, wysuszonymi szczątkami węży i ptaków.

Hitch stał przy zachodniej ścianie, gdzie bloczki żużlowe były poplamione wodą i zerodowane. Sue i Ray byli razem w północno-zachodnim narożniku, a ja stałem naprzeciw Hitcha przy ścianie wschodniej. Pomimo jaskrawego dnia panował tu półmrok, a powietrze było nieco chłodniejsze od suchego powietrza prerii, chociaż to miało się zmienić, kiedy słońce zacznie przypiekać blaszany dach. Przeciągi w środku wzbijały kurz i zapach odwiecznej zgnilizny.

Pamiętam wszystko wyraźnie. Uginające się krokwie, słońce wpadające pod kątem przez puste okno, suchą bylicę wyrastającą tuż pod drzwiami, połyskujący pot na czole Hitcha Paleya, kiedy celował - ale tylko na próbę - w Sue.

Sue była blada. Żyłka pulsowała na jej szyi, ale zachowała spokój.

- Zabierz, kurwa, ten pistolet! - rzucił Ray.

Ray, ze zmierzwioną brodą i w prze poczonej koszulce, wyglądał jak zdziczały naukowiec w średnim wieku. Oczywiście miał tak samo dzikie. Jednak w tej wysiłonej deklaracji samoodrzucenia było coś godnego podziwu, zacięta, choć krucha odwaga.

- Mówię poważnie — wycedził Hitch. - Ona nie wyjdzie przez te drzwi.

- Muszę - odparła Sue. - Przepraszam, Ray, ale...

Zrobiła krok, lecz Ray przycisnął ją do kąta, przytrzymując całym ciałem.

- Nikt nigdzie nie idzie!

- Chcesz na niej siedzieć aż do sądnego dnia? - zapytał Hitch.

- Odłóż broń!

- Nie mogę. Ray, wiesz, że nie mogę tego zrobić.

Teraz Ray podniósł pistolet.

- Przestań jej grozić, bo inaczej...

Jednak to było ponad cierpliwość Hitcha Paleya. Powiem w jego obronie, że znał Adama Millsa. Wiedział, co czeka nas tam, na zewnątrz, w nieubłaganym słońcu. Nie miał zamiaru oddawać Sue i prędzej sam by umarł, niż się poddał. Strzelił Rayowi w prawy bark - z tej odległości była to rana śmiertelna. Wydaje mi się, że słyszałem, jak kula przechodzi przez Raya i uderza w ścianę za nim, dźwięk, jakby młot uderzył w granit. A może było to echo samego strzału, ogłuszające w zamkniętej przestrzeni. Dokoła nas wzbił się kurz. Stałem, nie wierząc w to, jak zamurowany.

Na zewnątrz rozległy się poszczekiwanie strażów i któraś z kul wyszczerbiła bloczek przy zachodnim oknie. Sue, przygnieciona ciałem Raya, wciągnęła powietrze i zepchnęła go na bok.

- Och, Ray! - szeptała. - Przepraszam! Przepraszam!

W jej oczach pojawiły się łzy. Na jej pogniezionej żółtej bluzce była krew, także na ścianie za nią.

Ray nie oddychał. Serce przestało bić na skutek postrzału albo wstrząsu. Na jego ustach utworzyła się krwawa bańka i została tam, nieruchomo. Kochał Sue beznadziejnie i bezinteresownie wiele lat. Ale kiedy Sue przekroczyła jego znieruchomiłe nogi, nie obejrzała się nawet. Ruszyła w stronę drzwi, zatoczyła się, ale nie upadła.

W powietrzu czuć było krew i proch. Na zewnątrz Adam Mills krzyczał coś, ale przez dzwonienie w uszach nie rozróżniałem słów.

Temu wszystkiemu przyglądał się z zachodniego horyzontu Kuin z Wyoming. Widziałem monument w oknie za Hitchem, błękitny na błękicie, ospały w rosnącym żarze.

- Stój — rozkazał tępo Hitch.

Wzdrygnęła się, usłyszawszy jego głos, ale zrobiła kolejny krok.

- Nie będę cię więcej ostrzegał. Wiesz dobrze.

- Nie, Hitch - usłyszałem swój głos. - Pozwól jej odejść. „Nasz sekret”, powiedziała wcześniej Sue.

I: „To już nie będzie tajemnica, jak komuś powiesz”.

Dlaczego więc podzieliła się nią ze mną? W tym momencie pomyślałem, że wiem. Zrozumienie tego było gorzkie i okropne.

Zrobiła kolejny krok w stronę drzwi. W słońcu za nią z suchej trawy wzbiła się jaskółka i zawisła w powietrzu jak nuta.

- Nie wtrącaj się — rzucił mi Hitch.

Jednak teraz byłem lepiej obeznany z bronią niż w Portillo.

Kiedy Hitch zobaczył, że celuję w niego, powiedział:

- To, kurwa, wariactwo.

- Ona musi to zrobić.

Hitch celował w Sue. Ona skinęła głową i zbliżała się do drzwi, jakby każdy krok pozbawiał ją zapasów siły i odwagi.

- Dziękuję, Scotty - wyszeptała.

- Zastrzelę cię, jeżeli natychmiast nie staniesz - zagroził Hitch.

- Nie - odezwałem się. - Nie zastrzelisz.

Warknął... zupełnie jak zaszczute zwierzę.

- Scotty, ty pieprzony tchórze, ciebie też zastrzelę, jak będę musiał. Odłóż broń, a ty Sue, powiedziałem... stój natychmiast.

Sue zgarbiła się, jakby przed uderzeniem kuli, ale była już w drzwiach. Zrobiła następny krok. Pistolet Hitcha wahał się chwilę - między mną a Sue. Nagle Paley zdecydowanie wycełował w jej plecy, w wygięcie kręgosłupa, wielką głowę.

Zaczął - i wiem, jakie to absurdalne twierdzić, że byłem tego świadkiem, ale w przesadnej ciszy tego momentu, w cieniu tego jasnego, łaskawego popołudnia, gdy wszyscy byliśmy pozbawieni wsparcia czasu, przysięgam, widziałem, jak ten mięsisty, czarny palec zaczyna się zaciskać na spuście.

Ale ja byłem szybszy. Szarpnięcie odrzuciło mi rękę.

Czy zabiłem Hitcha Paleya? Nie jestem obiektywnym świadkiem. Staję we własnej obronie. Jednak wreszcie, pod koniec życia, mówię prawdę. Nie mam więcej tajemnic.

Broń odskoczyła. Kula była w powietrzu i wtedy... Wtedy wszystko znalazło się w powietrzu. Cegły, zaprawa, drewno, blacha, wiekowy pył. Moje ciało, pocisk. Hitch, ciało Raya Mosely'ego. Ray, który tak bardzo kochał Sue, że pozwolił jej zrobić to, co musiała; i Hitch, który zupełnie nikogo nie kochał.

Czy widziałem (pytają mnie ludzie) zniszczenie chronolitu? Czy byłem świadkiem ognistego upadku Kuina z Wyoming? Czy widziałem jasne światło i czułem żar?

Nie. Ale kiedy znowu otworzyłem oczy, fragmenty chronolitu spadały z nieba, spadały dokoła mnie. Kawałki wielkości kamyków, zamienione w konwencjonalną materię i stopione żarem własnego unicestwienia w szkliste, niebieskie łzy.

Podczas wielkiego wyzwolenia energii, kiedy runął chronolit, z miejsca katastrofy nadciągnęła fala uderzeniowa -

więcej wiatru niż gorąca, więcej gorąca niż światła, ale wystarczająco dużo, by oślepić. Szopa z bloczków straciła dach, a także północną i zachodnią ścianę. Mnie wyrzuciło stamtąd i obudziłem się kilka metrów od ruin. Przez jakiś czas byłem zdezorientowany i nie w pełni świadomy. Pierwsza przyszła myśl o Sue, ale jej nigdzie nie było widać. Zniknęła, tak jak Adam Mills, tak jak jego ludzie i motocykle, chociaż (później) znalazłem jednego daimlera porzuconego w krzakach, z pękniętym zbiornikiem na paliwo, jeden kask i postrzępiony egzemplarz *Piątego jeźdźca*.

Czy wierzę, że Sue oddała się kuinistom w następstwie eksplozji? Tak. Fala uderzeniowa na otwartej przestrzeni nie była śmiertelna dla nikogo. To waląca się szopa zraniła mnie w głowę i wybiła bark, nie sama fala. Sue stała w wejściu, a ono nadal było całe.

Hitcha i Raya znalazłem w gruzach, najwyraźniej martwych. Spędziłem kilka godzin, próbując ich odkopać. Pracowałem zdrową ręką, aż zrozumiałem, że to daremny i wyczerpujący wysiłek. Potem uratowałem kilka porcji suchego prowiantu z przewróconego vana i zjadłem trochę, krztusząc się, ale przynajmniej część przełykając.

Kiedy spróbowałem użyć telefonu, słychać było tylko hałaśliwe trzaski, a na ekranie pojawiła się informacja „brak sygnału”, zniekształcona jakby przez nadchodzący przypływ.

Słońce zaszło. Niebo nabrało koloru indygo, a potem ściemniało. Na zachodnim horyzoncie, gdzie wcześniej stał chronolit, jasno płonęły zarośla.

Odwróciłem się i ruszyłem w przeciwną stronę.

Niedawno odwiedziłem dwa ważne miejsca: krater Wyoming i stocznię w Boca Raton. Jedno, jezioro zanieczyszczone

wspomnieniami, drugie, brama do otwartego morza. I pomyślałem...

Ale nie, dojdę do tego.

Ashlee wypuszczono ze szpitala, zanim wróciłem do Minneapolis. Sam znalazłem się w szpitalu, a przynajmniej w małym, nocnym pogotowiu przy Pine Ridge. Trzy dni wędrówki po ostępach Wyoming z raną głowy, udarem słonecznym i niedożywieniem sprawiły, że byłem zbyt słaby, aby wejść po schodach, bez względu na prędkość. Lewą rękę miałem na temblaku.

Ashlee miała mniej szczęścia. Ostrzegła mnie oczywiście, ale nie byłem przygotowany na to, co zastałem, kiedy wszedłem do mieszkania, a ona zawołała mnie z sypialni.

Pod śnieżnobiałą pościelą nie było widać ran: oparzeń, sińców. Nie będę ich katalogować. Upomniałem się, że wszystko się zagoi, że krew nabiegła do sińców zblaknie, że popękana skóra zrośnie się pod szwami i że już wkrótce ona otworzy całkowicie oczy. Spojrzała na mnie przez fioletowe szparki.

- Aż tak źle? - zapytała.

Brakowało jej kilku zębów.

- Ashlee - powiedziałem. - Przepraszam.

Pocałowała mnie, chociaż miała tyle ran, a ja przytuliłem ją delikatnie pomimo złamanej ręki.

Dla odmiany ona zaczęła mnie przepraszać. Martwiła się, że jej nie wybaczę, iż się załamała i zdradziła Adamowi, gdzie jestem. Bóg jeden wie, jak bardzo chciałem przepraszać za to, że zostawiłem ją z tym. Przyłożyłem palec - delikatnie, bardzo delikatnie - do jej spuchniętych ust. Po co honorować okro-

pieństwo zemstą? Przeżyliśmy. Byliśmy razem. To wystarczało.

Dopóki Ashlee mi nie powiedziała, nie wiedziałem, że Morris Torrance nie porzucił posterunku przed domem. Adam Mills rozpoznał w nim strażnika i wprowadził swoich ludzi tylnym wejściem, aby nie wzbudzać podejrzeń. Morris zadzwonił do Ash na krótko przed wizytą Adama, zastał ją w mieszkaniu i od tej pory nie widział nic podejrzanego. Skończył służbę po północy i pojechał do Marriotta, aby przespać się kilka godzin. Miał przy sobie urządzenie ostrzegawcze, na wypadek gdyby Ashlee w tym czasie go potrzebowała. Nie otrzymał wezwania. Rano zadzwonił do Ash ponownie, ale nie mógł przejść poza jej program wywoławczy. Natychmiast pojechał do mieszkania, niedługo po tym, jak zjawiała się tam Kaitlin, i na próżno próbował się dodzwonić. Morris, poważnie już zaniepokojony, zadzwonił do Ashlee z holu.

Odebrała domofon z opóźnieniem i mówiła niewyraźnie. Morris przedstawił się jako posłaniec z paczką, potrzebny był mu jej podpis. Ash, która musiała rozpoznać jego głos, powiedziała, że nie może teraz podejść do drzwi, i poprosiła, aby przyszedł innym razem. Torrance odparł, że mógłby, ale paczka ma nalepkę „łatwo psujące”. To nieważne, stwierdziła Ashlee.

Wówczas Morris wyszedł z zasięgu obiektywu, zadzwonił na policję i doniósł o trwającym właśnie napadzie. Wrócił do holu, korzystając z klucza, który mu zostawiłem. Dozorcy przedstawił się (niezgodnie z prawdą i nielegalnie) jako agent federalny i otrzymał klucz do mieszkania.

Wiedział, ile czasu może minąć, zanim policja zareaguje, postanowił więc nie czekać. Pojechał windą na nasze piętro,

zadzwoił kolejny raz do mieszkania tak, żeby dzwonek telefonu zagłuszył zgrzyt klucza w zamku, i wszedł do środka z wyciągniętą bronią. Był, jak często mi mówił, emerytowanym agentem bez doświadczenia w terenie. Jednak przeszedł szkolenie i nie zapomniał tego, czego się nauczył.

Kaitlin była zamknięta w szafie, a Ashlee leżała na kanapie, pobita. Morris bez wahania zastrzelił mężczyznę stojącego nad Ash i skierował broń w stronę drugiego kulinisty, który właśnie wyszedł z kuchni. Ten na dźwięk strzału upuścił butelkę piwa i wyciągnął własną broń. Jednym strzałem zbił Morrisa z nóg, ale agent zdążył strzelić po upadku. Stół w jadalni dał mu trochę osłony. Jedną kulę Morris umieścił w szyi, drugą w głowie napastnika.

Ranny w nogę - kula zrobiła mu wyrwę w udzie, tak jak ta, którą dostała Sue w Jerozolimie - Morris zdołał jednak pocieszyć Ashlee i uwolnić Kaitlin z szafy, nim zemdleł. Kait - która mogła się ruszać, chociaż była pobita i zgwałcona - założyła opatrunek uciskowy na nogę i wezwała policję. Ashlee wstała z kanapy i z trudem dotarła do łazienki. Namoczyła ręcznik i usunęła krew z twarzy Morrisowi, potem Kaitlin, a później sobie.

- To było ryzykowne - powiedział Morris, kiedy odwiedziłem go w szpitalu, aby mu podziękować.

- Postąpiłeś właściwie.

Wzruszył ramionami.

- Hmm, chyba tak. - Siedział na wózku inwalidzkim z podwieszoną nogą, którą posmarowano żelami regenerującymi i zagipsowano. - Powinni na niej powiesić czerwoną flagę - zażartował.

- Nigdy nie zdołam odpłacić ci się za to, co zrobiłeś.

- Nie rób się sentymentalny, Scotty. - Ale i jemu zbierało się na płacz. — Ashlee dobrze się czuje?

- Coraz lepiej - odparłem.

- A Kaitlin?

- Trudno powiedzieć. Posłali po Davida do Little Rock.

Skinął głową. Przez chwilę siedzieliśmy w milczeniu.

- Widziałem w telewizji - odezwał się nagle - jak runął kamień z Wyoming. Trochę to trwało, ale Sue dostała to, czego chciała, co?

- Dostała, czego chciała.

- Szkoda Hitcha i Raya.

Zgodziłem się.

- I Sue. - Spojrzał na mnie znacząco. - Trudno uwierzyć, że naprawdę jej nie ma.

- Uwierz w to - powiedziałem.

Ponieważ tajemnica nie jest tajemnicą, jeśli się nią podzielisz.

- Wiesz, że jestem staromodnym chrześcijaninem, Scotty. Nie wiem dokładnie, w co wierzyła Sue, chyba że w te bzdury z Siwą. Ale była dobrym człowiekiem, co?

- Pewnie.

- Dobra. Cóż. Nie mogłem pojąć, dlaczego poprosiła cię, żebyś pojechał do Wyoming, a mi kazała zostać tutaj. Bez obrazy, naprawdę mnie to męczyło, ale chyba przysłużyłem się tu czemuś.

- Przysłużyłeś się, przyjacielu.

- Myślisz, że cały czas o tym wiedziała? To znaczy, miała przeczucia co do przyszłości?

- Myślę, że znała nas obu całkiem dobrze.

Zabrała mnie, pomyślałem, gdyż Morris nie sprawdziłby się na moim miejscu. Nigdy nie pozwoliłby jej wejść w paszczę lwa. Z pewnością nie zabiłby Hitcha Paleya. Morris był dobrym człowiekiem.

Ostatnio odwiedziłem dwa ważne miejsca. Teraz podróżowanie nie przychodzi mi już łatwo. Leki kontrolują moje geriatryczne dolegliwości - jestem zdrowszy przy siedemdziesiątce niż mój ojciec, gdy miał pięćdziesiąt lat -ale sam wiek przynosi zmęczenie. Moim zdaniem jesteśmy wiadrami smutku i w którymś momencie napełniamy się po brzegi.

Pojechałem do Wyoming. Krater Wyoming jest dzisiaj pomniejszym, chociaż unikatowym, pomnikiem wojennym. Dla większości Amerykanów Wyoming było tylko początkiem dwudziestoletniej wojny chronolitów. Dla tego pokolenia, pokolenia Kait i Davida, pamiętne bitwy to Zatoka Perska, Canberra, Pierwszy Pekin, Kanton. W końcu... nikt specjalnie nie zginął w Wyoming. Nikt specjalnie.

Krater jest ogrodzony i stanowi pomnik narodowy. Turyści mogą wejść na platformę na szczycie urwiska i spoglądać z góry na ruiny. Ja jednak chciałem dostać się bliżej. Czułem, że mam do tego prawo.

Strażnik służby parkowej przy głównym wejściu powiedział mi, że to niemożliwe, ale wyjaśniłem, że byłem tu w 2039, i pokazałem mu bliznę od lewego ucha do skraju postępującej łysiny. Strażnik był weteranem wojny - kawaleria pancerna, Kanton, krwawa zima 2050. Powiedział, bym został, aż zamkną centrum dla zwiedzających o piątej; potem zobaczy, co da się zrobić.

Pozwolił mi pojechać na wieczorną inspekcję. Wzięliśmy pojazd wielkości wózka golfowego i zjechaliśmy stromą dróż-

ką. Zaparkowaliśmy na krawędzi krateru. Strażnik przeglądał gazetę i udawał, że nie patrzy na mnie, kiedy przez kilka minut wędrowałem pośród długich cieni.

Tego maja spadły prawie trzy centymetry deszczu. Na dnie płytkiego krateru powstał mały staw brązowej wody, a pod zerodowanymi, porowatymi ścianami rosła bylina. Niektóre fragmenty Kuina pozostały nietknięte. One też poddawały się erozji. Niestabilność tau, rozwiązanie skomplikowanych węzłów Calabi-Yau, sprawiła, że rdzenny materiał chronolitu stał się tworem z prostych minerałów - ziarnistym, niebieskim szkłem prawie tak kruchym jak wapień.

Podczas Zachodniej Secesji dochodziło tu do bombardowań, kiedy amerykańscy kuiniści kontrolowali te strony. Milicje zajęły stan w najposępniejszych dniach wojny i próbowały odtworzyć historię (choć nie przeżyli żadni świadkowie), odbudowując olbrzymiego Ruina z Wyoming i obwieszczając to. Ale ktoś źle im doradził. Ktoś. Ktoś, kto przekonał ich, aby pchnąć krzywą stabilności poza limit. Historia nie podaje nazwiska tego dobroczyńcy.

Tajemnica to tajemnica.

Ale, jak Sue lubiła mawiać, nie ma czegoś takiego jak zbieg okoliczności.

Stałem jakiś czas nad fragmentem głowy Ruina: zniszczona pogoda brew i jedno nietknięte oko. Żrenicę stanowiło wgłębienie szerokie jak koło ciężarówki. Deszcz i pył nagromadziły się w tej niecce i wyrósł tam dziki oset.

Chronolity okazały się niezniszczalne dla historii, tak jak są dla logiki. Fakt stworzenia takiego urządzenia jest tak przeładowany turbulencją tau i oczywistym paradoksem - przy-

czyna i skutek są tak mocno ze sobą splecione - że nie pojawił się ani jeden opis. Przeszłość („lód Min-kowskiego” według Raya) jest niezmienna, ale budowa Ruina została lekko naruszona, warstwy ściśnięte i przewrócone, miejscami chaotyczne i nie do zinterpretowania. W dotyku kamień był zimny.

Nie mogę szczerze powiedzieć, że się modliłem. Nie umiem się modlić. Ale wymówiłem kilka imion w samotności myśli, słów adresowanych do turbulencji tau, jeżeli coś z niej zostało. Imię Sue, między innymi. Podziękowałem jej. Potem błagałem zmarłych o przebaczenie.

Strażnik parku w końcu się zniecierpliwił. Odeskortował mnie do samochodu, gdy słońce dotykało horyzontu.

- Chyba ma pan co opowiadać - powiedział.

Mam. To i coś, czego nie opowiedziałem. Jeszcze.

Czy istniał kiedyś konkretny Kuin...? Kuin człowiek? Jeżeli tak, to pozostaje postacią niejasną, ukrytą w cieniu armii, które walczyły w jego imieniu i tworzyły jego ideologię. Z pewnością musiał istnieć oryginalny Kuin, ale podejrzewam, że obalili go następcy. Może, jak spekulowała Sue, każdy chronolit wymagał własnego Kuina. „Kuin” był niewiele więcej niż imieniem dla próżni w środku wiru powietrznego. Król się nie narodził; niech żyje król.

Po śmierci Ashlee pod koniec zeszłego roku musiałem posortować jej rzeczy. Głęboko w pudełku ze starymi papierami (nieważnymi kartkami na żywność, formularzami podatkowymi, pożółkłymi upomnieniami od firm sanitarnych) znalazłem świadectwo urodzenia Adama Millsa. Jedyne, co mnie w nim uderzyło, to że drugie imię Adama brzmiało Quinn i że Ashlee nigdy mi o tym nie powiedziała. Myślę jednak, że to prawdziwy zbieg okoliczności. Przynajmniej w to

wolę wierzyć. Jestem na tyle stary, że sam wybieram, w co mam wierzyć. Wierzyć w to, co mogę znieść.

Kait zostawiła Davida w domu i wpadła do mnie tego lata do Boca Raton na nie planowane wakacje. Nie widzieliśmy się od pogrzebu Ashlee w grudniu. Przyjechałem do Boca Raton wiedziony zachcianką. Chciałem zobaczyć stocznię, póki jeszcze mogłem podróżować.

Teraz wszyscy mówią o powojennej odnowie. Jesteśmy jak czekający na śmierć pacjenci, którym trafiło się cudowne lekarstwo. Słońce wydaje się bardziej słoneczne, świat (taki, jaki jest) należy do nas, a przyszłość jest nieskończenie jasna. Co nieuniknione, wszyscy się rozczarujemy. Ale mam nadzieję, że nie aż tak bardzo.

Są też rzeczy, z których mamy prawo być dumni - stocznia państwowa, na przykład.

Pamiętam, gdzieś z czasów lądowania w Portillo, jak Sue Chopra upierała się, że technika manipulowania Calabi-Yau wyda wodza, który stworzy cuda trwalsze niż chronolity. („Chodzi mi, Scotty, o podróże międzygwiazdne. To naprawdę możliwe!”) I Sue, jak zwykle, miała rację. Miała doskonałe wyczucie przyszłości.

Kait i ja szliśmy powoli długą promenadą na poziom widokowy, który wychodził na wyrzutnie raketowe, wielką budowlę w kształcie półksiężyca odgradzoną zbrojonym szkłem.

Kait wzięła mnie pod rękę - potrzebuję nieco pomocy podczas długich spacerów. Trochę rozmawialiśmy, ale nie o wielkich sprawach naszego życia. To były wakacje. Tak wiele się zmieniło. Przede wszystkim, oczywiście, straciłem Ashlee. Ash zmarła pod koniec ubiegłego roku z powodu nie rozpoznanego tętniaka, więc byłem teraz wdowcem. Jednak spędzi-

liśmy razem wiele dobrych lat, pomimo wojennej biedy i kryzysu finansowego. Ciągle mi jej brakuje, ale nie rozmawiałem o tym z Kaitlin. Nie mówiliśmy też o matce Kait, emerytce, żyjącej całkiem wygodnie w stanie Waszyngton, ani o Whitmanie Delahuncie, który spędzał schyłek życia przy federalnym projekcie pod St. Paul, odsiadując dwadzieścia lat i wykonując prace na rzecz społeczeństwa za szerzenie niepokojów. Wszystko to było przeszłością.

Dzisiaj wierzymy w możliwość zaistnienia przyszłości. Taras widokowy pełen był dzieci, wycieczka szkolna przyjechała oglądać start bezzałogowego statku. Sonda stała na platformie, oddalona o kilometr, jak błękitny klejnot, wyrzeźbiony lodowiec.

- Czas to przestrzeń - mówił przewodnik. - Jeżeli potrafimy kontrolować jedno, to możemy kontrolować i drugie.

Sue mogłaby się spierać o użycie słowa „kontrolować”. Ale dzieci nie przejmowały się tym. Przyjechały na pokaz, nie na wykład. Rozmawiały i wierciły się, przestępując niecierpliwie z nogi na nogę. Przywierały rączkami (a niektóre nosami) do szkła.

- One się nie boją - podziwiała je Kaitlin.

Nie były też zaskoczone - przynajmniej niespecjalnie - kiedy sonda Tau Ceti uniosła się jak za sprawą czarów z platformy i poszybowała bezgłośnie w górę. Chyba były pod wrażeniem, widząc, jak taki potężny przedmiot unosi się niczym balon w bezchmurne niebo Florydy. Kilkoro spostrzegawczych mogło się przestraszyć. Ale nie, one się nie bały. Tak mało wiedzą o przeszłości.

Nie chcę, aby zapomniały. A tego chyba chcą wszyscy wiekowi weterani. Ale one i tak zapomną. Oczywiście, że tak.

Ich dzieci zaś będą wiedziały jeszcze mniej, a wnuki nie będą potrafiły nas sobie wyobrazić.

I tak właśnie powinno być. Nie można zatrzymać czasu. Sue nauczyła mnie tego (i Ashlee, na swój sposób). Możesz oddać się czasowi. Albo dać mu się ponieść. Nie jest to tak surowa prawda, jak się wydaje - nie w czysty, jasny dzień jak ten.

- Dobrze się czujesz? - zapytała Kaitlin.

- Dobrze - odparłem. - Trochę tylko tchu mi zabrakło. - Przeszliśmy długą drogę, a dzień jest ciepły.